

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 7 (891)

LIPIEC 2020

ISSN 0867-4523

TEMAT NUMERU

ZAKAZANE ZWIĄZKI

BRÓŃ CHEMICZNA, MIMO ZAKAZÓW PRAWA
MIĘDZYNARODOWEGO, WCIAŻ STANOWI
REALNE ZAGROŻENIE NA WSPÓŁCZESNYM
POLU WALKI

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



OD KILKU MIESIĘCY ŻOŁNIERZE
WOJSK CHEMICZNYCH POMAGAJĄ
SPOŁECZEŃSTWU, KTÓRE DOCE-
NIA ICH ZAANGAŻOWANIE.

Przeprowadzają dekontaminację obiektów oraz dezynfekcję osób, zarówno w jednostkach wojskowych, jak i szpitalach, placówkach opiekuńczo-leczniczych, urzędach czy szkołach. To, jakie znaczenie ma ich służba, widoczne jest zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy mierzymy się z zagrożeniem COVID-19. Epidemia wystawiła na próbę wiedzę i umiejętności wojskowych chemików. Egzamin ten zdają codziennie. Pokazujemy, na czym polega służba tych żołnierzy, nie tylko w kontekście epidemii, lecz przede wszystkim zagrożenia bronią chemiczną, która mimo zakazów wciąż jest używana na współczesnym polu walki.

Zakończyły się polsko-amerykańskie manewry „Defender Europe ’20”. Żołnierze biorący w nich udział musieli zmierzyć się z wyzwaniami przygotowanymi w scenariuszu ćwiczeń, ale też dostosować się do obostrzeń sanitarnych w związku z epidemią koronawirusa. Te utrudnienia okazały się jednak wartościowym elementem ćwiczeń.

610 lat temu odbyła się jedna z największych bitew średniowiecza. Wojska króla Władysława Jagiełły pokonały Krzyżaków na polach grunwaldzkich. Pierwszy raz od ponad 20 lat, z powodu sytuacji epidemicznej, nie odbędzie się inscenizacja tego starcia. Na łamach „Polski Zbrojnej” znajdują jednak Państwo mnóstwo informacji o kulisach tej wielkiej bitwy. Dr hab. Jan Gancewski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego nie tylko opowiada o fenomenie sukcesu Władysława Jagiełły, lecz także burzy mity związane z taktyką czy uzbrojeniem ówczesnego rycerstwa. ■



**TEMAT
NUMERU**



ARMIA



MILITARIA



STRATEGIE

ROBERT SENDEK
12 Zakazane związki

Współczesne zagrożenia
bronią chemiczną

TADEUSZ WRÓBEL
**18 Nie wszystkie chwyt
dozwolone**

Rozmowa z Maciejem
Tołwińskim

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**22
Nieskażeni
rutyną**

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
**26 Profesorze,
czy to jeszcze
wojna?**

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**30 Medyczne operacje
specjalne**

Misja wsparcia dla Włochów
i Amerykanów

MAGDALENA MIERNICKA
36 Most do współpracy

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
40 Manewry z dystansem

MICHAŁ ZIELIŃSKI
42 Nie czekamy. Latamy

PIOTR RASZEWSKI
46 Zdolni na misji

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
**48 Do Afganistanu
przez Wędrzyn**

MICHAŁ ZIELIŃSKI
**52 Granice
wytrzymałości**

BOGUSŁAW POLITOWSKI
56 Szpital na zawołanie

TOMASZ ZDZIKOT
59 Cyfrowe serce armii

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**60 Laserem
w przeciwnika**

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
62 Inna niż wszystkie

PAULINA GLIŃSKA
65 Obustronna korzyść

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
66 Zwiad z nieba

TADEUSZ WRÓBEL
**72 Marynarka
bez liderów**
Rosja oszczędza
na modernizacji okrętów

TOMASZ OTŁOWSKI
**77
Słaby punkt**

KRZYSZTOF WILEWSKI
**80 Oczekiwana zmiana
miejsc**

TADEUSZ WRÓBEL
82 Lekcja z przeszłości

MICHAŁ ZIELIŃSKI
86 Hydra lewantyńska
Nowa taktyka Państwa
Islamskiego

TOMASZ OTŁOWSKI
**92 Próby zarządzania
chaosem**

TADEUSZ WRÓBEL
**95 Wielowymiarowa
ekspansja**

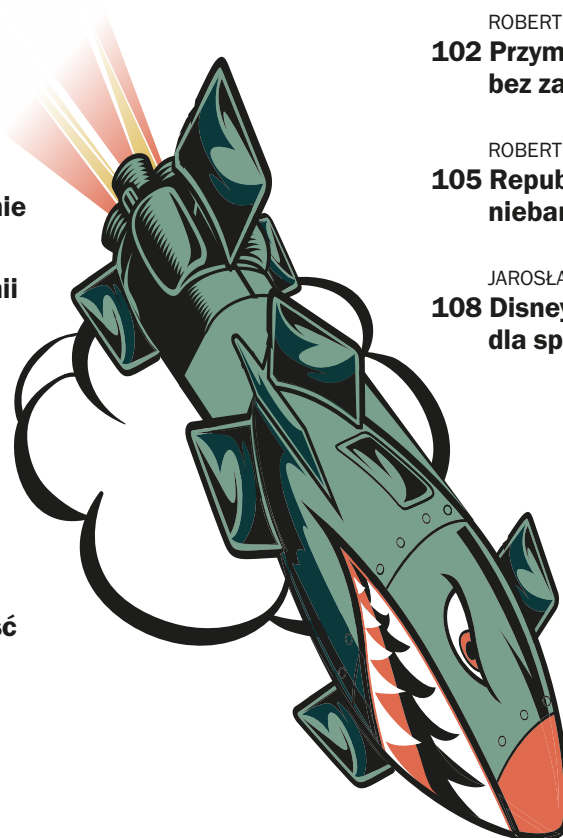
KRZYSZTOF WILEWSKI
98 Siły szybkiego rażenia

RAFAŁ CIASTOŃ
100 Walka o zasięg

ROBERT CZULDA
**102 Przymierze
bez zaufania**

ROBERT SENDEK
**105 Republika
niebananowa**

JAROSŁAW RYBAK
**108 Disneyland
dla specjalsów**





HISTORIA

TADEUSZ WRÓBEL

114 Pierwsza bitwa narodów

Rozmowa z Janem Gancewskim

PIOTR KORCZYŃSKI

120 Triumfator spod Ciechanowa

MACIEJ NOWAK-KREYER

122 Obrona przez atak

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

125 Przerwany sygnał

PIOTR KORCZYŃSKI

128 Dzieci do wojska nie bierzemy

Rozmowa z Eugeniuszem Praczukiem

ROBERT SENDEK

132 Bobbi, mistrz kamuflażu

JACEK SZUSTAKOWSKI

136 Wsparcie prosto z Paryża

KRZYSZTOF KUBIAK

139 Śmiercionośna przesyłka



PO SŁUŻBIE

PIOTR RASZEWSKI

140 Tropem małych historii

Przewodnik na wakacje

ANNA DĄBROWSKA

146 Wyprawa życia

TOMASZ GOS

149 Okupacyjny gen kreatywności

Rozmowa z Moniką

Sołoduszkiewicz

PIOTR KORCZYŃSKI

152 Komandosi kontra Obcy

ANDRZEJ FAFAŁA

154 Oczywistości von Clausevitz



Znajdziesz nas tutaj:



Zdjęcie na okładce:

Rafał Mniedło/

11 LDKPanc

DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 849 008, 261 849 007, faks: 261 849 459;

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 849 212; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 849 213;

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 849 147;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 849 262;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciałoń, Robert Czulda,

Andrzej Fafara, Tomasz Gos, Krzysztof Kubiak, Maciej

Nowak-Kreyer, Tomasz Ołowski, Piotr Raszeński,

Jarosław Rybak, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,

Małgorzata Mielcarz, Monika Siemaszko, tel.: 261 849 498;

Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 849 279

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 849 244;

Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka

Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,

Małgorzata Szustakowska, tel.: 261 849 496, 261 849 457;

reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 19.06.2020 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Punkt Poczty Włocławek

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

tel. 885 870 509, kom. 502 012 187

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.

250 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla

stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja

nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji

wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 849 494.

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska

Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje

regulamin dostępny na stronie głównej portalu

polska-zbrojna.pl.

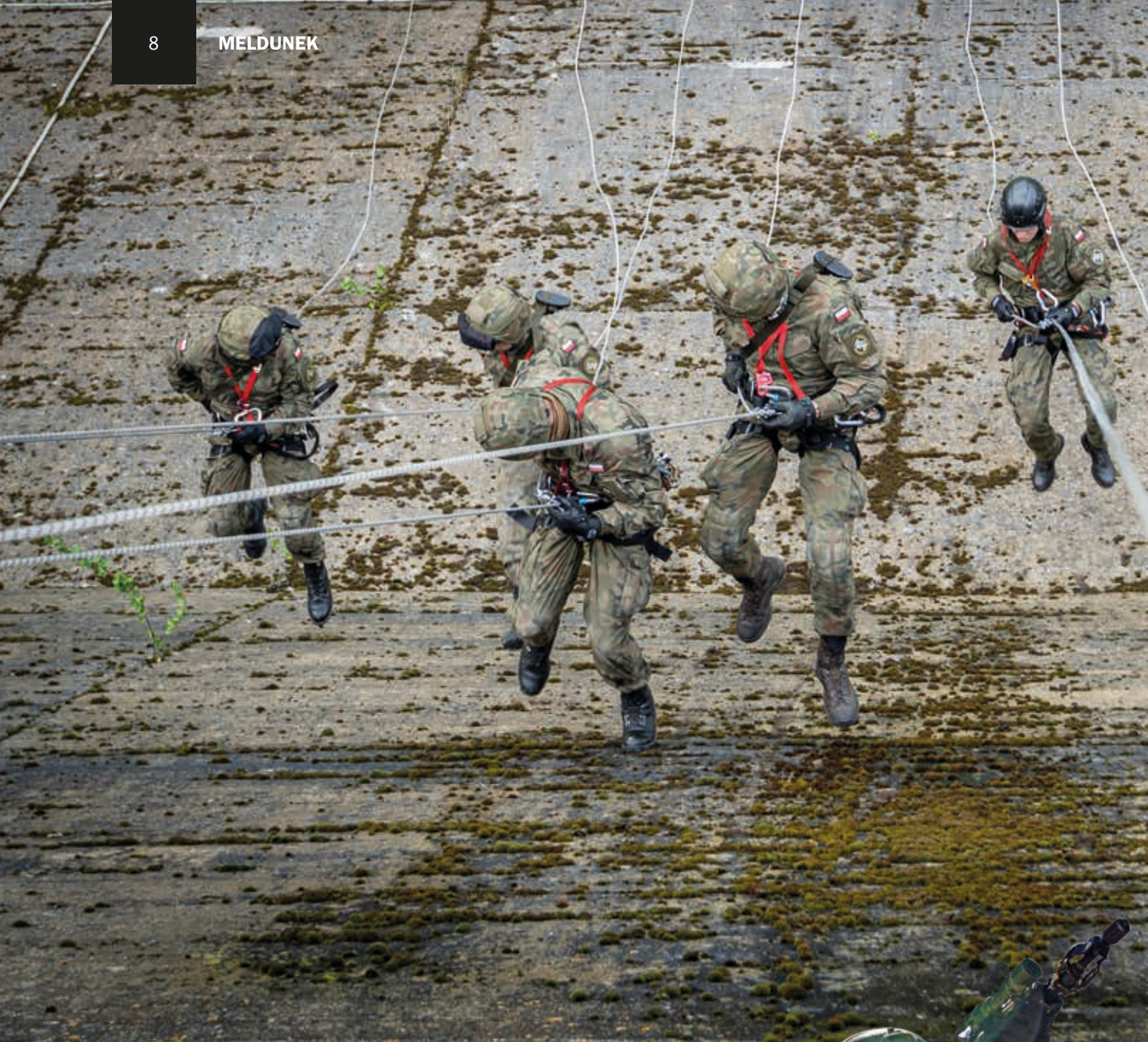
POWIĘKSZENIE



Na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych w Ustce odbyły się wspólne ćwiczenia sił powietrznych, wojsk lądowych i marynarki wojennej. Jednym z epizodów szkolenia było strzelanie z armatohaubic Krab do ustawionych na morzu celów.

FOT. ARKADIUSZ DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ





Parasol wojska

Terytorialsi będą wspierać organizatorów
letniego wypoczynku.

Zołnierze wojsk obrony terytorialnej będą prowadzić szkolenia dla pracowników oraz personelu podmiotów organizujących wypoczynki dzieci i młodzieży na temat zasad bezpieczeństwa i przeciwdziałania rozprzestrzenianiu się koronawirusa. Terytorialsi mają m.in. odpo-

wiadać za udzielanie pomocy medycznej i wykonywanie zadań sanitarno-higienicznych oraz przeciwepidemicznych. Pod numerem 800 100 102 organizatorzy letniego wypoczynku będą mogli uzyskać informację na temat zasad wsparcia ich działań przez wojsko. AD ■

Minister MARIUSZ
BŁASZCZAK:

„Mam dobrą wiadomość dla żołnierzy wojsk specjalnych z Agatu i Nilu, podwyżki dotyczą także dodatków dla żołnierzy z tych dwóch oddziałów”.





**ŻOŁNIERZE
25 BRYGADY
KAWALERII
POWIETRZNEJ
SZKOLĄ SIĘ W REJONIE
JEZIORA SOLIŃSKIEGO
W BIESZCZADACH. DOSKONA-
LĄ TECHNIKI WSPINACZKOWE
ORAZ ĆWICZĄ RATOWNICTWO
WYSOKOŚCIOWE.**

DODATKI DLA SPECJALISÓW

W czasie spotkania z żołnierzami wojsk specjalnych 25 maja 2020 roku w Gliwicach minister Mariusz Błaszczak podał informację, że wzrosną uposażenia żołnierzy z tych jednostek wojsk specjalnych, które do tej pory nie

miały przyznanych dodatków specjalnych. Minister mówił także o przygotowywanych zmianach w przepisach, które dotyczą wykorzystania doświadczenia żołnierzy wojsk specjalnych kończących służbę zawodową. AD ■



Ulepszone czołgi

Leopardy 2PL trafiają do żołnierzy.

Zakończyły się testy Leopardów 2A4 unowocześnionych do standardu 2PL. Pierwszych pięć zmodernizowanych wozów wzmocni 1 Warszawską Brygadę Pancerną. „Polskie” Leopardy mają zainstalowane dodatkowe opancerzenie, wymienione systemy stabilizacji armaty i napędu wieży,

unowocześnioną armatę Rh-120 L44, która została m.in. przystosowana do nowych typów amunicji. W czołgach ulepszono także systemy optoelektroniczne przeznaczone dla dowódcy i działonowego, w tym zainstalowano kamerę termowizyjną III generacji typu K LW-1 Asteria. PZ, KW ■

OBRONNOŚĆ PAŃSTWA

Prezydent zatwierdził nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego.

Strategia Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej określa kierunki i działania państwa związane z bezpieczeństwem i obronnością. Dotyczy kwestii militarnych, politycznych, gospodarczych, energetycznych, społecznych i ekologicznych. Jej opracowaniem zajmował się międzyresortowy zespół, w którego skład wchodził m.in. przedstawiciel Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Ministerstwa Obrony Narodowej i Kancelarii Prezesa

Rady Ministrów. „Pracując nad nową strategią, uwzględniliśmy zmiany, jakie w kwestiach bezpieczeństwa zaszły w ciągu ostatnich pięciu lat”, mówił prezydent Andrzej Duda, który zatwierdził ją 12 maja 2020 roku. Strategię mają uzupełniać inne dokumenty, m.in. ustawy o zarządzaniu bezpieczeństwem narodowym, a także o obronie cywilnej i ochronie ludności. Ich przygotowaniem zajmie się międzyresortowy zespół, który powoła premier. PZ, PG ■

MICHAŁ WAJNCHOLD



Taktyczna pętla

Zawody pododdziałów rozpoznawczych.

Na zawodach „Tactical Shooting Challenge Zawisza '20” żołnierze musieli pokonać pętlę taktyczną i m.in. wykazać się celnością na strzelnicy, wezwać artylerię, udzielić pomocy rannym, a także zneutralizować przeciwnika z pędzącej łodzi. W zawodach wzięli udział żołnierze z pododdziałów rozpoznawczych 15 Brygady Zmechanizowanej oraz wojskowi z Batalionowej Grupy Bo-

jowej NATO, m.in. z brytyjskiego szwadronu C Pułku Lekkiej Kawalerii. Wystartowało dziesięć czteroosobowych drużyn. Liczyły się czas i sposób pokonania pętli taktycznej. Najlepszy okazał się zespół z kompanii rozpoznawczej. Drugie miejsce zajęła reprezentacja plutonu z 2 Batalionu Zmechanizowanego, a trzecie – pluton z 1 Batalionu Zmechanizowanego. PZ, MM ■

Inwestycja w młodzież

W 2021 roku w szkołach średnich ma powstać 16 klas o profilu związanym z cyberbezpieczeństwem.

CYBER.MIL z klasą to program adresowany do szkół średnich w całej Polsce. Pierwsze klasy o profilu cyberbezpieczeństwo i nowoczesne technologie informatyczne zostaną otwarte we wrześniu 2021 roku. Będą funkcjonować w każdym z 16 województw, a uczyć się w nich będzie mogło nawet 240 uczniów. Poza podstawą programową młodzież będzie miała zajęcia z kryptografii, algorytmiki i cyberbezpieczeństwa, a także zarządzania bezpieczeństwem danych i informacji, część z nich w formie laboratoriów czy zajęć e-learningowych.

Szkoły, które zakwalifikują się do programu, będą musiały sfinansować minimum 20% wszystkich kosztów prowadzenia takiej klasy. Pozostałą kwotę pokryje Ministerstwo Obrony Narodowej. Na funkcjonowanie oddziałów w pierwszych trzech latach resort przeznaczy ponad 5,7 mln zł. PG/PZ ■

SPIKE NA KOŁACH

Planujemy zakup 60 kołowych transporterów opancerzonych Rosomak-S do przewozu obsługi przenośnych zestawów ppk Spike”, podał szef MON-u Mariusz Błaszczak. Specjalistyczna odmiana tych transporterów ma na burtach zamontowane pojemniki z przeciwpancernymi pociskami kierowanymi.

W wojsku jest kilkadziesiąt pojazdów tego typu. Już rozpoczęły się negocjacje z należącą do Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółką Rosomak SA. PZ, KW ■

Zostań kapralem

Ruszył nabór cywilnych ochotników do **Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych**. W tegorocznych kursach w Dęblinie będzie mogło wziąć udział 200 cywilnych kandydatów na kaprali. Do wyboru będą cztery specjalności: inżynieryjno-lotnicza (150 miejsc), ruchu lotniczego (5 miejsc) oraz nowe w ofercie dla cywilów: przeciwlotnicza (40 miejsc) i radiowo-techniczna (5 miejsc).

Osoby zainteresowane udziałem w kursie muszą do 14 sierpnia złożyć niezbędne dokumenty do dyrektora

Departamentu Kadr MON za pośrednictwem wojskowej komendy uzupełnień. Kandydaci będą musieli przejść też badania lekarskie. O przyjęciu zdecydować wyniki rekrutacji, analiza ocen ze świadectwa ukończenia szkoły średniej, sprawdzian z WF-u, test z języka angielskiego oraz rozmowa kwalifikacyjna. Egzaminacje są planowane w pierwszej połowie października, a rozpoczęcie kursu 16 listopada, ale w zależności od rozwoju sytuacji epidemiologicznej terminy te mogą ulec zmianie. PG/PZ ■

STRATEGIA KOSMICZNA

Nowy pełnomocnik ds. przestrzeni kosmicznej.

Opracowanie i implementacja resortowej strategii wykorzystania przestrzeni kosmicznej, a także planowanie i nadzorowanie zdolności polskiej armii do pozyskiwania satelitarnych obrazowań ziemi, telekomunikacji i nawigacji satelitarnej czy wynoszenia obiektów na orbity okołozemskie to główne zadania płk. Marcina Górki, którego minister obrony narodowej powołał na stanowisko pełnomocnika ds. przestrzeni kosmicznej. Będzie on reprezentował resort obrony



Płk Marcin Górka był głównym negocjatorem warunków przystąpienia Polski do wielonarodowego programu kosmicznego MUSIS (Multinational Space-Based Imaging System).

na forach NATO, Unii Europejskiej, Europejskiej Agencji Obrony i Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Oficer był m.in. jednym z inicjatorów koncepcji wykorzystania w polskich siłach zbrojnych technik satelitarnych i technologii kosmicznych w rozpoznaniu oraz ekspertem ds. satelitarnego rozpoznania obrazowego w Sojuszniczym Dowództwie ds. Transformacji w Norfolk. Był także pierwszym dowódcą Ośrodka Rozpoznania Obrazowego. PZ, MM

W ŚCISŁEJ CZOŁÓWCE

Dowódca generalny wyróżnił przodujące pododdziały w Wojsku Polskim.

Honorowy tytuł „Przodujący Pododdział” to jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień przyznawanych polskim żołnierzom przez dowódcę generalnego rodzajów sił zbrojnych. **Gen. Jarosław Mika**, stojący na czele DGRSZ, za 2019 rok wyróżnił dziewięć pododdziałów. Tytuły „Przodujący Pododdział Wojsk Lądowych” otrzymały: 1 Batalion Zmechanizowany 15 Brygady Zmechanizowanej, 3 Batalion Drogowo-Mostowy 2 Pułku Saperów, 1 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej 17 Brygady Zmechanizowanej i Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Z kolei tytułem „Przodujący Pododdział Sił Powietrznych” wyróżniono: Grupę Obsługi Technicznej 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego, Grupę Działań Lotniczych 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, Kompanię Reprezentacyjną Sił Powietrznych z 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego. Przodującym pododdziałem marynarki wojennej został 8 Batalion Saperów Marynarki Wojennej z 8 Flotyli Obrony Wybrzeża, a wojsk specjalnych – Zespół Wsparcia Jednostki Wojskowej Agat. Każdy z wyróżnionych pododdziałów otrzyma porzec honorowy, a żołnierze, którzy dziedziczą tradycje kawalerskie – buńczuk honorowy. Wyróżnieni dostaną także amarantowe sznury z chwastem, które będą nosić przy mundurze. Wszystkie wyróżnienia pozostaną w pododdziałach przez rok. PZ, MM

Przeciwlotnicza Sona

Armia chce zastąpić wystuzone samobieżne zestawy przeciwlotnicze nową konstrukcją.

Wojsko Polskie ma do dyspozycji jeden typ samobieżnych zestawów przeciwlotniczych, które mogą towarzyszyć w boju jednostkom pancernym – ZSU-23-4MP Biała.

W Siłach Zbrojnych RP jest ich ponad 20 sztuk. Ponieważ broń ta nie spełnia wszystkich wymagań współczesnego pola walki, resort obrony chce w najbliższych latach wprowadzić nową konstrukcję – Sonę. Inspektorat Uzbrojenia MON zaprosił firmy zbrojeniowe do dialogu technicznego w tej sprawie. Nieznane są

jeszcze szczegółowe wymagania techniczne polskiej armii dotyczące Sona, ale na podstawie charakterystyki pododdziałów, które ma ona wspierać (kompanii czołgów), można przypuszczać, że będzie to nowoczesny system przeciwlotniczy umieszczony na podwoziu gąsienicowym. PZ, KW



O nowiczkach
zrobiło się głośno
w związku ze sprawą otrucia
Siergieja Skripala, oficera ro-
syjskiego wywiadu wojskowego.
Pojawiały się też głosy, że bada-
nia nad nowiczkami mają sta-
nowić próbę obejścia zapisów
konwencji o zakazie broni
chemicznej.

ZAKAZANE ZWIĄZKI

Doświadczenia minionej dekady pokazują, że broń chemiczna nie jest echem przeszłości. W czerwcu 2020 roku wszedł w życie uaktualniony wykaz substancji, których produkcja i stosowanie są objęte konwencją o zakazie broni chemicznej.

ROBERT SENDEK



Новичок



A-234 Осторожно яд!

Осравляющее вещество нервно-парали-
тического действия.

Чрезвычайно токсично!

Не вдыхать, не употреблять внутрь,
избегать попадания на кожу!

При применении использовать химичес-
кий защитный костюм, средства защиты
дыхания и лица, защитные пер-
чатки и обувь.

При контакте с веществом A-234,
немедленно обратиться к квалифициро-
ванному мед. работнику.



A

ngus MacGyver to postać z amerykańskiego serialu, popularnego także w Polsce na przełomie lat osiemnastych i dziewiętnastych ubiegłego stulecia. Główny bohater miał ogromną wiedzę z wielu dziedzin: fizyki, matematyki, inżynierii czy chemii. W odcinku, którego akcja rozgrywa się w zakładzie chemicznym, MacGyver sporządza prostą, lecz skuteczną bombę: w jednym słoiku umieszcza chlor, w drugim – jak to objaśnia – „odpowiedni katalizator”. Potem wkłada maskę przeciwgazową i rusza do akcji. W hali, gdzie źli ludzie pastwią się nad zakładnikami, rzuca słoiki na betonową podłogę. Kiedy rozbijają się, dochodzi do reakcji chemicznej. Złoczyńcy nie są w stanie się bronić, a MacGyver przejmuje inicjatywę i uwalnia zakładników.



LINA CHATIB, specjalistka ds. Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej w brytyjskim think tanku Chatham House: „Czasami reżim używa broni chemicznej, gdy nie ma zdolności militarnych, aby odzyskać dany obszar za pomocą broni konwencjonalnej”.

Czy wyprodukowanie broni chemicznej może być rzeczywiście aż tak proste? Potwierdza to ekspert z wojsk specjalnych: „Nie trzeba mieć dużej wiedzy. Dziś, w dobie internetu, można dość szybko się nauczyć, jak wyprodukować taki środek, np. iperyt, i to w dużej ilości. O ile łatwo jest go wytworzyć, o tyle bardzo trudno rozprzestrzenić”. Inna sprawa, że iperyt jest substancją zakazaną międzynarodowymi konwencjami.

NIE TYLKO YPRES

Wielu osobom broń chemiczna kojarzy się przede wszystkim z I wojną światową. Ale dziś, na początku lat dwudziestych XXI wieku, wcale nie ona jest echem odległej przeszłości. Udowadniają to nader liczne w ostatniej dekadzie przykłady użycia bojowych środków trujących (BST) w konfliktach wojennych oraz działaniach terrorystycznych. Bez wątpienia jednym z najgłośniejszych w ostatnich latach przypadków użycia broni chemicznej była próba otrucia rosyjskiego oficera wywiadu Siergieja Skripała w marcu 2018 roku. Jeśli jednak chodzi o skalę, najbardziej szokujące jest stosowanie broni chemicznej podczas konfliktu syryjskiego. Według przeprowadzonego przez dziennikarzy BBC śledztwa, w latach 2013–2018 użyto jej w Syrii aż 106 razy, w tym chloru, sarinu, iperytu. O zastosowanie tych substancji

w działaniach wojennych oskarżane są głównie wojska prezydenta Baszszara al-Asada. Zdaniem Liny Chatib, specjalistki ds. Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej w brytyjskim think tanku Chatham House, powód, dla którego sięgały po nie, jest prosty: „Czasami reżim używa broni chemicznej, gdy nie ma zdolności militarnych, aby odzyskać dany obszar za pomocą środków konwencjonalnych”. W kwietniu 2020 roku Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej (Organisation for the Prohibition of Chemical Weapons – OPCW) opublikowała raport, który potwierdza, że w marcu 2017 roku syryjskie lotnictwo dokonało serii ataków z zastosowaniem broni chemicznej, w tym pocisków z sarinem i chlorem.

Organizacja podała też, że iperytu używali w walkach z Kurdami bojownicy tzw. Państwa Islamskiego. Istnieją również doniesienia o stosowaniu broni chemicznej podczas konfliktów w Sudanie oraz Jemenie. Znane z ostatnich lat są także przykłady wykorzystania BST w atakach terrorystycznych czy zamachach, m.in. w taki sposób dokonano zabójstwa w lutym 2017 roku Kim Dzong Nama (brat Kim Dzong Una). Egzekucję na lotnisku w Kuala Lumpur przeprowadzono, przyskając ofierze w twarz niezwykle toksyczną substancją o nazwie VX. Pojawiają się też opinie, że głośne zabójstwo Dżamala Chaszodżdżiego w saudyjskim konsulacie w Stambule w październiku 2018 roku mogło mieć związek z tym, że dziennikarz zamierzał ujawnić informacje o używaniu przez Saudyjczyków broni chemicznej w Jemenie.

WĄTPLIWA SKUTECZNOŚĆ

Dotychczasowe doświadczenia wyniesione z konfliktów zbrojnych, zwłaszcza z okresu I wojny światowej, pokazywały, że broń chemiczna jest z jednej strony niezwykle niebezpieczna, z drugiej zaś – niełatwo się nią posługiwać. Potwierdza to ppłk dr inż. Marcin Kloske, specjalista wojsk chemicznych z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych: „Po I wojnie światowej uznano tę broń za nieefektywny środek walki ze względu na kaprysy pogody, trudności techniczne podczas przygotowania i przeprowadzenia ataku falowego



Podpisanie traktatu o zakazie broni chemicznej. Od lewej siedzą: Klaus Kinkel, minister spraw zagranicznych Niemiec; Butrus Butrus Ghali, sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych; François Mitterrand, prezydent Francji; Roland Dumas, francuski minister spraw zagranicznych; Federico Mayor, dyrektor generalny UNESCO. Paryż, 1993 rok

DOTYCHCZASOWE DOŚWIADCZENIA WYNIESIONE Z KONFLIKTÓW ZBROJNYCH, ZWŁASZCZA Z OKRESU I WOJNY ŚWIATOWEJ, POKAZYWAŁY, ŻE BROŃ CHEMICZNA JEST Z JEDNEJ STRONY NIEZWYKLE NIEBEZPIECZNA, Z DRUGIEJ ZAŚ – NIEŁATWO SIĘ NIĄ POSŁUGIWAĆ

za pomocą bojowych środków trujących. Poza tym postrzegano ją jako niemęską, tak jak trucizny dodawane do posiłków. Stała się niehonorowa”.

Dyskusyjna jest kwestia skuteczności broni chemicznej. Jeden z najgłośniejszych wypadków jej użycia przez terrorystów odnotowano w 1995 roku, kiedy członkowie sekty Najwyższa Prawda uwolnili w tokijskim metrze sarin. Doszło wtedy do zatrucia kilku tysięcy oraz śmierci 12 osób. Można przypuszczać, że eksplozja bomby spowodowałaby więcej ofiar śmiertelnych, ale użycie broni chemicznej przyniosło nieporównanie większy efekt psychologiczny i propagandowy, co przy wyborze potencjalnej metody ataku może być głównym atutem np. dla organizacji terrorystycznych. Przeprowadzane przez jednostki specjalne precyzyjne działania, polegające na wyeliminowaniu konkretnej osoby, pokazują natomiast, jak bardzo niepewne jest użycie broni chemicz-

nej. Wspomniany wcześniej Siergiej Skripal przeżył zamach, podobnie jak jego córka, zmarły natomiast dwie przypadkowe osoby. Ten przykład jest najgłośniejszy, chociaż niejedyny. Służby rosyjskie oskarżane są również o próbę otrucia bułgarskiego przedsiębiorcy Emiliana Gebrewa. Ataku dokonano dwukrotnie za pomocą nowiczoka, za każdym razem bezskutecznie.

Są też wypadki pokazujące zjawisko odwrotne, tj. użycie substancji na pozór nieszkodliwej, która okazała się śmiertelnie niebezpieczna. W 2002 roku podczas terrorystycznego zamachu na Dubrowce rosyjskie służby specjalne do pomieszczeń zajętych przez terrorystów z zakładnikami wpuściły gaz usypiający. Zakładano, że po uśpieniu wszystkich służby wejdą do teatru i zlikwidują zamachowców, a zakładników uda się ocalić. Niestety, w efekcie działania usypiacza oprócz terrorystów zmarło niemal 130 zakładników.



Wszystkie te przykłady pokazują, że bojowe środki chemiczne okazują się zawodne. Mimo to oraz międzynarodowych zakazów ich użycia ciągle znajdują zastosowanie na współczesnym polu walki. Powodem tego jest zapewne łatwość wytworzenia trujących substancji oraz ich działanie odstraszające.

ZAKAZY I WYKAZY

Prace nad ograniczeniem użycia bojowych substancji chemicznych podjęto właściwie tuż po zakończeniu I wojny światowej. W 1925 roku podpisano tzw. protokół genewski, który wprowadzał zakaz używania podczas konfliktów zbrojnych trujących związków chemicznych, ale nie dotyczył prowadzenia nad nimi prac. W późniejszych latach takiej broni nie używano zatem operacyjnie, skupiono się natomiast na pracach badawczych. Doprowadziły one do opracowania całych serii niezwykle niebezpiecznych fosforoorganicznych środków trujących (FOST) i rozważano ich zastosowanie bojowe. Najpierw, na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia, były to substancje tzw. grupy G, czyli tabun, sarin czy soman, a w latach pięćdziesiątych – z grupy V (z najważniejszym w tej rodzinie związkiem VX).

Badania nad bronią chemiczną prowadzono przez cały okres zimnej wojny, choć od końca lat sześćdziesiątych coraz głośniejszy był ruch domagający się wprowadzenia nie tylko zakazu stosowania BST, lecz także w ogóle prac nad nimi. Międzynarodowy nacisk w tej sprawie doprowadził do przyjęcia w 1993 roku konwencji o zakazie broni chemicznej (Chemical Weapons Convention – CWC). Weszła ona w życie w 1997 roku i została przyjęta przez ogromną większość państw członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych, w tym przez światowe mocarstwa. Konwencja zakazywała prowadzenia badań, produkcji, składowania i użycia broni chemicznej, a nawet przewidywała zniszczenie jej światowych zapasów. Załącznikiem do tego traktatu są trzy wykazy związków chemicznych, podlegających różnorodnym ograniczeniom, z całkowitym zakazem ich produkcji i wykorzystania włącznie.

Już w latach dziewięćdziesiątych stopniowo wychodziło na jaw, że przynajmniej jedno mocarstwo, tj. Związek Sowiecki oraz będąca jego spadkobiercą Rosja, nie do końca rzetelnie potraktowało konwencję. Okazało się bowiem, że ZSRS

co najmniej od lat siedemdziesiątych prowadzi tajny program własnych badań nad bronią chemiczną. Doprowadził on do opracowania kolejnej rodziny toksycznych związków FOST grupy A. To właśnie osławione nowiczoki.

Wielu komentatorom status prawny tych substancji wydawał się niejasny, bo nie zostały one ujęte w wykazie CWC. Pojawiały się nawet głosy, że badania nad nimi mają stanowić próbę obejścia zapisów konwencji. Gdy zaś istnienie nowiczoków stało się tajemnicą poliszynela, pozostały wątpliwości co do sensu umieszczenia ich w wykazie. Wskazywano, że oznaczałoby to upowszechnienie wiedzy o budowie toksycznych związków. Dr inż. Marcin Kloske uważa jednak, że nie ma to aż tak dużego znaczenia: „Konwencja o zakazie broni chemicznej, jak każde prawo, charakteryzuje się duchem i literą. Niewłączenie nowiczoków do wykazów nie powoduje ich wykluczenia z definicji broni chemicznej, określanej jako bojowy środek trujący i jego środek przenoszenia do celu”.

Ostatecznie jesienią 2019 roku na forum OPCW ustalono, że nowiczoki zostaną umieszczone w wykazie nr 1 konwencji, czyli na liście substancji najbardziej niebezpiecznych, o pierwotnym lub jedynym zastosowaniu bojowym. Decyzję podjęto w grudniu 2019 roku, z zastrzeżeniem, że uaktualniony wykaz wejdzie w życie po upływie 180 dni, czyli 7 czerwca 2020 roku.



DMITRY LOVETSKY/AP/EAST NEWS



Podczas terrorystycznego zamachu na teatr na Dubrowce w październiku 2002 roku rosyjskie służby specjalne do pomieszczeń zajętych przez terrorystów z zakładnikami wpuściły gaz usypiający. Niestety, w efekcie działania substancji zmarło, oprócz terrorystów, ponad 130 zakładników.



POZA ISTNIEJĄCYMI, SPRAWDZONYMI SUBSTANCJAMI, W LABORATORIACH DA SIĘ ZSYNTETYZOWAĆ TAKŻE TAKIE O NOWYCH, NIEZNANYCH WŁASNOŚCIACH. MOŻE SIĘ ZDARZYĆ, ŻE Z DWÓCH ZWIĄZKÓW O NIEWIELKIEJ RÓŻNICY W BUDOWIE CHEMICZNEJ JEDEN OKAŻE SIĘ LEKARSTWEM, DRUGI ZAŚ TRUCIZNĄ

Broń chemiczna to jednak nie tylko te najbardziej toksyczne substancje, wpisane na listę CWC, lecz także i takie, których użycie jest dopuszczalne traktatami międzynarodowymi. Substancje te wykorzystuje się do konstruowania broni nieśmiercionośnej, stosowanej np. przez służby porządkowe wielu państw. To tzw. lakrymatory (gazy łzawiące) oraz sternity (wywołujące kaszel, kichanie, śluzotok czy wymioty). Współczesna technologia pozwala wykrywać i syntetyzować nowe rodzaje substancji chemicznych o pożądanych cechach, czyli nie tylko trujące czy wybuchowe. Prowadzone są badania nad związkami o specyficznych właściwościach, np. odorantami.

LABORATORIA PRZYSZŁOŚCI

W laboratoriach można zsyntetyzować najróżniejsze substancje: poza tymi istniejącymi, sprawdzonymi czy przydatnymi w życiu codziennym, także takie, których nauka jeszcze nie zna, o nowych, nieznanych właściwościach. Przy niewielkiej różnicy w budowie chemicznej, dwa związki mogą mocno się różnić. Jeden okaże się potencjalnym lekarstwem, drugi zaś trucizną. Syntetyzowanie tysięcy związków chemicznych tylko po to, by sprawdzić, jakie mają one właściwości, jest w praktyce niemożliwe i nieopłacalne. Zamiast tego chemicy sięgają po technologie informatyczne. Wyjaśnia to dr hab. Filip Zasada z Zakładu Chemii Nieorganicznej UJ: „Do opracowywania nowych substancji wykorzystuje się informatykę chemiczną i superkomputery. Najpierw buduje się komputerowe modele cząsteczek chemicznych i ocenia ich właściwości, a więc i przydatność do danych zastosowań. Następnie wykorzystuje się bazy danych i na podstawie skatalogowanych właściwości istniejących cząsteczek

przewiduje się, jak mogą się zachowywać cząsteczki, których jeszcze nikt nie syntetyzował”.

W ten sposób powstał niedawno nowy antybiotyk o nazwie halicyna. Metody takie znajdują zastosowanie również w obronności, na co wskazuje ppłk Marcin Kloske: „Chemo-informatyka jest szeroko wykorzystywana w czołowych ośrodkach naukowo-badawczych na świecie do poszukiwania i opracowania odkażalników chemicznych, jak również odtrutek do reaktywacji acetylocholinoesterazy unieczynnionej fosforoorganicznymi bojowymi środkami trującymi, takimi jak nowiczoiki”. Chodzi o to, że FOST blokują jeden z najważniejszych enzymów wpływających na właściwe działanie układu nerwowego człowieka. Prowadzi to do konwulsji, drgawek i skurczów mięśni, zaniku akcji oddechowej, a w konsekwencji również śmierci. Opracowywane w laboratoriach substancje mają temu przeciwdziałać.

Podpułkownik podkreśla, że „posiadanie silnej i skutecznej obrony przed bronią masowego rażenia oraz wyszkolonych i wyposażonych wojsk chemicznych daje możliwość zwiększenia zdolności przetrwania żołnierza na współczesnym polu walki”. Ze względu na potencjalne ryzyko odnosi się to zwłaszcza do żołnierzy przebywających na misjach w niespokojnych regionach świata, gdzie zagrożenie atakami, także tymi o charakterze terrorystycznym z użyciem broni chemicznej, jest większe niż w Polsce. Poza tym często biorą oni udział w operacjach w terenie miejskim, gdy muszą wejść do fabryk, składów czy magazynów, gdzie istnieje ryzyko skażeń chemicznych. Szybkie wykrycie zagrożenia i jego właściwa neutralizacja mogą wtedy decydować o życiu żołnierzy. ■



Nie wszystkie chwyty dozwolone

*Z Maciejem Tołwińskim o skuteczności
międzynarodowych umów dotyczących broni
masowego rażenia rozmawia Tadeusz Wróbel.*

Czy wywołanie masowych zakażeń może być formą walki?

Już w końcu XVIII wieku pojawiały się teorie, m.in. maltuzjańska i późniejsza neomaltuzjańska, które zakładały możliwość prowadzenia działań przeciwko innym państwom bez użycia siły zbrojnej. Thomas R. Malthus, angielski ekonomista, zakładał m.in., że choroby zakaźne są ważnym czynnikiem regulującym populację, więc ich umiejętne zastosowanie mogłoby być dobrym narzędziem walki. Już wtedy przewidywano, że do osłabienia lub zniszczenia

przeciwnika można wykorzystać chociażby zarazki. Wobec możliwości współczesnej biotechnologii pojawia się jednak pytanie, czy naukowcy mogą dokonać w laboratoriach pewnych modyfikacji wirusów, tak by były one szczególnie groźne dla określonej grupy ludzi.

Powinna to regulować „Konwencja o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o ich zniszczeniu”. Ten dokument pochodzi jednak z 1972 roku i liczy

WIZYTÓWKA

MACIEJ
TOŁWIŃSKI

Jest doktorem nauk o bezpieczeństwie, adiunktem w Instytucie Nauk o Bezpieczeństwie Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach oraz ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa informacyjnego. Jego zainteresowania naukowo-badawcze obejmują głównie współczesne konflikty zbrojne i wojny oraz filozofię i etykę bezpieczeństwa. ■

zaledwie kilka kartek. Czy takie ogólne zapisy sprzed lat są wystarczające?

Rzeczywiście konwencja dotycząca broni biologicznej jest dość ogólnikowa, ale uważam, że nie należy uważać tego jednoznacznie za wadę. Umowy międzynarodowe powinny mieć dość ogólną formułę, bo ona zapewnia ich uniwersalność. Takie zapisy łatwiej stosować w bardzo różnych sytuacjach. Istnieje jednak inny problem. Konwencję dotyczącą broni biologicznej podpisały dotychczas

183 państwa, co oczywiście oznacza, że są takie, których jej zapisy nie obowiązują. Konsekwencje takiego stanu rzeczy możemy łatwo przewidzieć.

Dlaczego dla porozumień międzynarodowych dotyczących broni biologicznej i chemicznej przyjęto formułę konwencji?

Konwencje, obok zwyczaju międzynarodowego, są jedną z podstaw funkcjonowania prawa międzynarodowego. Ta forma umów zapewnia państwom swobodę decyzji w kwestii zobowiązania się do respektowania ustalonych w nich zasad. Przystąpienie do nich jest dobrowolne, a ich implementacja w dużej mierze zależy od dobrej woli państw-stron. Najważniejsze jest jednak to, że konwencje stwarzają prawną możliwość egzekwowania od sygnatariuszy zapisów umowy.

Tyle teoria. Z praktyką jest znacznie gorzej.

Niestety, nie zawsze istnieją w pełni skuteczne mechanizmy kontroli, a państwa miewają różne tajemnice, których nie chcą ujawniać. Niemniej jednak w „Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji, składowania i użycia broni chemicznej oraz o zniszczeniu jej zapasów” z 1993 roku znajdują się dość precyzyjne zapisy dotyczące tej kwestii. Utworzona została Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej, która ma wystarczające kompetencje do kontroli, prewencji i weryfikacji przestrzegania postanowień tej umowy międzynarodowej. Takiego rozwiązania nie ma jednak w „Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni

bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o ich zniszczeniu”. Warto jednak wspomnieć, że od 1985 roku działa Grupa Australijska, nieformalna organizacja wspomagająca poszczególne państwa w implementacji międzynarodowych standardów w kwestii stosowania postanowień konwencji z 1972 roku oraz z 1993 roku.

Elementem konwencji dotyczącej broni chemicznej są trzy bardzo dokładne wykazy toksycznych środków. Czy to dobre rozwiązanie?

Nie zawsze. Co prawda, dają one nam jasność, który środek jest zakazany, ale pojawia się problem, gdy mamy do czynienia z nową substancją chemiczną, ze względu na zasadę: skoro coś nie jest zakazane, to jest dozwolone. Na szczęście oprócz wspomnianych wykazów istnieje kryterium ogólne, które pozwala określić, czy jakaś nieznaną wcześniej substancja jest potencjalnie groźna i może być użyta jako broń.

Niemniej jednak w ostatnich latach pojawił problem z trującymi substancjami z Rosji.

Nowiczoki to dobry przykład toksycznych substancji, które mogą być użyte jako broń chemiczna. Istnieją przypuszczenia, że mogą być one stosunkowo proste w produkcji, a jednocześnie wysoce śmiertelne. Problem polega na tym, że chociaż wiemy o ich istnieniu i prawdopodobnych przypadkach użycia, np. o próbie zabójstwa Sergieja Skripała i jego córki, to jednak jako nowe substancje stwarzają pewne problemy identyfikacyjne – wszak Rosja kategorycznie zaprzeczyła swojemu udziałowi w tym ataku. Wydarzenie to jednak pozwoliło rozszerzyć katalog trucizn zakazanych konwencją.

Czy sposobem na obejście zapisów konwencji może być broń binarna, czyli składająca się z dwóch związków chemicznych?

Rzeczywiście pewnym wyzwaniem będzie weryfikacja, czy można taką broń uznać za zakazaną. Sytuacja jest prosta, jeśli zawiera ona jakikolwiek środek zawarty w wykazach, automatycznie jest niedozwolona.

Przy dzisiejszym rozwoju technologii mogą jednak wchodzić w grę niezakazane konwencją środki chemiczne. Co wówczas?

W tym wypadku do stwierdzenia, że taka broń jest zakazana, można wykorzystać owo



Skutki użycia broni chemicznej podczas I wojny światowej z pewnością odcisnęły piętno w pamięci wielu osób. Wątpię jednak, by to dylematy moralne powstrzymały polityków i wojskowych przed wykorzystaniem broni chemicznej w drugim konflikcie globalnym.

kryterium ogólne, określające, co powoduje, że substancja jest uznana za broń chemiczną. Istnieje jednak ryzyko, że może powstać zupełnie nowy środek chemiczny, który nie musi być efektem celowego działania. Jeden z najbardziej śmiertelnych bojowych środków trujących, sarin, niemieccy naukowcy odkryli przypadkowo w 1939 roku, gdy prowadzili badania nad insektycydami, czyli środkami owadobójczymi.

Skoro technologia rozwija się tak błyskawicznie, to może powinny ulegać modyfikacjom również przyjęte ponad ćwierć wieku temu mechanizmy kontroli nad bronią chemiczną?

Idealem byłoby wprowadzanie takich modyfikacji regularnie. Jednak to nie jest łatwe, bo każda zmiana w dokumentach prawa międzynarodowego musi być implementowana w poszczególnych krajach, które są ich stronami.

Efekty największej dotąd międzynarodowej kontroli dotyczącej posiadania broni chemicznej były mierne. Pomimo wieloletnich prac w Iraku inspektorzy nie znaleźli twardego dowodu na to, że Saddam Husajn miał ją do dyspozycji. Co było powodem porażki?

W Iraku międzynarodowi inspektorzy pracowali w bardzo trudnych warunkach, bo tamtejsze władze sabotowały ich działania. Obstrukcyjne zachowanie nie popłaciło jednak reżimowi Saddama Husajna. Zrodziło podejrzenie, że ukrywa on broń chemiczną, co stało się jednym z powodów rozpoczętej w marcu 2003 roku amerykańskiej operacji militarnej „Iracka wolność”, która definitywnie zakończyła rządy dyktatora.

Zanim tak się stało, w latach osiemdziesiątych XX wieku Irak użył broni chemicznej w wojnie z Iranem. Dlaczego Husajn wtedy podjął takie ryzyko?

Broni chemicznej używały wówczas oba te kraje. To był konflikt na wzajemne wyniszczenie, w którym Irakijczycy i Irańczycy wykorzystali wszystkie dostępne im środki militarne. Możemy podejrzewać, że politycy obu stron mieli poczucie, że w ówczesnej sytuacji międzynarodowej użycie bojowych środków toksycznych ujdzie im bezkarnie. I mieli rację. Większość państw dalej wspierała Saddama Husajna, choć ten przeprowadzał ataki chemiczne nie tylko na cele militarne. Podejście społeczności międzynarodowej do irackiej broni chemicznej zmieniło się po pierwszej wojnie w rejonie Zatoki Perskiej w latach 1990–1991.

Największym konfliktem zbrojnym, w którym użyto na masową skalę broni chemicznej, pozostaje jednak wielka wojna z lat 1914–1918. Dlaczego podczas II wojny światowej żadna ze stron tego nie zrobiła?

Skutki użycia broni chemicznej podczas I wojny światowej z pewnością odcisnęły piętno w pamięci wielu osób. Wątpię jednak, by to dylematy moralne powstrzymały polityków i wojskowych przed wykorzystaniem broni chemicz-

nej w drugim konflikcie globalnym. Prawdziwym powodem był strach przed wysoce prawdopodobnym działaniem odwetowym.

Zapisy zakazujące stosowania broni trujących i trucizn podczas wojny znalazły się w IV konwencji haskiej z 1907 roku, czyli już wówczas postrzegano je jako wątpliwe moralnie środki walki.

Już samo posiadanie jakiegokolwiek broni masowego rażenia jest pewnego rodzaju etycznym wzięciem zakładników. Są nimi zarówno państwa, które jej nie mają, jak i te dysponujące takim uzbrojeniem, ponieważ w ramach odwetu przeciwnik może użyć przeciwko nim podobnych środków. Jednocześnie rodzą się obawy o konsekwencje prawne, bo ofiarami broni masowego rażenia, oprócz personelu wojskowego, są także cywile, których jako nieuczestniczących w walce szczególnie chroni prawo międzynarodowe.

Konwencja z 1907 roku nie zapobiegła jednak użyciu gazów bojowych podczas wojny, która wybuchła siedem lat później.

Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo, że może dojść do naruszeń konwencji w przyszłych wojnach. Wpływ na to będzie miał charakter konkretnego konfliktu, a tego nie jesteśmy w stanie w pełni przewidzieć. Niemniej jednak w wypadku wojen między państwami użycie broni chemicznej, choć destrukcyjne, może mieć marginalne znaczenie. Wyzwanie, jakiemu musi sprostać reżim nieprolifracji broni chemicznej, to asymetryczność współczesnych konfliktów zbrojnych i zaangażowanie w nie podmiotów niepaństwowych oraz tzw. państw upadłych. To tu istnieje największe ryzyko szerszego użycia broni chemicznej w działaniach zbrojnych.

Jakie jest największe współczesne zagrożenie związane z zakazaną bronią?

Przede wszystkim wspomniane wyżej konflikty o charakterze asymetrycznym, w których uczestniczącymi podmiotami nie zawsze są państwa, oraz bioterroryzm. Przykładem są wojny na Bliskim Wschodzie, gdzie walczą ugrupowania rebelianckie czy organizacje terrorystyczne, nierespektujące jakichkolwiek konwencji. I to użycie broni chemicznej lub biologicznej przez takich nieobliczalnych graczy jest teraz największym zagrożeniem.

Czy broń chemiczna nie stanowi też pokusy dla uboższych, słabiej rozwiniętych państw, żeby tanim kosztem wzmocnić swój potencjał militarny?

Takie niebezpieczeństwo zawsze trzeba brać pod uwagę. Jest to ogromne wyzwanie stojące przed społecznością międzynarodową. Niemniej jednak dla polityków marzących o takiej broni w ich arsenale przestrożą powinien być los Saddama Husajna. Broń chemiczna stała się jedną z przyczyn jego upadku. ■

TEL DAT



Innowacyjne oraz rozległe działające rozwiązanie, dedykowane dla struktur krajowego systemu zarządzania kryzysowego, NATO i UE

www.TELDAT.com.pl



TEL DAT
Cicha 19-27
85-650 Bydgoszcz

tel.: +48 52 341 97 00
fax: +48 52 341 97 40
e-mail: teldat@teldat.com.pl



Nieskażeni rutyną

Do głównych zadań wojskowych chemików należą wykrywanie, identyfikacja oraz likwidacja różnego rodzaju skażeń. Ostatnio jednak to nie zagrożenie chemiczne postawiło ich w stan gotowości, lecz kryzys wywołany pandemią.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK



Żołnierze z 5 Pułku Chemicznego w Tarnowskich Górach prowadzili m.in. dezynfekcję pojazdów wojskowych, stacji krwiodawstwa, stołówek, domów pomocy społecznej, szpitali.

Od marca żołnierze pododdziałów chemicznych prowadzą dezynfekcję szpitali, przychodni czy stacji krwiodawstwa. Odkazają stołówki, internaty, magazyny, domy pomocy społecznej, wojskowe pojazdy i samoloty oraz przewożone przez nie towary. „Okazuje się, że również w takiej sytuacji sprawdzają się nasze środki ochronne i procedury”, mówi ppłk dr Piotr Wachna, zastępca dowódcy 4 Pułku Chemicznego w Brodnicy. To zresztą nie pierwszy raz, gdy chemicy wspierają społeczeństwo w sytuacjach kryzysowych. Od lat pomagają w czasie klęsk żywiołowych,

np. po powodziach prowadzą dezynfekcję budynków oraz dróg. Usuwiają z zalanych terenów martwe zwierzęta i neutralizują toksyczne odpady.

Podstawowym zadaniem pododdziałów chemicznych są jednak ocena skutków użycia broni masowego rażenia, monitorowanie skażeń, ich rozpoznanie i likwidacja. Zajmują się także dezynfekcją sprzętu, infrastruktury i ludzi. „Dzisiejsze doświadczenia pokazują, jak bardzo te wojska są potrzebne”, podkreśla płk Jarosław Stocki, szef Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, i tłumaczy dlaczego: „Zakres naszych zadań jest o wiele szerszy niż tylko wspieranie sił zbrojnych w obronie przed bronią masowego rażenia”.

SIŁA EKSPORTOWA

Gdy w marcu 2003 roku rozpoczęła się wojna w Iraku, uzasadniano, że jej celem jest likwidacja baz terrorystycznych oraz irackich zapasów broni masowego rażenia, zwłaszcza chemicznej. Częścią międzynarodowej koalicji, która podjęła tam interwencję, była Polska. Na podstawie amerykańskich raportów oceniano wówczas, że zagrożenie bronią chemiczną będzie duże, więc w rejon konfliktu, poza logistykami, najpierw skierowano oddziały wojsk chemicznych.

Na Bliski Wschód w ramach Polskiego Kontyngentu Wojskowego Jordania (potem PKW Irak) pojechało kilkudziesięciu żołnierzy wzmocnionego plutonu likwidacji skażeń z 4 Pułku Chemicznego z Brodnicy wraz ze sprzętem rozpoznania chemicznego i promieniotwórczego, instalacjami do odkazania terenu i sprzętu oraz laboratorium chemiczno-radiometrycznym. Chemicy mieli zabezpieczać kontyngent, gdyby Irakijczycy sięgnęli po broń chemiczną. Ostatecznie do tego nie doszło i żołnierze zajmowali się m.in. analizą próbek dostarczanych przez Amerykanów.

Udział w tej misji otworzył przed polskimi jednostkami chemicznymi drzwi do współpracy mię-

dzynarodowej. W 2004 roku chemików z Tarnowskich Gór skierowano do zabezpieczenia olimpiady i paraolimpiady w Grecji, dwa lata później żołnierzy z Brodnicy wysłano na szczyt NATO w Rydze. Regularnie uczestniczą oni także w sojuszniczych ćwiczeniach dotyczących wykrywania skażeń „Brave Beduin”. Są też częścią Wielonarodowego Batalionu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia w Siłach Odpowiedzi NATO. Trzykrotnie Polska miała w nim status tzw. państwa wiodącego.

„Udział w Siłach Odpowiedzi NATO czy w składzie kontyngentów wojskowych pozwala na stałe podtrzymywanie gotowości bojowej wojskowych chemików do zadań, jakie przyszłoby im wykonywać w czasie konfliktu zbrojnego, gdyby doszło do użycia środków masowego rażenia”, wyjaśnia płk Jarosław Stocki i dodaje: „Podstawowym zadaniem jednostek chemicznych byłoby wówczas zbadanie użytego środka, określenie, jakiej technologii należy użyć do jego likwidacji lub neutralizacji. Wkrótce będziemy także gotowi, by wskazać potencjalnego sprawcę napadu z użyciem bojowych środków trujących, bo pracujemy nad uzyskaniem zdolności do dowodowego pobierania prób z miejsca skażenia”. Teraz trwa roczny dyżur Polaków w Siłach Odpowiedzi NATO. Trzonem liczącej blisko 900 osób grupy zadaniowej OPBMR są żołnierze 4 Pułku Chemicznego z Brodnicy, a jej dowódcą jest ppłk dr Piotr Wachna.

W GOTOWOŚCI DO POMOCY

Wojskowi chemicy mają co robić w czasie pokoju. „Przygotowujemy żołnierzy do prowadzenia rozpoznania, identyfikacji i monitoringu skażeń oraz wczesnego ostrzegania o zagrożeniu”, tłumaczy st. chor. Tomasz Spalek z 5 Pułku Chemicznego. Eksperci Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni opracowali oprogramowanie dla żołnierzy tej jednostki. „Niezależnie od tego, czy dojdzie do rozszczelnienia cysterny z chemikaliami, czy ataku z użyciem broni masowego rażenia, to pozwoli nam ono w kilka sekund przestać komunikat. Dotychczas zajmowało to kilkanaście minut”, tłumaczy podoficer. Chorąży wyjaśnia, że żołnierz w terenie wstępnie rozpoznaje rodzaj skażenia, a potem za pomocą tabletu przekazuje zaktualizowany komunikat o tej sytuacji. „Dążymy do tego, by żołnierz, wchodząc w strefę skażenia, rejestrował także obraz wideo. To pozwala na lepsze zobrazowanie pola walki i planowanie kolejnych działań”, podkreśla płk Mirosław Kobryń, dowódca 5 Pułku Chemicznego.

Takie oprogramowanie przyda się także żołnierzom zespołów ratownictwa chemicznego,

zajmującym się zwalczaniem zagrożeń pochodzenia niemilitarnego, np. w sytuacji przemysłowego skażenia środowiska. Chemicy kilkanaście razy w roku są wzywani w miejsca, gdzie odkryto nieznane substancje wojskowego pochodzenia. W Bornem Suliniowie interweniowali, gdy dwóch mężczyzn poparzyło się iperytem. Substancja wydostała się z beczki, którą wykopali z ziemi, by oddać ją do skupu złomu.

Grożne substancje są znajdowane również na plażach. Po wojnie w Bałtyku zatopiono tysiące ton amunicji oraz broń chemiczną. Zdarza się więc, że wzburzone morze wyrzuca na brzeg np. zbrylone kawałki iperytu. „Kilka lat temu znaleziono beczkę z chloropikryną. Nasi żołnierze w takiej sytuacji zabezpieczają teren oraz niebezpieczne znalezisko, a następnie neutralizują środek”, tłumaczy płk Stocki i dodaje, że chemików wezwano też, gdy odnaleziono niemieckie bomby znacznikowe wyposażone w fiolki z dymnymi ładunkami chemicznymi czy wykopano z ziemi ampułki z płynem nieznanego pochodzenia. Pomagali też w usunięciu trującego grzyba, który rozwinął się w podziemiach krakowskiego Rynku. „Nasza praca wtedy przypomina trochę patrol saperski. Jedziemy, gdy policjanci lub strażacy stwierdzą, że odnaleziono niebezpieczną substancję”, tłumaczy płk Kobryń. Podjęty przez chemików materiał jest wstępnie badany na miejscu, a potem próbki trafiają do laboratoriów w Centralnym Ośrodku Analizy Skażeń, Wojskowym Instytucie Chemii i Radiometrii lub Wojskowej Akademii Technicznej.

CHCE SIĘ PRACOWAĆ

Ostatnie miesiące to dla wojskowych chemików jednak przede wszystkim walka z COVID-19, w związku z czym setki godzin spędzają na odkażaniu różnego rodzaju budynków. Por. Bartosz Grzankowski, dowódca zespołu zadaniowego z 5 Pułku Chemicznego z Tarnowskich Gór, prowadził odkażanie m.in. w domu pomocy społecznej w Drzewicy, gdzie 80 osób, pensjonariuszy i pracowników, było zarażonych koronawirusem. „Trwało to dwa dni. Trzeba bardzo dokładnie metr po metrze oczyszczać pomieszczenia, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc często dotykanych, takich jak np. futryny i klamki”, opowiada. Następnie żołnierze przeprowadzili ozonowanie pomieszczeń.

„Są dni, kiedy moi żołnierze prowadzą dezynfekcję jednocześnie w czterech różnych województwach”, mówi płk Mirosław Kobryń. Jednostka działa na Górnym i Dolnym Śląsku, w Małopolsce, na Podkarpaciu, Lubelszczyźnie oraz w województwach świętokrzyskim i łódzkim. „Zdezynfekowaliśmy ponad 2200 jednostek sprzętu i 850 osób. Odkaziliśmy 95 t ładunku oraz ponad 1200 pomieszczeń i teren o łącznej powierzchni

PEŁEN WACHLARZ

W wojskach chemicznych sprzęt jest bardzo zróżnicowany. Żołnierze mają do dyspozycji wysokiej klasy wyposażenie ochrony osobistej, dróg oddechowych i skóry oraz spełniającą natowskie wymagania odzież filtracyjną, maski przeciwgazowe MP5 i MP6, filtropochłaniacze. Choć nie najmłodszy, sprawdza się także sprzęt do likwidacji skażeń. Piętą achillesową jest natomiast samobieżny sprzęt do rozpoznania skażeń, czyli pięćdziesięcioletnie wozy BRDM 2rs.

56 tys. m²”, wylicza dowódca. Prowadzili dezynfekcję wojskowych karettek, stacji krwiodawstwa, stołówek, domów pomocy społecznej, szpitali. Obecni są także na wrocławskim lotnisku, gdzie odkażają samoloty, przewożony ładunek, załogi lotnicze oraz pasażerów. Podobne prace w centralnej i północnej części Polski prowadzi 4 Pułk Chemiczny z Brodnicy. Odkazali m.in. siedzibę Sejmu oraz budynki Ministerstwa Obrony Narodowej. Zajmowali się też żołnierzami Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik”, którzy wrócili z misji w Estonii.

Zagrożenie epidemiczne było pewnego rodzaju testem dla naszych jednostek chemicznych. „Cały rok szkolimy się na poligonach, a teraz przyszło nam sprawdzić swoje umiejętności w warunkach realnego zagrożenia”, podkreślają żołnierze.

INWESTYCJE W PRZYSZŁOŚĆ

Płk Jarosław Stocki zaznacza, że walka z pandemią wymaga zaangażowania dużych sił. „Wojskowi chemicy wykonali ponad 205 zadań. Takiego zaangażowania wyspecjalizowanych pododdziałów nie mieliśmy od czasu katastrofy w Czarnobylu”, mówi i dodaje, że to moment na wnioski na przyszłość. Żołnierze po tych doświadczeniach przyznają np., że przydałoby im się więcej szkoleń dotyczących zagrożeń biologicznych.

Pierwsze wnioski już zostały wprowadzone w życie. Zarząd OPBMR postulował, by najłatwiejsze zadania polegające na dezynfekcji infrastruktury prowadziły także inne pododdziały niewyspecjalizowane. Chodzi o to, by w każdym województwie były przynajmniej dwie jednostki, które dysponują odpowiednim wyposażeniem i mają przeszkolonych ludzi. „Pozyskaliśmy już dodatkowy sprzęt. Chcemy w ten sposób odciążyć wojskowych chemików i lepiej dobierać dla nich zadania. Nie oznacza to jednak, że w sytuacjach kryzysowych przestaną oni pomagać społeczeństwu. Chemicy będą tam, gdzie wymagane są specjalistyczna wiedza i doświadczenie, czyli np. podczas dezynfekcji statków powietrznych i ludzi, a nie podczas dezynfekcji przystanków autobusowych czy klatek schodowych”, podkreśla płk Stocki. Już przygotowuje się ludzi do tych działań na szkoleniach pododdziałów z różnych rodzajów sił zbrojnych.

O rozwoju wojsk chemicznych myśli także kierownictwo resortu obrony. Na bieżąco są prowadzone zakupy środków i sprzętu, np. do odkażania. Pod tym kątem skorygowano też „Plan modernizacji technicznej SZRP na lata 2021–2035”. „W dłuższej perspektywie przewidziano rozwinięcie istniejących jednostek wojsk chemicznych oraz formowanie nowych, w tym specjalistycznej kompanii chemicznej”, informuje Centrum Operacyjne MON. Ten pododdział dla 18 Dywizji Zmechanizowanej powstanie w strukturach 5 Pułku Chemicznego. Jego formowanie rozpocznie się w 2021 roku.

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre


Member



MSPO

**XXVIII Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**



Brytyjska Wystawa Narodowa

8-11.09.2020, Kielce

TU SPOTYKA SIĘ BRANŻA OBRONNA

PARTNER STRATEGICZNY



WWW.MSPO.PL

Profesorze, czy to jeszcze wojna?

W czasie I wojny światowej po raz pierwszy w dziejach użyto broni chemicznej na masową skalę. Prym wiedli tutaj Niemcy. Przede wszystkim dlatego, że po swojej stronie mieli prof. Fritza Habera.

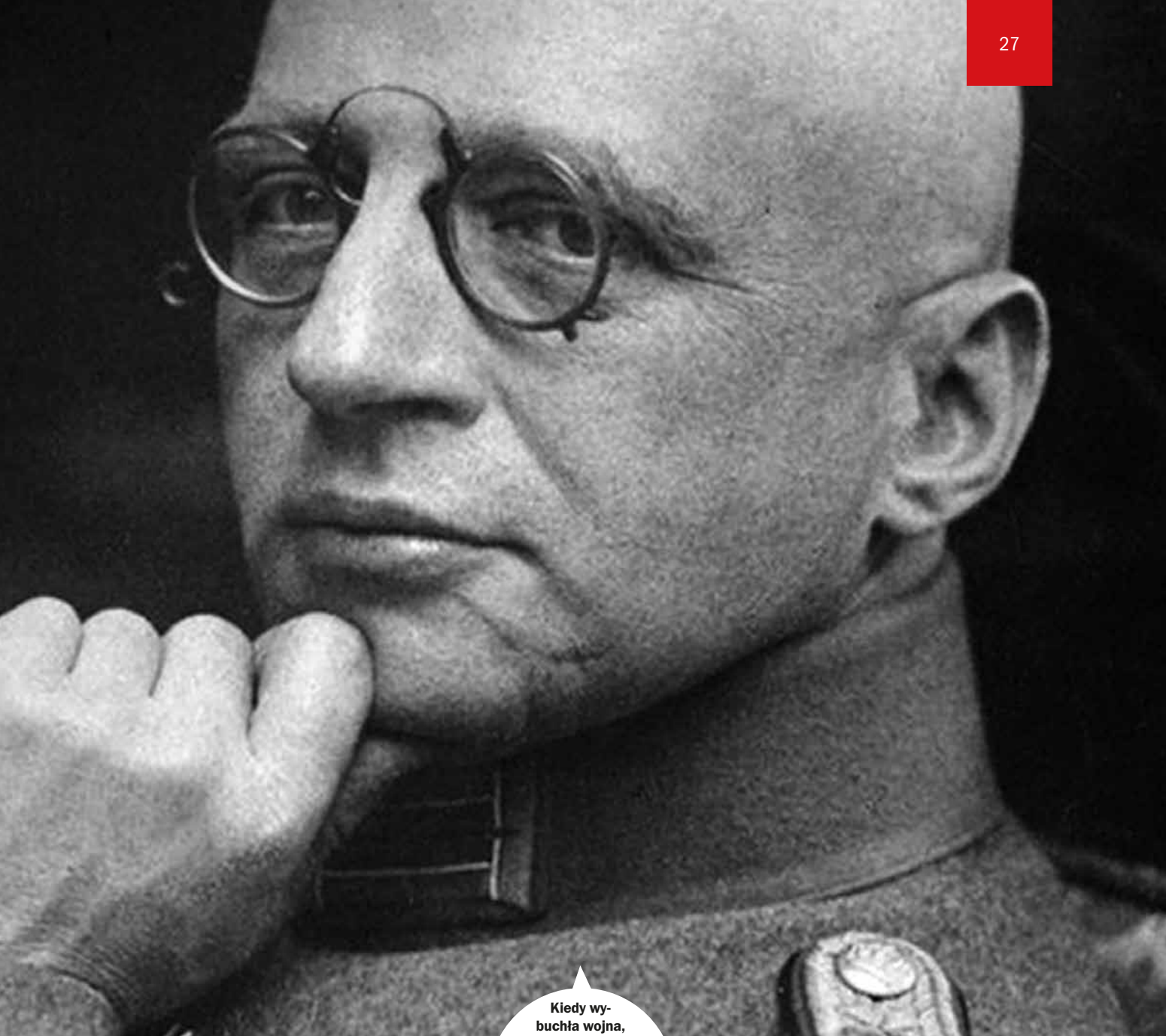
ŁUKASZ ZALESIŃSKI

O błąk gnany przez wiatr rozplątał się w powietrzu. Niemieccy żołnierze opuścili okopy i krok po kroku posuwali się ku pozycjom nieprzyjaciela. Towarzyszyła im upiorna cisza. Działa i karabiny milczały. Prof. Fritz Haber i oddelegowany do jego ochrony por. Max Wild szli tuż za tyralierą. Wkrótce zobaczyli pierwszych Rosjan. Po latach Wild będzie wspominał: „To była zgroza, która urągała ludzkiej fantazji. Ludzie zmagający się w śmiertelnej walce wlekli się na czworakach i jak w obłąkaniu rwali na ciele odzież. [...] Świszczące, zatrute oddechy mówiły o niezmiernej męce konających. Niebieskie wargi, niebieskie to, co wcześniej w oku było białe, w kątach ust żółta piana i nieopisana groza na twarzach. Czy to jeszcze była wojna?”. Porucznik oniemiały stał pośród pobojowiska. Naraz jego wzrok padł na Habera, który pochylał się nad konającymi, dokładnie ich lustrując. Kolejne spostrzeżenia zapisywał w notatniku – me-

chanicznie, na chłodno. W wieczór poprzedzający atak pod Bolimowem Haber długo perorował na temat oddziaływania chloru na ludzki organizm. Wild nie wytrzymał: „Panie profesorze, czyż nie jest bestialstwem mordować ludzi w ten sposób? Dotychczas walczyliśmy z Rosjanami jak z ludźmi. Teraz będziemy zabijać metodami, których nawet nie są w stanie pojąć”. Po kilku sekundach milczenia Haber odparł: „Dziś, kiedy mamy przeciwko sobie cały świat, musimy odrzucić moralne obiekcje”.

NIEMIEC W STU PROCENTACH

1 sierpnia 1914 roku nieprzebrany tłum zgromadził się pod pałacem Wilhelma II w sercu Berlina. Kiedy cesarz i jego małżonka pojawili się w oknie, z dziesiątek tysięcy gardel popłynęło: „Deutschland, Deutschland über alles”. „W moim ludzie nie ma już stronnictw! Wszyscy jesteście Niemcami!



Kiedy wybuchła wojna, Fritz Haber zaproponował niemieckiemu dowództwu, że wykorzysta swoją wiedzę do stworzenia broni zupełnie nowej ery – bojowego gazu.

Stoimy tutaj jak bracia i Bóg poprowadzi nas do zwycięstwa!” wykrzyczał Wilhelm, a niesiony entuzjazmem tłum zafalował. „Duch skondensowanego do granic możliwości patriotyzmu nie ograniczał się wówczas tylko do Niemiec. Ekspłodował w każdym praktycznie zakątku świata, nakazując postawić roszczenia narodów ponad wszelkie ludzkie więzi”, podkreśla Daniel Charles, autor książki „Master Mind: the Rise and Fall of Fritz Haber, the Nobel Laureate, Who Launched the Age of Chemical Warfare”.

Kilka dni wcześniej wybuchła wojna, w której naprzeciw siebie stanęły dwa wielkie bloki państw. Trzon pierwszego stanowiły Niemcy i Austro-Węgry, w drugim prym wiodły Wielka Brytania, Francja oraz Rosja. Wkrótce po tym, jak cesarz przemówił do berlińczyków z okna swej rezydencji, jego wojska pomaszerowały na Belgię. Inwazja miała stanowić załedwie wstęp do marszu na Paryż. Wszyscy liczyli, że zwanie

potęg zakończy się w ciągu kilku tygodni. „Wilhelm II obiecał żołnierzom, że wrócą do domów, zanim liście opadną z drzew. Podobnie myśleli alianci”, wyjaśnia dr hab. Piotr Szlanta, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego. Fronty jednak szybko stanęły w miejscu. Armie ugrzęzły w okopach, a żołnierze ginęli tysiącami. Dowódcy zaczęli poszukiwać sposobu na wyjście z impasu. Wtedy na horyzoncie pojawił się Fritz Haber.

Ten profesor chemii był jednym z najgenialniejszych naukowców cesarstwa. Urodził się we Wrocławiu. Wykształcenie zdobywał na uczelniach w Heidelbergu, Berlinie oraz Zurichu. Mozolnie pisał się po szczeblach uniwersyteckiej kariery, sławę zawdzięczając m.in. opracowaniu metody produkcji amoniaku. Droga, którą przebył, nie należała jednak do łatwych. W osiągnięciu szczytów Haberowi nie pomagało żydowskie pochodzenie. Oficjalnie rzecz jasna Żydzi



w cesarstwie nie byli dyskryminowani, a jednak część społeczno-towarzyskich elit spoglądała na nich z rezerwą. Habera musiało to boleć szczególnie. Milowym krokiem ku asymilacji miał się stać chrzest, który Haber jako młody człowiek przyjął w jednym z wrocławskich kościołów ewangelickich. Kiedy wybuchła wojna, profesor uznał, że oto nadarza się doskonała okazja, by potwierdzić swoje oddanie kaiserowskim Niemcom. Zaproponował dowództwu, że wykorzysta swoją wiedzę do stworzenia broni zupełnie nowej ery – bojowego gazu.



Doktor nauk chemicznych Clara Immerwahr-Haber, żona Fritz, popełniła samobójstwo w protestcie przeciwko użyciu broni chemicznej na frontach I wojny światowej i roli swego męża w pracach nad tą bronią.

BUTLA CIĘŻKA JAK CIAŁO

Haber nie był pierwszy. Już jesienią 1914 roku Niemcy wystrzelili w stronę francuskich okopów serię 105-milimetrowych pocisków wypełnionych gazem łzawiącym. Amunicję pomogli wyprodukować specjaliści z firmy Bayer. Uderzenie okazało się jednak nieskuteczne. Silny wiatr rozwinął obłok, a Francuzi nawet nie byli świadomi, że zostali zaatakowani nową bronią. W tym czasie ich naukowcy sami bardzo intensywnie pracowali nad podobnymi pociskami. Także Brytyjczycy. Haber miał jednak inny pomysł. Nie chodziło o to, by gaz wprowadził chaos w szeregach nieprzyjaciela. On miał zabijać – szybko i skutecznie. Pod koniec 1914 roku profesor rozpoczął próby z wykorzystaniem chloru. Jednocześnie kompletował współpracowników. „Haber zebrał niezwykły zespół, w którym znaleźli się trzej przyszli laureaci Nagrody Nobla za prace nad rozszczepieniem jądra atomu: James Franck, Gustav Hertz i Otto Hahn”, wyjaśnia Daniel Charles. „Hahn zastanawiał się głośno, czy użycie przez Niemców broni gazowej nie będzie oznaczało złamania konwencji haskiej. Haber odpowiedział mu, że nie, ponieważ Francuzi już to zdążyli zrobić, tyle że nieskutecznie. Taka nieprawdziwa plotka była rozpowszechniana po niemieckiej stronie frontu. Ale co ważniejsze, przekonywał, że szybkie zakończenie wojny pozwoli ocalić niezliczoną liczbę ludzkich istnień”.

W początkach 1915 roku zespół Habera i 500 żołnierzy z nowo powołanych oddziałów chemicznych udało się do Kolonii. Tam uczyli się, jak przenosić i obsługiwać nową broń – 20- i 40-litrowe butle z chlorem. W marcu wszyscy udali się na linię frontu, nieopodal belgijskiego miasta Ypres. Butle zostały wkopane w ziemię, a sami żołnierze czekali na sygnał meteorologów. Do uwolnienia gazu niezbędna była odpowiednia pogoda – silny wiatr wiejący w kierunku okopów przeciwnika. Aura jednak Habera nie rozpieszczała. Wkrótce doszedł do wniosku, że samo miejsce jest na atak nieodpowiednie, bo wiatry zwykle dmą tam w stronę dokładnie przeciwną. Blisko 5 tys. butli trzeba było wykopać i przenieść w inne miejsce. A każda z nich, jak żalił się Haber, „była ciężka i nieporęczna niczym ciało”. Ostatecznie atak nastąpił 22 kwietnia 1915 roku. Jak opisywał kanadyjski żołnierz Jim Keddie, przed nie-

mieckimi okopami sformowała się żółto-zielona chmura, która wolno zaczęła się przesuwać w jego stronę. Keddie ocalał, ponieważ wiatr zmienił kierunek i obłok skręcił nieco w bok. Ostatecznie ogarnął przede wszystkim okopy, w których kryli się Algierczycy we francuskich mundurach. Gaz zabił około tysiąca alianckich żołnierzy. Kolejnych kilkanaście tysięcy uczynił niezdolnymi do walki. Niemcy, wbrew oczekiwaniom, nie zdołali przełamać frontu, ale i tak atak wywarł na aliantach piorunujące wrażenie. Feldmarszałek John French, dowódca Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego,

w raporcie do ministra wojny, lorda Horatia Kitchenera pisał, że Niemcy w sposób cyniczny i barbarzyński zlekceważyli zasady cywilizowanej wojny. Zaraz jednak dodał, że Wielka Brytania powinna podjąć jak najszybsze kroki, by pozyskać podobną broń dla własnych oddziałów. Tymczasem Haber pod koniec kwietnia wrócił do Berlina. I choć wielu niemieckich generałów do wydarzeń spod Ypres podchodziło z rezerwą, on sam był witany jak bohater. Rychło z pominięciem wszelkich procedur cesarz przyznał mu stopień kapitana. Wkrótce jednak miał na niego spaść niespodziewany cios.

WYBÓR CLARY

1 maja wieczorem Haber organizuje w domu przyjęcie. W nocy, kiedy profesor śpi, jego żona bierze jego służbowy pistolet i idzie do ogrodu. Oddaje jeden próbny strzał, po czym przykłada broń do piersi i pociąga za spust. Martwą kobietę znajduje nastoletni syn.

Clara Haber z pewnością była postacią nietuzinkową. Tak jak Fritz pochodziła z Wrocławia. Wywodziła się też z zasymilowanej rodziny żydowskiej i była chemikiem – pierwszą w historii kobietą, która ukończyła wrocławski uniwersytet. Kiedy jednak wyszła za mąż, zmuszona była porzucić naukowe ambicje. Gdy okazało się, że Fritz pracuje nad bronią chemiczną, głośno zaprotestowała. Według relacji świadków, mieli się o to pokłócić na przyjęciu 1 maja.

Kilka dni po skromnym pogrzebie Haber ponownie wyjechał na front – tym razem wschodni. 31 maja 1915 roku Niemcy rozpylili chlor pod Bolimowem. Bezpośrednio na polu walki zabił on 1183 osoby. W kolejnych dniach w polowych szpitalach mogło umrzeć nawet 6 tys. poszkodowanych. „Wkrótce gaz stał się na frontach I wojny światowej bronią niemal powszechną. Zaczęły jej używać wszystkie liczące się armie: Brytyjczycy, Francuzi, Rosjanie i Amerykanie, którzy z czasem dołączyli do antyniemieckiej koalicji”, wylicza dr hab. Szlanta. Jednocześnie armie coraz lepiej zabezpieczały się przed tego typu atakami. Żołnierze zostali na przykład wyposażeni w maski przeciwgazowe.

Tymczasem Haber bardzo intensywnie pracował nad rozwojem swojego pomysłu. W 1916 roku jego zespół



Brytyjscy żołnierze oślepieni gazem. Kwiecień 1918 roku

**PODCZAS I WOJNY ŚWIATOWEJ ZABI-
TYCH I RANNYCH ZOSTAŁO PRZESZŁO
20 MLN OSÓB. OKOŁO 650 TYS.
UCIERPIAŁO NA SKUTEK ATAKÓW
BRONIĄ CHEMICZNĄ**

OFIARA ATAKU GAZOWEGO

W chwili wybuchu II wojny, światowe mocarstwa miały ogromne zasoby broni gazowej. Nikt nie zdecydował się jednak użyć jej na masową skalę. Aliantów wstrzymywały międzynarodowe konwencje. Adolf Hitler miał je za nic, ale pielęgnował w sobie głęboki uraz z poprzedniej wojny, kiedy to jako kapral niemieckiej armii padł ofiarą ataku gazowego. Bał się, że jeśli teraz sięgnie po gaz, alianci odpowiedzą tym samym, a dla Niemców będzie to oznaczało miliony ofiar. Jednak niezależnie od tego nazisłci skorzystali z wynalazku, nad którym Fritz Haber w pocie czoła pracował. Preparat nosił nazwę Cyklon B.

formalnie został włączony w struktury armii. Rok później liczył już 1500 osób, w tym 150 naukowców. 12 lipca 1917 roku niemiecki pułk chemiczny ponownie zaatakował pod Ypres. Kiedy alianckie okopy zaczęły spowijać toksyczny obłok, żołnierze nie panikowali. Po prostu zaczęli wkładać ochronne maski przeciwgazowe. Szybko okazało się jednak, że to nie wystarczy. Gaz powodował ciężkie poparzenia, zadawał głębokie rany, pozbawiał wzroku. Alianci umierali w niesłychanych męczarniach.

Tego dnia na równinach Flandrii Niemcy zastosowali zupełnie nowy rodzaj broni chemicznej, o wiele groźniejszy od chloru – iperyt, zwany też gazem musztardowym. Jeszcze przed atakiem Haber długo rozmawiał z Erichem Ludendorffem, jednym z najpotężniejszych niemieckich generałów. Ostrzegł go, że sięgając po nową broń, musi być pewien, że Niemcy w ciągu roku wygrają wojnę. Jeśli walki będą się przedłużać, naukowcy ententy zyskają czas na przygotowanie równie groźnego oręża.

Wojna trwała nieco dłużej. Niemcy jednak ją przegrali. W walkach zabitych i rannych zostało przeszło 20 mln osób. Około 650 tys. ucierpiało na skutek ataków bronią chemiczną. „Użycie gazu otworzyło zupełnie nowy rozdział w historii konfliktów zbrojnych. Ostatecznie jednak broń nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Nie miała decydującego wpływu na rezultat wojny. Większość żołnierzy poddanych jej działaniu zdołała przeżyć. Większą liczbę ofiar pochłonęły... lawiny”, przyznaje dr hab. Piotr Szlanta.

OD STRACHU DO NOBLA

Wielka wojna radykalnie zmieniła obraz Europy. Upadły stare potęgi, powstały nowe państwa. W miejsce cesarstwa narodziła się Republika Weimarska. Haber popadł w głębokie zniechęcenie. Jak wspomina Daniel Charles, po Niemczech krążyła plotka, że może trafić na listę zbrodniarzy, których alianci będą chcieli postawić przed sądem. Ostatecznie tak się nie stało, ale i tak przyszłość profesora rysowała się raczej w ciemnych barwach. Z marazmu wyrwała go nieoczekiwana wieść – Norweski Komitet Noblowski przyznał mu nagrodę w dziedzinie chemii za rok 1918. Haber został doceniony za opracowanie metody pozyskiwania amoniaku. Decyzja wywołała skandal.

Kariera Habera dobiegła końca wraz z dojściem do władzy nazistów. Mimo że gotów był on do współpracy również z nimi, Hitler nie mógł tolerować obecności Żyda w naukowej elicie III Rzeszy. Profesor został zmuszony do porzucenia uczelni i udał się na emigrację. Zmarł w Szwajcarii, w 1934 roku.

Korzystałem z książki Daniela Charlesa, „Master Mind: the Rise and Fall of Fritz Haber, the Nobel Laureate, Who Launched the Age of Chemical Warfare”, 2005, oraz Międzynarodowej Encyklopedii I Wojny Światowej, www.encyclopedia.1914-1918-online.net

OLGA
DOCTOR

BioClean-D



**POLAND
EMERGENCY
MEDICAL
TEAM** PCPM



DO WŁOCH POLECIAŁO 15 OSÓB, W TYM ANESTEZJOŁODZĄ, KARDIOLOGA I SPECJALIŚCI MEDYCYNY RATUNKOWEJ ORAZ PIELEGNIARKI I RATOWNICY.

MEDYCZNE OPERACJE SPECJALNE

W Lombardii walczyli o życie i zdrowie pacjentów zarażonych SARS-Cov-2, a potem ze zdobytym tam doświadczeniem wyruszyli z misjami eksperckimi do Słowenii i Stanów Zjednoczonych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ARCH. WIM



P

andemia koronawirusa rozwijała się w zastraszającym tempie. We Włoszech, które stały się europejskim ogniskiem choroby, zakażonych przybywało z godziny na godzinę, a lekarze często musieli wybierać, komu udzielić pomocy. Brakowało rąk do pracy. Na dramatyczne doniesienia z Lombardii szybko zareagowali polscy medycy i zaproponowali pomoc.

„Wiedzieliśmy, że Włosi apelują do swoich lekarzy, by przyjeżdżali na północ kraju i podejmowali pracę na szpitalnych oddziałach intensywnej terapii i oddziałach ratunkowych. Rozpaczliwie potrzebowali każdego wsparcia”, mówi kpt. dr n. med. Jacek Siewiera, anestezjolog, kierownik Oddziału Klinicznego Medycyny Hiperbarycznej WIM, dowódca polskiej misji medycznej. „Mieliśmy świadomość, że jest to wyjazd z narażeniem zdrowia i życia. We Włoszech 20% spośród 30 tys. zakażonych stanowił personel medyczny, a śmiertelność sięgała 10%. Mimo to chcieliśmy pomóc ratować ludzi, a także zdobyć wiedzę, która pomoże walczyć z pandemią u nas w kraju. Wywiad i rozpoznanie stanowią podstawę planowania w wojsku. Nie inaczej jest w medycynie”, podkreśla.

PIERWSZE UDERZENIE

Polską misję medyczną stworzyli wspólnie Wojskowy Instytut Medyczny i Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Do Lombardii poleciało 15 osób, w tym anestezjolog, kardiolog i specjaliści medycyny ratunkowej oraz pielęgniarzy i ratownicy. „Potrzebowaliśmy specjalistów o wysokich kwalifikacjach, przede wszystkim anestezjologów, ludzi, którzy mają doświadczenie w pracy na oddziałach ratunkowych i w zespołach ratownictwa”, mówi kpt. Siewiera. Większość lekarzy miała już do czynienia z chorymi na COVID-19 w Polsce.

„W kraju mieliśmy wówczas niewielu chorych, ale cały czas krzywa zachorowań rosła. We Włoszech natomiast działały się już rzeczy straszne”, wspomina medycy. Lombardia pod koniec marca była regionem całkowicie opustoszałym. „W szpitalach częściej widziało się wózki ze zwłokami niż ludzi na korytarzu. Dziennie wojskowe transporty wywoziły dziesiątki ton zwłok”, opowiadają.



Kpt. dr n. med. **JACEK SIEWIERA**, dowódca polskiej misji medycznej: „Mieliśmy świadomość, że jest to wyjazd z narażeniem zdrowia i życia. Mimo to chcieliśmy ratować ludzi, a także zdobyć wiedzę, która pomoże walczyć z pandemią u nas w kraju”.



Zarówno we Włoszech, jak i w Stanach Zjednoczonych bardzo szybko od momentu wybuchu pandemii do pomocy ruszyło wojsko. To żołnierze budowali tymczasowe szpitale dla zakażonych.

Lekarze polecili do Brescii, około 50 km od Bergamo. W tamtejszym szpitalu klinicznym rozwinęli polski oddział intensywnej terapii. Stanęli bezpośrednio przy łóżkach chorych i walczyli o ich życie. „Włosi przyjęli pierwsze uderzenie, a potem każdy kolejny europejski kraj miał czas, by do pandemii w jakimś stopniu się przygotować. Ważne jest także to, że oni bardzo rzeczowo i skrupulatnie relacjonowali rozwój epidemii, podawali dokładne dane, nie manipulowali statystykami. To od Włochów świat dowiedział się, że COVID-19 nie jest kolejną grypą”, podkreśla kpt. Siewiera.

Polscy medycy, pracując przez dziesięć dni we Włoszech, zapoznali się m.in. z organizacją systemu ochrony zdrowia w obliczu kryzysu, podziałem obowiązków między personelem medycznym. Poznali stosowane leki, sposoby diagnostyki i terapii. Przekonali się, że kluczowym elementem leczenia pacjentów chorych na COVID-19 jest rozwinięcie na wysokim poziomie szpitalnych oddziałów intensywnej terapii. Włosi przekształcili jedno z centrów ekspozycyjnych pod Bergamo w filię



KOMENTARZ

GRZEGORZ GIELERA

Doświadczenia Włochów z prowadzenia opieki medycznej nad chorymi na COVID-19 okazały się bezcenne. Praktyka organizacji leczenia ambulatoryjnego i szpitalnego, a także kierunki transformacji podstawowej i specjalistycznej opieki medycznej są unikatowym doświadczeniem w zachowaniu wydolności systemu ochrony zdrowia. Włosi na podstawie zdobytych doświadczeń opracowali wiele metod postępowania, m.in. ocenę rokowania cho-

rych na COVID-19 na podstawie wyniku badania radiologicznego klatki piersiowej, a także pierwsze w Europie kompleksowe wytyczne dotyczące leczenia takich pacjentów. Zalecenia te jeszcze w trakcie trwania misji zostały wdrożone w WIM-ie, dzięki czemu w chwili pojawienia się w Polsce pierwszych chorych na COVID-19 byliśmy gotowi do ich leczenia według najlepszych, sprawdzonych w praktyce klinicznej standardów.

Gen. dyw. prof. dr hab. n. med. GRZEGORZ GIELERA jest dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego.

ARCH. WIM (2)

szpitala Papa Giovanni XXIII. „I to było miejsce wyłącznie do leczenia pacjentów w trybie intensywnej terapii. Jego organizacją interesowali się Amerykanie, którzy podobną strukturę tworzyli w Chicago i innych miastach”, mówi kpt. Siewiera.

TRANSFER WIEDZY

Czego jeszcze nauczyli się Polacy? Sprawowania opieki ambulatoryjnej nad chorymi na COVID-19, sposobów wentylowania pacjentów niewydolnych oddechowo, organizacji pracy skrajnie obciążonego personelu, przygotowywania lekarzy innej specjalności do pracy na oddziałach intensywnej terapii oraz budowania szpitali o charakterze intensywnej terapii – to

zaledwie kilka przykładów. Doświadczenia z Włoch wykorzystano nie tylko w Polsce. Niedługo po powrocie z Lombardii zapadła decyzja o skierowaniu za granicę kolejnej misji medycznej, tym razem stricte wojskowej. Gotowość do wyjazdu polskich medyków do Stanów Zjednoczonych zadeklarował prezydent Andrzej Duda w rozmowie z przywódcą USA, Donaldem Trumpem. „Amerykanie chcieli rozmawiać z medykami, którzy byli w Lombardii. I choć początkowo skład misji do USA był planowany inaczej, to okazało się, że do Chicago w większości leci »włoska« ekipa”, przyznaje kpt. Siewiera. Podstawowym celem wyjazdu było wsparcie sojuszników w organizacji systemu ochrony zdrowia. Polacy pojechali do



Chicago na zaproszenie Gwardii Narodowej stanu Illinois. Uczestniczyli w wielu spotkaniach na poziomie stanowym i wojskowym. Bywali w szpitalach uniwersyteckich, centrach zarządzania kryzysowego, centrach ratownictwa oraz innych instytucjach odpowiedzialnych za organizację opieki medycznej w czasie pandemii. „Poznaliśmy system zarządzania, obserwowaliśmy rolę wojska w zwalczaniu kryzysu, wizytowaliśmy także tymczasowy szpital przygotowany przez Gwardię Narodową na blisko 3 tys. łóżek”, mówi kpt. Siewiera.

Lekarze dzielili się wiedzą z personelem centrów koordynacji ratownictwa w Chicago, prowadzili wykłady oraz webinaria dla setek pracowników szpitalnych oddziałów ratunkowych i intensywnej terapii. „To była dwustronna współpraca. My przede wszystkim chcieliśmy poznać ich model opieki zdrowotnej, a także wyniki badań dotyczących skuteczności leczenia różnymi lekami będącymi w fazie badań klinicznych. W takich kryzysach często pojawiają się cudowne leki, których weryfikacja zajmuje wiele miesięcy. W USA wyniki były już dostępne, choć jeszcze nieopublikowane”, dodaje kpt. Siewiera. Podkreśla również, że WIM chce angażować się w badania naukowe, które dają perspektywy, a nie dublować doświadczenia sojuszników. „Niestety okazało się, że cudownych rozwiązań w terapii COVID-19 na razie nie ma. Liczą się przede wszystkim umiejętności anestezjologów w wentylacji pacjentów i wspieraniu ich funkcji życiowych”, przyznaje dowódca wojskowej misji medycznej. Lekarze wyjaśniają, że lepiej rokuja wyniki badań nad szczepionką prowadzone w USA i Wielkiej Brytanii.

Czterech lekarzy WIM-u uczestniczyło także w misji eksperckiej w Słowenii. Spotkali się tam z kadrą głównych słoweńskich ośrodków medycznych. „Nie pojechaliśmy do Lublany, by pracować z pacjentami, ale by zapoznać się z systemem opieki zdrowotnej w kraju o podobnej do Polski krzywej zachorowań na koronawirusa”, mówi Bartek, jeden z lekarzy, żołnierz wojsk specjalnych. Medycy obejrzeli także szpital namiotowy w Lublanie przygotowany przez słoweńskie wojsko. „Cywilna służba zdrowia opanowała pandemię i szpital ten nie był wykorzystywany. Z tego, co widzieliśmy we Włoszech, namiot nie do końca sprawdziłby się w tym typie choroby. Ciężko w takich warunkach zachować podział na strefę czystą i brudną. Włosi też na początku stawiali namioty.



POLSCY MEDYCY, PRACUJĄC PRZEZ DZIESIĘĆ DNI WE WŁOSZECH, ZAPOZNALI SIĘ M.IN. Z ORGANIZACJĄ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA W OBLICZU KRYZYSU

Wkrótce przekonali się jednak, że to nie działa”, wyjaśnia specjals.

UNIKATOWE DOŚWIADCZENIA

Zarówno we Włoszech, jak i w Stanach Zjednoczonych bardzo szybko od momentu wybuchu pandemii do pomocy ruszyło wojsko. To żołnierze budowali tymczasowe szpitale dla zakażonych. W stanie Illinois Gwardia Narodowa uruchomiła także centra badań na obecność koronawirusa w formie „drive thru”. „Oczywiście oni robią to z właściwym sobie rozmachem. Wykorzystują istniejącą już infrastrukturę, np. baraki lub stacje kontroli pojazdów, i jednorazowo na sześciu lub siedmiu liniach prowadzą testy”, przyznaje kpt. Siewiera. Dodaje jednak, że żołnierze w stanie Illinois nie pracują bezpośrednio z pacjentem, np. w szpitalach, raczej zajmują się logistyką. „Armia wspiera struktury rządowe, ale na etapach niemedyceńskich, czyli np. żołnierze zbierają dane o liczbie zachorowań”, wyjaśnia. Kilkudziesięciu wojskowych bez wykształcenia medycznego

wypełnia dwa razy dziennie czterostronicowy formularz. Dzwonią do szpitali i pytają o liczbę pacjentów, zgony, wypisy, ilość środków ochrony indywidualnej czy wolne respiratory.

„Dla mnie, jako lekarza i żołnierza wojsk specjalnych, ważne było to, by zdobyte doświadczenia wykorzystać w wojsku”, mówi Bartek. „Zwykle lekarze wojskowi mają do czynienia z ranami urazowymi, np. postrzałowymi, u pacjentów młodych, silnych. A tu spotkaliśmy się z chorymi o zupełnie innym profilu”, dodaje. Przyznaje, że po doświadczeniach we Włoszech wszyscy byli zgodni co do tego, że w kształceniu wojskowych lekarzy więcej uwagi powinno się poświęcić zagadnieniom związanym z intensywną terapią. „To jest trudne i nie da się tego nauczyć z książek. U Włochów pacjentami w stanie ciężkim zajmowali się nie tylko anestezjolodzy”, opowiada Bartek.

Pierwsze efekty misji już widać w Wojskowym Instytucie Medycznym. Tam na bieżąco wprowadzano niektóre zaobserwowane za granicą rozwiązania. „Wiemy, jak powinno się budować tymczasowe szpitale dla pacjentów wymagających intensywnej terapii. Znamy zasady konstrukcyjne takich obiektów, np. dotyczące wysokości pomieszczeń, niezbędnej kubatury, wentylacji pomieszczeń. To wiedza unikatowa w skali światowej, o której udostępnienie już dziś wystąpili do nas przedstawiciele Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych. Czy będziemy wykorzystywać ją w Polsce? Czas pokaże”, zaznacza kpt. Siewiera. ■

PLUT. MICHAŁ OLEKSIUK



Data i miejsce urodzenia: 28 stycznia 1988 roku, Ełk.

Tradycje wojskowe:

w mojej rodzinie każdy mężczyzna jest żołnierzem. Dziadkowie walczyli w szeregach 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a tata służył w Ośrodku Szkolenia Specjalistów Wojsk Inżynieryjnych w Ełku.

W wojsku służy od:

10 sierpnia 2008 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca drużyny strzelców wyborowych w 1 Batalionie Zmechanizowanym Szwoleżerów Mazowieckich 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej im. Zawiszy Czarnego.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

rodzina. A służbowo sukcesem jest dla mnie ukończenie kursu „Patrol” z drugą lokatą.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

ukończenie szkoły podoficerskiej i narodziny syna.

MISJE I ĆWICZENIA:

VI zmiana PKW Afganistan w ramach misji „Resolute Support”.

NAJLEPSZA BRONŃ:

karabin wyborowy Sako TRG 22.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

umożliwiłbym dowódcom drużyn i sekcji strzelców wyborowych dalszą ścieżkę rozwoju służbowego w swojej specjalności. Zwykle to doskonale wyszkoleni specjaliści i ludzie z pasją. Szkoda z tego rezygnować.



MOJE HOBBY TO STRZELANIE I PRECYZYJNE WYTWARZANIE AMUNICJI. JESTEM WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM FUNDACJI I KLUBU STRZELECKIEGO „OREŻ”.

HOBBY:



sport



strzelanie



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. DAWID SOFIŃSKI

MOST DO WSPÓŁPRACY

Sześć tysięcy polskich i amerykańskich żołnierzy wzięło udział w ćwiczeniach „Allied Spirit '20”, będących częścią „Defender Europe '20”.

MAGDALENA MIERNICKA



To miały być największe manewry organizowane przez US Army na terenie Europy. Amerykanie planowali przerzucić tu 20 tys. żołnierzy i 13 tys. jednostek sprzętu. Kolejne 9 tys. mieli pobrać ze swoich magazynów znajdujących się na miejscu. Zamierzano sprawdzić także ewentualne trasy przejazdu wojsk i przeprowadzić kilka ćwiczeń taktycznych. Wszystko po to, aby zademonstrować gotowość do wsparcia sojuszników, gdyby ci zostali zaatakowani.

W „Defender Europe '20” istotna była lokalizacja. Niestety plany żołnierzy pokrzyżowała epidemia koronawirusa. Chociaż część z nich dotarła już do Polski, Amerykanie zdecydowali się na zmianę scenariusza, bo, jak poinformowali, „zdrowie, bezpieczeństwo i gotowość do

działania żołnierzy oraz cywilów i ich bliskich jest priorytetem”. W efekcie 4 tys. wojskowych US Army, którzy mieli wziąć udział w „Allied Spirit '20”, będących jednym z elementów tych wielkich manewrów, utknęło na poligonie w Drawsku Pomorskim.

Przez kilka tygodni losy tych ćwiczeń były niepewne. Jak zapewnia gen. bryg. Brett G. Sylvia, zastępca dowódcy amerykańskiej 1 Dywizji Kawalerii i jednocześnie dowódca mieszczącego się w Poznaniu Wysuniętego Dowództwa Dywizyjnego US Army (Mission Command Element), żołnierze ten czas wykorzystali maksymalnie: „Na poligonie w Drawsku Pomorskim są świetne warunki szkoleniowe. Dla nas to oczywiste, że kiedy sytuacja uniemożliwia na przykład przemieszczanie się,



Gen. bryg. BRETT G. SYLVIA, dowódca Wysuniętego Dowództwa Dywizyjnego US Army: „Dzięki sytuacji związanej z epidemią koronawirusa mogliśmy zacieśnić współpracę z polskimi żołnierzami”.



MICHAŁ NIWICZ

W Drawsku Pomorskim amerykańskie bradleye po raz pierwszy przepływały przez polskie mosty pontonowe, zadebiutował tam także pojazd Aero, który został zrzucony z pokładu herculesa.

to po prostu ćwiczymy więcej. Była to doskonała okazja do budowania integralności i gotowości wojsk”.

PIERWSZY RAZ

Po dwóch miesiącach okazało się, że odbędą się ćwiczenia „Allied Spirit '20”, choć ich scenariusz został nieco zmodyfikowany. Z planowanych 10 tys. ćwiczących do działania zostało zaangażowanych 6 tys. 4 tys. z nich to amerykańscy żołnierze z Wysuniętego Dowództwa Dywizyjnego US Army, 1 Dywizji Kawalerii, 3 Dywizji Piechoty, 3 Brygady Lotnictwa Bojowego, a także z dowództwa do spraw szkoleń 7 Armii. Kolejne 2 tys. to przedstawiciele Wojska Polskiego. Najlicniejszą grupę, która „walczyła” ramię w ramię z Amerykanami, stanowili żołnierze z 12 Brygady Zmechanizowanej. Rola przeciwnika przypadła natomiast 9 Brygadzie Kawalerii Pancernej. Na poligonie stawili się też spadochroniarze

z 6 Brygady Powietrznodesantowej i żołnierze wojsk inżynierskich, a działania sojuszników wspierało lotnictwo.

Scenariusz zakładał, że sojusznicze siły prowadzą natarcie, aby zatrzymać przeciwnika. Jednym z elementów tego manewru była przeprawa i na nim wojska się skoncentrowały. Polacy trenują to niemal na każdym ćwiczeniu, ale dla sojuszników takie działania nie są powszechne. „Dążymy do tego, aby nasze pojazdy bojowe były zdolne do pokonywania przeszkód wodnych, natomiast z tego, co mówią amerykańscy żołnierze wynika, że oni bardzo długo nie prowadzili takich ćwiczeń. Na wschodniej flance – bo do ewentualnych działań na tym terenie się przygotowujemy – jest jednak dużo jezior i innych zbiorników wodnych, więc nasi sojusznicy muszą być gotowi do ich pokonania”, mówi ppłk Piotr Balon, dowódca 2 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej 12 Brygady Zmechanizowanej. Te słowa potwierdza płk Patrick O’Neal, dowódca





Na drawskim poligonie desantowali się żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej.

2 Brygady 3 Dywizji Piechoty US Army. „Taka przeprawa to dla nas wyjątkowe wydarzenie, nasze pododdziały nie ćwiczą pokonywania przeszkody wodnej zbyt często”.

Za przeprowadzenie tej części manewrów mieli odpowiadać żołnierze z USA, Niemiec i Wielkiej Brytanii, ale z powodu epidemii, nie dotarli do Polski. Co prawda w Drawsku Pomorskim pojawili się wojskowi z amerykańskiego 9 Batalionu Inżynieryjnego, ale oni mieli inne zadania. Za organizację i zabezpieczenie przepraw byli więc odpowiedzialni żołnierze z polskich jednostek – 2 i 5 Pułku Inżynieryjnego, 2 Pułku Saperów, 1 i 3 Batalionu Drogowo-Mostowego oraz Grupy Ratunkowo-Ewakuacyjnej z 2 Batalionu Saperów. „Możemy zatem powiedzieć, że dzięki sytuacji związanej z epidemią koronawirusa mogliśmy zacieśnić współpracę z polskimi żołnierzami”, powiedział gen. bryg. Sylvia.

Polacy organizowali przeprawy desantowe, w czasie których na pływających transporterach samobieżnych na drugi brzeg przerzucano żołnierzy, promowe, mające na celu transport sprzętu, a także mostowe. Te ostatnie były najbardziej spektakularne. W ten sposób przeszkodę pokonywały ciężkie pojazdy gąsienicowe US Army. Co ciekawe, pierwszy raz w historii bojowe wozy piechoty Bradley przejeżdżały przez mosty pontonowe zbudowane przez Polaków. Podczas jednej z największych przepraw 152-metrowy most pokonało aż 120 jednostek różnego sprzętu. Jak w czasie tego zadania układała się współpraca między sojusznikami? „Dla nas nie ma wielkiej różnicy,

jakie pojazdy pokonują przeszkodę. Ćwiczenia były jednak znakomitą okazją do wymiany doświadczeń i pokonywania barier językowych”, mówi ppłk Piotr Kranz, dowódca batalionu pontonowego z 2 Pułku Inżynieryjnego. Zwraca też uwagę na to, jak istotne jest tutaj przestrzeganie zasad bezpieczeństwa – między ważącymi niemal po 30 t pojazdami musi zostać zachowana odległość 40 m, nie mogą one także poruszać się szybciej niż 10 km/h. Przeprawę mostową pokonywały także samochody ciężarowe i humvee, a rosomaki i BWP-y po prostu przepłynęły jezioro.

„Dla żołnierzy obu armii taka współpraca to fantastyczne doświadczenie. Na co dzień zadania realizujemy w różnym terenie, więc tutaj możemy zweryfikować nasze możliwości, tak aby w przyszłości wiedzieć, jak działać. Poza tym to świetna okazja do ujednolicenia sygnałów, których żołnierze używają do komunikacji. Wszyscy musimy być pewni tego, co robimy”, podsumowuje płk Marek Wawrzyniak, szef Zarządu Inżynierii Wojskowej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Zdaje się, że Amerykanie także są zadowoleni ze współpracy, bo dowódca 9 Batalionu zdecydował się przekazać obowiązki swojemu następcy właśnie podczas manewrów „Defender”, w dodatku na zbudowanym przez Polaków moście.

UWAGA, ŁADUJE AERO

W Drawsku Pomorskim odbył się też epizod „Defender Europe '20”, który pierwotnie zaplanowano na Litwie w czasie



**Gen. bryg.
GRZEGORZ
GRODZKI, dowódca
6 Brygady Powietrz-
nodesantowej:**
„Odzyskałmy zdol-
ności, które nasza
armia utraciła
34 lata temu”.



MICHAŁ NIWICZ (2)

ćwiczeń „Swift Response”. Dzięki tej zmianie decyzji na największy polski poligon desantowała się najpierw grupa awangardowa z 6 Brygady Powietrznodesantowej, która rozpoznała i zabezpieczyła zrzutowisko dla sił głównych. Już kolejnego dnia z pokładów samolotów Hercules i CASA zrzucono prawie 500 kolejnych skoczków, którzy mieli przeniknąć na teren przeciwnika i zatrzymać go tak, aby umożliwić sojusznikom pododdziałom kontynuowanie natarcia.

W tych ćwiczeniach użyto jednego z 15 pojazdów wysokiej mobilności Aero, które 6 Brygada Powietrznodesantowa otrzymała w styczniu 2020 roku. Mogą być one desantowane z pokładów samolotów Hercules. „Odzyskałmy zdolności, które nasza armia utraciła 34 lata temu”, mówił w trakcie ćwiczeń gen. bryg. Grzegorz Grodzki, dowódca 6 Brygady. Ostatni desant takiej tary, a konkretniej pojazdów UAZ-469B z samolotu AN-12B, odbył się 25 kwietnia 1986 roku.

STRZAŁ WIĄZKĄ LASERA

W czasie tych manewrów część żołnierzy została wyposażona w laserowy system pola walki MILES (Multiple Integrated Laser Engagement System), który przywieźli ze sobą Amerykanie. Jak mówi kpt. Błażej Łukaszewski, rzecznik prasowy 12 Brygady Zmechanizowanej, pierwszy raz był wykorzystywany w Polsce na tak szeroką skalę. „Elementy tego systemu każdy żołnierz zakłada na hełm, kamizelkę i broń. Kilka – od sześciu do dziesięciu – elementów jest także

umieszczanych na pojazdach. Kiedy w czasie walki namierzy nas przeciwnik, który skieruje na nas wiązkę lasera, jesteśmy wyłączani z działań na 24 godziny”, opowiada kapitan. „Gdy w jednym czasie zostanie wyeliminowanych wielu żołnierzy, dowódca i tak musi kontynuować działania. To spore wyzwanie, ale daje realny obraz tego, jak żołnierze są przygotowani do działania na polu walki”, dodaje.

Ćwiczenia „Allied Spirit” zakończyły się 19 czerwca 2020 roku, kiedy zgodnie z pierwotnym planem manewrów amerykańscy żołnierze mieli już być w drodze do Stanów Zjednoczonych. Zdaje się, że żaden z nich z tego powodu nie narzekał. Tym bardziej że zapewniono im dobre warunki. Mieszkali w specjalnie dla nich przygotowanym obozowisku, w którym mieścił się nawet tzw. PX, czyli sklep, jaki Amerykanie lokują w swoich bazach wojskowych, wychodząc na przeciw potrzebom żołnierzy. Mogli też korzystać z usług kilku budek gastronomicznych umieszczonych nieopodal ich obozowiska.

Chociaż manewry nie odbyły się zgodnie z pierwotnym planem, Amerykanie nie kryją zadowolenia. Dowództwo US Army, które kierowało ćwiczeniami, podkreśliło, że głównym celem było sprawdzenie procedur dotyczących przetrzutu amerykańskich sił do Europy. „Mimo korekty planów, wynikającej z zagrożenia COVID-19, wiele strategicznych celów gotowości zostało osiągniętych”, poinformowało amerykańskie dowództwo w komunikacie. ■

Odpowiednią odległość trudno zachować w pojazdach. W takich wypadkach żołnierze zobowiązani zostali do zasłaniania twarzy.



MANEWRY Z DYSTANSEM

„Defender Europe '20” miał być przedsięwzięciem wyjątkowym ze względu na skalę i rozmach. Do historii przejdzie jednak także z innego powodu. To były pierwsze tak duże ćwiczenia podczas pandemii SARS-CoV-2.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

W połowie kwietnia na Twitterze pojawiły się zdjęcia amerykańskich żołnierzy 3 Dywizji Piechoty. Wszyscy mieli na twarzach czarne maski z filtropochłaniaczami. Z podpisu wynikało, że zdążyli dotrzeć na poligon w Drawsku Pomorskim, zanim koronawirus sparaliżował połowę świata, a teraz przygotowują się do ćwiczeń powiązanych z operacją „Defender Europe '20”. Kilka tygodni później amerykańskie dowództwo i polski resort obrony potwierdziły: na początku czerwca żołnierze wznowią działania.

I tak „Defender”, który miał być przedsięwzięciem wyjątkowym ze względu na skalę, przejdzie do historii z innego jeszcze powodu – jako pierwsze tak duże ćwiczenia przeprowadzone w czasach pandemii, z zachowaniem niespotykanych dotąd reżimów sanitarnych.

PROCEDURY SANITARNE

W ćwiczeniach „Allied Spirit”, połączonych z operacją „Defender Europe '20”, na drawskim poligonie wzięło udział 6 tys. żołnierzy: 4 tys. z USA oraz 2 tys. z Polski. „Sprzęt, który przyląkł zza oceanu, jeszcze przed wysyłką został zdezynfekowany zgodnie z wytycznymi naszego Departamentu Rolnictwa”, tłumaczy płk Joseph Scrocca, rzecznik US Army Europe. Podobnie będzie przed transportem do macierzystych jednostek, już po zakończeniu manewrów.

Na tym jednak nie koniec. „Każdy żołnierz pojawiający się w Drawsku, kierowany był na czternastodniową kwarantannę. Obowiązek taki nie objął tylko tych, którzy przeszli ją bezpośrednio przed przyjazdem, w macierzystych jednostkach”, wyjaśnia płk Scrocca. Cały personel został też poddany testom na obecność koronawirusa. Badanie rzecz jasna dotyczyło nie tylko Amerykanów, lecz także żołnierzy z Polski. „Pomieszczenia, gdzie pobierano wymazy, zostały zdezynfekowane przez pododdziały chemiczne”, wyjaśnia kpt. Błażej Łukaszewski, rzecznik 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

Z myślą o zainfekowanych i osobach, które mogły mieć z nimi kontakt, organizatorzy przygotowali izolatoria. „Aby uniknąć obciążania szpitali wojskowych, ale też cywilnych, armia amerykańska przygotowała na terenie poligonu specjalistyczną placówkę. Potencjalnym chorym zapewniłmy diagnostykę i opiekę”, podkreśla płk Scrocca. Oczywiście jej personel mógł liczyć na wsparcie polskich szpitali wojskowych. „Gdyby zaszła taka potrzeba, byliśmy gotowi transportować swoich żołnierzy za pośrednictwem MEDEVAC do regionalnego centrum medycznego w niemieckim Landstuhl”, zaznacza rzecznik US Army Europe.

Żołnierze uczestniczący w manewrach zostali rozlokowani w obozowiskach na terenie poligonu. „Było ich kilkanaście. Więcej niż zazwyczaj”, przyznaje kpt. Łukaszewski. Chodziło przede wszystkim o to, by do minimum ograniczyć kontakt między ćwiczącymi. „Zwiększyliśmy liczbę miejsc, w których można umyć i zdezynfekować ręce. Częściej niż

zwykle były też odkażane urządzenia sanitarne oraz sprzęt codziennego użytku. Dodatkowo uwrażliwialiśmy żołnierzy, by w miarę możliwości zachowywali społeczny dystans, a w razie jakichkolwiek, nawet najmniejszych kłopotów ze zdrowiem zgłaszali ten fakt swoim przełożonym i personelowi medycznemu”, wylicza płk Scrocca.

Posiłki żołnierze spożywali w istniejących już wcześniej stołówkach, a jeśli wykonywane zadania wymuszały pozostanie poza obozowiskiem, otrzymywali racje żywnościowe, tzw. MRE (Meal Ready to Eat). „Większość żywności sprowadziliśmy z USA. W Polsce kupiliśmy butelkowaną wodę”, wyjaśnia płk Scrocca. „Nasi specjaliści zwykle bardzo restrykcyjnie monitorują cały proces przygotowywania żywności i posiłków. Tak było również tym razem”, przekonuje oficer.

MASKI W ŚMIGŁOWCU

Pierwotnie planowano, że w operacji „Defender Europe '20” weźmie udział 37 tys. żołnierzy z 18 państw. Spora ich część miała ćwiczyć właśnie na poligonie w Drawsku. Na skutek pandemii scenariusz przedsięwzięcia został jednak okrojony. Amerykanie zrezygnowali na przykład z połączenia swoich żołnierzy z Polakami w jedną strukturę o rozmiarach dywizji. „W miarę możliwości staraliśmy się ograniczyć epizody, w których blisko siebie operują duże grupy żołnierzy. Na szczęście nasza armia została skonstruowana w ten sposób, że drużyny czy plutony mają dużą samodzielność i do pewnego stopnia mogą działać niezależnie od siebie”, mówi płk Scrocca.

Zachowaniu dystansu, co podkreśla, sprzyjała też mniejsza, niż zakładano, liczba żołnierzy na poligonie. Ale oczywiście nie zawsze było to możliwe. „Odpowiednią odległość trudno zachować w śmigłowcach czy pojazdach. W takich wypadkach żołnierze zobowiązani zostali do zasłaniania twarzy”, podkreśla rzecznik US Army Europe. „Duża odpowiedzialność spoczywała tutaj na dowódcach poszczególnych szczebli, którzy planując i wykonując poszczególne zadania, zmuszeni byli do szacowania ryzyka”, dodaje.

Manewry na poligonie w Drawsku trwały do połowy czerwca. Dowództwo armii USA jednak już wcześniej komunikowało, że główny cel został osiągnięty. Ćwiczenia miały bowiem przede wszystkim przetestować zdolność do sprawnego przerzutu amerykańskich żołnierzy oraz sprzętu przez Atlantyk i rozmieszczenia ich w Europie. „Po zakończeniu działań na drawskim poligonie większość naszych żołnierzy pozostanie w Polsce na misji »Atlantic Resolve«. Wracający do USA będą musieli przejść kolejną czternastodniową kwarantannę”, zapowiada płk Scrocca i dodaje: „Troska o zdrowie żołnierzy i stała współpraca z personelem medycznym to dla nas nic nowego. Określenie stopnia gotowości swoich podwładnych do działania, to jedno z zadań dowódców. Niemniej jednak pandemia koronawirusa przeniosła te działania w zupełnie inny wymiar, a zdobyte w tym czasie doświadczenia w przyszłości mogą się okazać bardzo cenne”.



Płk JOSEPH SCROCCA, rzecznik US Army Europe: „Każdy żołnierz pojawiający się w Drawsku, kierowany był na czternastodniową kwarantannę. Obowiązek taki nie objął tylko tych, którzy przeszli ją bezpośrednio przed przyjazdem, w macierzystych jednostkach”.

Nie czekamy. Latamy

„Już nauczyliśmy się żyć z epidemią”, mówią piloci. Wprowadzone w związku z zagrożeniem koronawirusem obostrzenia i zmienione procedury nie przeszkodziły im w wykonywaniu codziennych obowiązków.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



Od kilkunastu tygodni żyjemy w cieniu pandemii COVID-19. Ma ona też wpływ na funkcjonowanie lotnictwa wojskowego, które jednak nieprzerwanie pełni dyżury bojowe, ratownicze oraz rozpoznawcze. Zmiany organizacji ruchu w przestrzeni powietrznej oraz rygorystyczne zasady sanitarne nie przeszkodziły także w przeprowadzeniu zaplanowanych szkoleń. Co prawda, niemal wszystkie ćwiczenia międzynarodowe zostały odwołane lub odbyły się w zmodyfikowanej wersji, ale ten czas wykorzystano na doskonalenie umiejętności pilotażowych i taktycznych w jednostkach. Kontynuowano też operacje w państwach nadbałtyckich i na Bliskim Wschodzie.

BEZ ZWALNIANIA TEMPA

Nie byłoby to możliwe, gdyby nie wprowadzone procedury, dzięki którym wszystkie jednostki sił powietrznych mogły wykonywać powierzone zadania i zarazem zapobiec rozprzestrzenianiu się koronawirusa. „Przed wszystkim, przestrzegamy obostrzeń sanitarnych, które na czas pandemii obowiązują w Wojsku Polskim. Tam, gdzie jest to

możliwe, pracujemy w trybie zmianowym lub zdalnym. Specyfika sił powietrznych jest jednak taka, że stoimy na straży codziennie, dlatego w niektórych wypadkach musieliśmy wypracować dodatkowe rozwiązania”, mówi gen. dyw. pil. Jacek Pszczoła, inspektor sił powietrznych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Piloci mają indywidualne wyposażenie, odkażane po każdym locie. Dodatkowo w samolotach F-16, Su-22, MiG-29 oraz M-346 wprowadzono procedurę dezynfekcji kokpitu, która obejmuje najczęściej używane powierzchnie. „Zmieniliśmy także organizację lotów. W ich przygotowaniu, wykonaniu oraz odprawie biorą udział tylko niezbędne osoby”, podkreśla generał. Dodaje, że do zadań transportowych oraz ratowniczych załogi zostały wyposażone w kombinezony oraz maski przeciwgazowe FM53, jakich używają wojska specjalne.

Pomimo obostrzeń zachowano dotychczasową dynamikę szkolenia lotniczego. Na co dzień piloci wojskowi wykonują loty treningowe w strefach TSA (temporary segregated area, czyli strefa czasowo wydzielona), TRA (temporary reserved area, czyli strefa czasowo rezerwowana) oraz



W ramach sojuszniczego wsparcia polskie F-16 i MiG-29 uczestniczyły w eskorcie dwóch bombowców B-1B. Amerykańskie maszyny brały udział w operacji Bomber Task Force, obejmującej bardzo długi przelot B-1B przez Atlantyk połączony z kilkoma tankowaniami w powietrzu.



w łączących je korytarzach dolotowych TFR (TSA feeding route), dlatego ograniczenie cywilnego ruchu lotniczego nie wpłynęło na użytkowanie przestrzeni powietrznej. W praktyce jednak treningi w czasie pandemii przebiegają sprawniej. „Nie mamy żadnego problemu z rezerwacją oraz aktywowaniem wydzielonych stref na czas wykonywania misji. Dodatkowo kontrolerzy z lotnisk cywilnych, w tym z Okęcia, umożliwili nam korzystanie z tych obiektów w celach treningowych, na przykład do podejść IFR [instrument flight rules, czyli lot zgodnie z przepisami według wskazań przyrządów]”, zaznacza inspektor sił powietrznych.

DOBRZE WYKORZYSTANY CZAS

Podczas pandemii zachowano także interoperacyjność. Współpracę z sojusznikami, przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych, kontynuowano w ramach stałej obecności lot-

nictwa wojsk lądowych (US Army) w Powidzu, operacji Baltic Air Policing oraz eskorty amerykańskich bombowców.

Bomber Task Force to stała seria trwających 25 godzin przelotów amerykańskich bombowców strategicznych B-1B Lancer z 28 Skrzydła Bombowego. W ostatnich tygodniach dwukrotnie znalazły się w polskiej przestrzeni powietrznej, gdzie były eskortowane przez samoloty wielozadaniowe F-16 oraz myśliwce MiG-29. „W ciągu jednego lotu maszyny te pokonują ocean, wykonują zadanie nad Europą i wracają do macierzystej bazy. Jest to skomplikowane przedsięwzięcie, które wiąże się z kilkakrotnym tankowaniem w powietrzu oraz współdziałaniem z lotnictwem państw NATO. Wymaga także szczegółowej koordynacji”, tłumaczy gen. bryg. pil. Ireneusz Nowak, dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

Pandemia zastała także polskich pilotów w estońskiej bazie lotniczej Amari, gdzie w ramach kontyngentu PKW „Orlik 9”

PIOTR ŁYSAKOWSKI



od stycznia do maja 2020 roku nadzorowali oni przestrzeń powietrzną państw bałtyckich (więcej na ten temat PZ nr 5–6/2020). „Obecna sytuacja nie miała żadnego wpływu na misję Baltic Air Policing. Nasz personel był zakwaterowany w całości na terenie bazy w Amari, tak więc już na wstępie zachowano izolację oraz dystans społeczny”, podkreśla gen. Nowak.

Piloci F-16 wydzieleni do PKW „Orlik 9” w drugiej połowie kwietnia wzięli udział w ćwiczeniach „Ramstein Alloy” organizowanych przez NATO Allied Air Command. Wspólnie z kolegami z Belgii, Estonii, Litwy, Łotwy, Niemiec oraz Finlandii i Szwecji doskonalili interoperacyjność w walkach powietrznych, przechwytywanie i eskortowanie statków powietrznych, tankowanie w powietrzu, naprowadzanie samolotów przez CRC (Control and Reporting Centre, czyli Centrum Kontroli i Raportowania) państw bałtyckich oraz dowodzenie z samolotu E-3A AWACS.

Przeprowadzenie tych ćwiczeń było jednak wyjątkiem, bo ze względu na pandemię odwołano wszystkie najważniejsze manewry zaplanowane w ostatnich miesiącach, w tym „Frisian Flag” oraz „NATO Tiger Meet”. Nie oznacza to jednak, że piloci próżnowali. W 2 Skrzydle Lotnictwa Taktycznego ten czas wykorzystano na zaawansowane szkolenia lotnicze dla dowódców ugrupowań oraz z użyciem ćwiczebnych bomb naprowadzanych laserowo BDU-59B (Enhanced Laser Guided Training Rounds – ELGTR). „W ten sposób możemy w pełni symulować właściwości bomby precyzyjnego rażenia GBU-12 i przećwiczyć wszystkie procedury zrzutu uzbrojenia. Co więcej, trenowaliśmy także procedury »buddy lase«, pozwalające na użycie uzbrojenia przy niesprzyjającej pogodzie. Nasz trening obejmował również stosowanie go w misjach bezpośredniego wsparcia lotniczego CAS [Close Air Support] we współpracy z kontrolerami JTAC [Joint Terminal Attack Controller]. Uzyskanie bezpośredniego trafienia w poligonowy cel taktyczny, np. czołg czy samochód, daje wszystkim żołnierzom biorącym udział w szkoleniu lotniczym pewność oraz zaufanie do sprzętu i własnego wyszkolenia. Trzeba przy tym pamiętać, że w 2 Skrzydle są jednostki wysokiej gotowości, które przez cały czas muszą zapewniać ochronę polskiej przestrzeni powietrznej”, wylicza dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

STAWIĆ CZOŁO ZAGROŻENIU

Ostatnie miesiące były intensywne również dla pilotów z 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego. Do dyżurowania krajowego oraz w Zintegrowanym Systemie Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej



Piloci F-16 wydzieleni do PKW „Orlik 9” w drugiej połowie kwietnia wzięli również udział w ćwiczeniach „Ramstein Alloy” organizowanych przez NATO Allied Air Command.

PILOCI MAJĄ INDYWIDUALNE WYPOSAŻENIE, ODKAŻANE PO KAŻDYM LOCIE. DODATKOWO W SAMOLOTACH F-16, SU-22, MIG-29 ORAZ M-346 WPROWADZONO PROCEDURĘ DEZYNFEKCJI KOKPITU, KTÓRA OBEJMUJE NAJCZĘŚCIEJ UŻYWANE POWIERZCHNIE

NATO (NATO Integrated Air and Missile Defence System – NATINAMDS) włączono samoloty MiG-29. Zarazem 12 Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych w Miroslawcu przez cały czas zabezpieczała komponent sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, m.in. w czasie ćwiczeń „Defender Europe ’20”. Chociaż to właśnie żołnierzy jednej z jednostek podległych 1 SLT bezpośrednio dotknęły skutki wirusa SARS-CoV-2, wszystkie zadania wykonywano zgodnie z planem.

„22 Baza Lotnictwa Taktycznego w Malborku musiała bezpośrednio zmierzyć się z zagrożeniem. Testy wykazały zakażenie wirusem u kilku żołnierzy, kolejnych kilkadziesiąt osób objęto kwarantanną”, mówi mjr Andrzej Urbanek, oficer prasowy 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego. „Kryzys opanowaliśmy bardzo szybko, przede wszystkim dzięki współpracy z Wojskowym Ośrodkiem Medycyny Prewencyjnej w Gdyni i Sanepidem oraz ścisłemu przestrzeganiu procedur sanitarnych”, dodaje mjr Urbanek.

We wszystkich jednostkach podległych 1 SLT stosowano system rotacyjny służby. „Procedury te objęły cały personel, łącznie z kierowniczym. Dowódca nie przebywał w pracy w tym samym czasie co jego zastępca. Dzięki temu możemy zachować



Gen. bryg. pil. IRENEUSZ NOWAK, dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego: „W ciągu jednego lotu bombowce B-1B Lancer pokonują ocean, wykonują zadanie nad Europą i wracają do macierzystej bazy. Jest to skomplikowane przedsięwzięcie, które wiąże się z kilkukrotnym tankowaniem w powietrzu oraz współdziałaniem z lotnictwem państw NATO. Wymaga także szczególnej koordynacji”.

ciągłość dowodzenia w razie stwierdzenia koronawirusa u któregoś z nich”, wyjaśnia płk pil. Roman Stefaniak, szef szkolenia 1 SLT. „Na co dzień działamy tylko z jednostek macierzystych. Oczywiście może się zdarzyć, że para poderwana podczas dyżuru bojowego wylądować gdzie indziej, ale są to wypadki losowe i dochodzi do nich w wyjątkowych sytuacjach”, podkreśla płk pil. Stefaniak.

W czasie pandemii prowadzone było także szkolenie pilotów dopiero zdobywających uprawnienia na samolotach Su-22 oraz myśliwcach MiG-29. W 21 Bazie Lotnictwa Taktycznego dwóch najmłodszych wykonało pierwsze samodzielne loty.

KOMPENDIUM WIEDZY

W nagłych sytuacjach 3 Skrzydło Lotnictwa Transportowego wspomaga także administrację kraju w walce z pandemią (jednostki mu podległe jako pierwsze wykonywały loty związane z COVID-19). Tak było podczas ewakuacji polskich obywateli z Afganistanu czy Francji oraz lotów z personelem medycznym do Włoch i Stanów Zjednoczonych. W tym wypadku również należało zapewnić bezpieczeństwo nie tylko załodze, lecz także pasażerom. W tym celu przygotowano nowe standardowe procedury operacyjne oraz uzupełniające je kompendium wiedzy na temat przeciwdziałania pandemii. Część rozwiązań zaczerpnięto od Amerykanów. „Instrukcje te powstały dla samolotów CASA C-295 i C-130 Hercules, a także śmigłowców Mi-17 oraz W-3 Sokół. Określają, jaki należy utrzymywać dystans, w jaki sposób stosować kombinezony i maski FM53 oraz jak bezpiecznie przewozić pasażerów, w tym pacjentów”, opowiada płk pil. dr inż. Krzysztof Cur, dowódca 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Wielogodzinne loty w kombinezonach i maskach z jednoczesnym użyciem wyposażenia ratownictwa wysokościowego są dla pilotów dużym obciążeniem. Dlatego wcześniej przetestowano, jak nowy ekwipunek sprawdza się w powietrzu. Podobne loty kontrolne zrealizowały także załogi śmigłowców służące w grupach poszukiwawczo-ratowniczych, które pełnią dyżury ASAR (aeronautical search and rescue service).

Zmieniono też procedury umożliwiające pozyskiwanie zgód dyplomatycznych na loty do innych krajów NATO. W wypadku transportów na potrzeby walki z pandemią zostały one objęte priorytetem i powinny zostać rozpatrzone do 72 godzin. Wcześniej proces ten mógł trwać nawet 30 dni. „Są to loty z pasażerami, chorymi lub potencjalnie zakażonymi oraz ze sprzętem zabezpieczającym. Trzeba przy tym pamiętać, że wiele krajów stosuje dodatkowe obostrzenia, a niektóre z nich w ogóle nie przyjmują statków powietrznych. Wykonujemy bardzo dużo lotów operacyjnych i musimy liczyć się z utrudnieniami. Zamknięto na przykład niektóre lotniska, gdzie dotychczas wykonywaliśmy międzylądowania”, tłumaczy płk nawigator Sylwester Łysomirski, szef sztabu 3 SLT.

W przypadku lotów za granicę piloci byli zobligowani do powrotu wyłącznie przez lotnisko cywilno-wojskowe we Wrocławiu. Każdorazowo wykonywano na nim dekontaminację statków powietrznych oraz badano stan zdrowia załóg i pasażerów (więcej na ten temat na str. 56–58). Ze względu na nie-

wielki ruch w przestrzeni powietrznej można było jednak nadrobić czas potrzebny na nowe procedury sanitarne. „Służby radarowe dają możliwość skrócenia trasy lotu. W praktyce w danym FIR [flight information region, czyli rejon informacji powietrznej] często można lecieć bezpośrednio z punktu wlotowego do wylotowego”, opowiada płk pil. Mirosław Jakubowski, szef szkolenia 3 SLT.

Niewielki ruch miał także wpływ na prowadzenie komunikacji. „Procedury pozostały bez zmian, ale dużo łatwiej można nawiązać łączność. Wcześniej na przykład trzeba było czekać na możliwość przekazania meldunku pozycyjnego, teraz w radiu przez większość czasu panuje cisza. Bywa, że tak długo nie słyszymy korespondencji radiowej innych statków powietrznych, że załoga zastanawia się, czy ma sprawną radiostację”, żartuje płk Jakubowski. Zaznacza przy tym, że podobna sytuacja nie zdarza się na bliskowschodnich teatrach działań, gdzie natężenie operacji lotniczych wojskowych statków powietrznych jest zbliżone do tego przed pandemią.

UTRUDNIONA NAUKA LATANIA

Najbardziej restrykcyjne procedury oraz ograniczenia obowiązywały w 4 Skrzydle Lotnictwa Szkolnego. Uczniowie dojeżdżają do Dębina z całej Polski, co w wypadku zakażenia choćby jednego z nich mogłoby mieć poważne konsekwencje. „Już w połowie marca podchorążowie zostali skoszarowani i otrzymali zakaz opuszczania terenu jednostki. Ograniczyliśmy także do minimum liczbę instruktorów biorących udział w szkoleniu lotniczym. W szczytowym okresie epidemii ten personel również został skoszarowany i nie kontaktował się z osobami z zewnątrz”, mówi płk pil. Jan Skowroń, szef szkolenia 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego. Oficer podkreśla, że okres zimowo-wiosenny w 4 Skrzydle to przede wszystkim czas treningu kadry instruktorskiej, a później rozpoczyna się szkolenie kolejnego rocznika podchorążych. W tym roku te plany zrealizowano bez zakłóceń. „Ze względu na dezynfekcję statków powietrznych wydłużył się czas ich obsługi naziemnej, przez co liczba lotów wykonanych w ciągu jednego dnia była mniejsza. Szkolenie prowadzono jednak przez cały czas”, zaznacza pułkownik.

Utrudnienia były związane także ze szkoleniami odbywającymi się w Stanach Zjednoczonych. W efekcie zostały one przedłużone. Trzeba było także liczyć się z opóźnieniami serwisowania samolotów szkolno-treningowych M-346 Bielik. Ich producent, Leonardo, ma swoją siedzibę w Lombardii, która na przełomie marca i kwietnia była ogniskiem SARS-CoV-2. Po kilku tygodniach dostępność zabezpieczenia technicznego wróciła jednak do wcześniejszego poziomu.

„Nauczyliśmy się żyć z pandemią. Chcę przy tym zaznaczyć, że pomimo poprawy sytuacji wszystkie wprowadzone zasady, oprócz skoszarowania kadry instruktorskiej, wciąż obowiązują. Mamy świadomość, że zagrożenie może wrócić ze zdwojoną siłą, dlatego poważnie podchodzimy do obostrzeń pozwalających walczyć z COVID-19”, podsumowuje płk Jan Skowroń. ■

Zdalni na misji

Dla Wielonarodowej Brygady był to jeden z najgorętszych momentów od początku powstania jednostki, a najbliższe miesiące wcale nie zapowiadają się spokojniej.

PIOTR RASZEWSKI



Sztab LITPOLUKRBRIG, czyli brygady litewsko-polsko-ukraińskiej, mieści się w Lublinie. Tam zapadają najważniejsze decyzje dotyczące jednostki, której afiliowane pododdziały są rozmieszczone w trzech krajach. Na miejscu stacjonują oficerowie polscy, litewscy i ukraińscy. Wraz z przełomem lutego i marca rozpoczął się jeden z najgorętszych okresów w dotychczasowej działalności brygady. „Informacje na temat epidemii COVID-19 docierały do nas już nie tylko z Chin, lecz także z południa Europy. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, jak zorganizować funkcjonowanie międzynarodowej jednostki, gdyby wirus pojawił się w Polsce. Zależało nam również na tym, by sytuacja nie odbiła się negatywnie na naszych oficerach z Ukrainy czy Litwy”, przyznaje ppłk Jerzy Szeliga, zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych LITPOLUKRBRIG.

INTENSYWNY CZAS

W brygadzie szybko został opracowany plan działania w czasie epidemii. Część personelu rozpoczęła pracę zdalną, codzienne spotkania i odprawy odbywały się za pośrednictwem internetu. „Nie wpłynęło to paralizująco na naszą pracę. Po prostu posługiwaliśmy się innymi narzędziami”, tłumaczy ppłk Jerzy Szeliga. „Dowódca brygady podjął decyzję, że wszelkie wewnętrzne szkolenia, chociażby z MDPM [Military Decision-Making Process], czyli planowania ope-

racji, w czasie pandemii również odbywają się w trybie zdalnym. Tak zostały zorganizowane też wszelkie kursy, m.in. codzienne zajęcia z angielskiego, który jest językiem obowiązującym w LITPOLUKRBRIG”, zwraca uwagę kpt. Olena Slobodaniuk, oficer prasowy Wielonarodowej Brygady.

Niektórych aktywności jednak nie można było przenieść do sieci. Jednym z najważniejszych celów, do których została powołana Wielonarodowa Brygada, jest misyjna działalność szkoleniowa na Ukrainie. Oficerowie LITPOLUKRBRIG uczestniczą tam corocznie w wielu ćwiczeniach, także jako instruktorzy i mentorzy, którzy wspomagają proces przeobrażeń w tamtejszej armii. Ukraińcy dostosowują bowiem swoje siły zbrojne do działania zgodnie z procedurami NATO. „Zależało nam, by w miarę możliwości odraczać, a nie odwoływać te przedsięwzięcia. Niestety, nie zawsze było to możliwe, chociażby w wypadku szkolenia pododdziałów ukraińskich w ramach Joint Multinational Training Group Ukraine. Każdego roku mamy cztery takie przedsięwzięcia. Te, które planowaliśmy w marcu i czerwcu, zostały definitywnie odwołane”, mówi ppłk Jerzy Szeliga. Już wiadomo, że zostały przełożone też ćwiczenia „Maple Arch” w Gruzji. Zgodnie z planem mają się natomiast odbyć wrześniowe manewry „Rapid Trident” na Ukrainie i „Noble Partner” w Gruzji. Niezwykle ważna jest tutaj komunikacja z pododdziałami afiliowanymi. Choć nie było mowy o osobistych spotkaniach, brygada utrzymywała stały

OFICEROWIE UKRAIŃSCY CZY LITEWSCY OTRZYMALI ZALECENIE, BY NIE OPUSZ- CZALI POLSKI, CHYBA ŻE WYMAGAŁABY TEGO NAGŁA SYTUACJA SŁUŻBOWA LUB RODZINNA

kontakt z dowództwem jednostek litewskich i ukraińskich, które w „Noble Partner” wystawia grupy operacyjne. „Trzeba było ustalić wiele szczegółów dotyczących przygotowania żołnierzy do tych ćwiczeń”, wyjaśnia płk Michał Małyska, szef sztabu LITPOLUKRBRIG.

W połowie czerwca przedstawiciele jednostek przypisanych do Wielonarodowej Brygady wzięli natomiast udział w konferencji przygotowującej do ćwiczeń „Three Swords”, zaplanowanych na 2021 rok. „Będą to duże ćwiczenia taktyczne przeprowadzone na Ukrainie z naszymi jednostkami afiliowanymi, w których wezmą udział żołnierze armii amerykańskiej. Nie mogliśmy sobie pozwolić na zwłokę przy planowaniu tego przedsięwzięcia. Wszystko również odbyło się w formie videokonferencji, łączyliśmy się m.in. z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, dowództwem armii ukraińskiej w Kijowie, Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Jaworowie”, tłumaczy płk Michał Małyska.

WCALE NIE TAK DALEKO

Zamknięcie granic sprawiło, że oficerowie ukraińscy czy litewscy nie mogli wrócić w swoje rodzinne strony. Otrzymali zalecenie, by nie opuszczali kraju, chyba że wymagałaby tego nagła sytuacja służbowa czy rodzinna. „Ze względu na specyfikę jednostki, która działa w trzyletnim cyklu rotacyjnym, większość z nich mieszka w Polsce ze swoimi najbliższymi. Brak możliwości kontaktu z rodzicami, dziadkami czy dalszą rodziną mógł być trudny do zniesienia, ale przecież nie tylko wojskowi znaleźli się w takiej sytuacji”, podkreśla st. chor. sztab. Marzena Walkiewicz z sekcji medycznej LITPOLUKRBRIG. Potwierdzają to sami żołnierze, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że po zamknięciu granic przez dłuższy czas nie będą mogli zobaczyć najbliższych. „Sekcja medyczna codziennie podawała nam informacje o zagrożeniu związanym z epidemią, a my dzieliliśmy się nimi z naszymi rodzinami pozostającymi za gra-

nicą”, mówi kpt. Linas Masiulis z sekcji S4 LITPOLUKRBRIG i dodaje: „Przez cały czas utrzymywaliśmy z nimi kontakt przez telefon i internet. Dzięki temu miałem przeświadczenie, że wszystko jest pod kontrolą”.

Żołnierze podkreślają, że mimo rozłąki czuli bliski kontakt z rodziną. „Wprawdzie nic nie zastąpi spotkań osobistych, ale my przecież i tak zdecydowaną większość czasu spędzamy w Polsce. Już wcześniej przekonałam się, że moja mama radzi sobie znakomicie, choć mieszka sama. Pojawiły się obawy, że w razie nagłej potrzeby nie będę mogła wyjechać na Ukrainę, ale przecież tam na miejscu mam rodzinę, która w razie czego jej pomoże. Mieszka tam mój brat. Są też przyjaciele, na których zawsze mogę liczyć”, przyznaje kpt. Olena Slobodianiuk.

Niepokoili się również polscy oficerowie, których spora część nie mogła sprowadzić swoich rodzin do Lublina. „Na początku miałem obawy, że u nas może powtórzyć się scenariusz z Włoch, gdzie były zamknięte konkretne regiony kraju. Mieszkam 200 km od Lublina. Gdyby u nas zabroniono przemieszczania się między województwami, nie mógłbym wrócić do domu”, mówi ppłk Jerzy Szeliga. Zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych LITPOLUKRBRIG przyznaje jednak, że w zasadzie dla żołnierzy ograniczenie rodzinnych kontaktów jest rzeczą naturalną: „Liczymy się z tym, gdy decydujemy się na misję za granicą czy służbę w środowisku międzynarodowym. Często widzimy naszych bliskich jedynie raz w roku. A tu służą oficerowie, którzy mają za sobą niejedną zagraniczną operację”.

Przymusowa kilkumiesięczna rozłąka z rodziną spowodowana epidemią SARS-CoV-2 sprawiła, że większość oficerów Wielonarodowej Brygady zdecydowała się, jeśli tylko sytuacja na to pozwoli, spędzić tegoroczne urlopy w rodzinnych stronach. „Jestem dobrze zorientowany w tym, co dzieje się na Ukrainie”, mówi kpt. Igor Plis z sekcji medycznej LITPOLUKRBRIG. „Mam ścisły kontakt z tamtejszymi służbami medycznymi, bo często bierzemy udział w ćwiczeniach na Ukrainie i wiele rzeczy planujemy wspólnie. Robimy wszystko, by nie dopuścić do sytuacji, w której zbyt wczesny wyjazd kogoś z naszych oficerów spowodowałby np. obowiązek odbycia czternastodniowej kwarantanny”.

Z kolei ppłk Jerzy Szeliga dodaje, że oficerowie są przygotowani na każdą ewentualność. „Nie ukrywam też, że w drugiej połowie roku, jeśli sytuacja będzie wracać do normalności, czeka nas bardzo intensywny czas. Zaplanowaliśmy wiele przedsięwzięć, do których dojdą te zaległe”, zapewnia zastępca szefa sztabu LITPOLUKRBRIG. ■



Ppłk JERZY SZELIGA,
zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych LITPOLUKRBRIG:
„Zależało nam, by w miarę możliwości odraczać, a nie odwoływać nasze przedsięwzięcia”.



DO AFGANISTANU PRZEZ WĘDRZYN

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

**Szturm wzgórza, przeszukiwanie budynków,
ewakuacja rannych pod ostrzałem snajpera.
Tak żołnierze 10 Brygady Kawalerii Pancernej przygotowują
się do XIII zmiany polskiej misji w Afganistanie.**

Zleśnej drogi jeden po drugim wyjeżdżają trzy wojskowe humvee. Ustawiają się w rzędzie naprzeciw wzgórza. Na wozach gunnerzy z karabinami gotowymi do strzału. Z wnętrza wyskakują żołnierze i ruszają do szturmowania. „Linia! Linia! Linia!”, rozlega się wokół. Kilkadziesiąt metrów dalej jak spod ziemi wyrasta pierwszy cel – unoszone drogą radiową sylwetki z bronią. Atakujący przystają i otwierają ogień. Po chwili znów biegną w kierunku zbocza: przez piach, pośród zarośli i kamieni, kładąc kolejnych przeciwników, którzy pojawiają się na ich drodze.

„Za chwilę będą musieli się rozdzielić. Przez środek trudno będzie dotrzeć na szczyt wzgórza. Zbyt stromo, w dodatku po odsłoniętym terenie”, wyjaśnia kpt. Michał Wicik, dowódca 3 plutonu ochrony XIII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. On i jego żołnierze na co dzień służą w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej. Na misję

wyruszą najpewniej pod koniec roku. Do wyjazdu przygotowują się na poligonie w Wędrzynie.

SZTURM, A NIE SPACER

Droga na szczyt liczy blisko 700 m, a pokonanie jej to nie spacer. „Cały czas musimy pilnować własnych pozycji, żeby nie trafić kogoś ze swoich. Tym bardziej że ostrzał prowadzą nie tylko szturmujący, ale też gunnerzy z pojazdów”, tłumaczy st. szer. Robert Perlak, który wzgórze na wędryńskim poligonie zdobywał już kilkakrotnie. „Strzelanie i celowanie, kiedy się biegnie pod górę, a ekwipunek – kamizelka, hełm, karabin – waży w sumie blisko 20 kg, to niełatwa sprawa”, przyznaje. A trzeba pamiętać, że podczas rzeczywistych działań obrońcy wzgórza odpowiedzą na taki atak zmasowanym ogniem. W jakim stopniu ten scenariusz jest realny pod Hindukuszem? Tamtejsza misja przeobraziła się ze stabilizacyjnej w szkoleniowo-doradczą. „Afganistan pozostał jednak



ULICE MAJĄ SVOJE NAZWY: CISOWA, DĘBOWA, SOSNOWA... ZZA DOMÓW WIDAĆ WIEŻYCZKĘ MINARETU. OTO CENTRALNY OŚRODEK ZURBANIZOWANY, CZYLI ZBUDOWANA OD PODSTAW MAKIETA MIEJSCOWOŚCI, GDZIE PODODDZIAŁY WOJSK LĄDOWYCH I SPECJALNYCH SZKOŁĄ SIĘ W CZARNEJ TAKTYCE



ŁUKASZ ZALESINSKI(3)

strefą działań wojennych. Dlatego musimy być przygotowani na każdą ewentualność”, przynajmniej ppłk Marek Fiałka, pełniący obowiązki dowódcy XIII zmiany, który na co dzień dowodzi 10 Batalionem Zmechanizowanym.

Zostawiam żołnierzy szturmujących wzgórce i kieruję się w inną część poligonu. Za kolejnym zakrętem pojawiają się rzędy zabudowań. Biała tablica, którą mijamy, wyznacza granicę miasta. Są tutaj poczta, internat, restauracja. Ulice mają swoje nazwy: Cisowa, Dębowa, Sosnowa... Zza domów widać wieżyczkę minaretu zwieńczoną skrzyżem się złotem półksiężyca. Oto centralny ośrodek zurbanizowany, czyli zbudowana od podstaw makieta miejscowości, gdzie pododdziały wojsk lądowych i specjalnych szkolą się w tzw. czarnej taktyce. Dziś ćwiczą kolejne trzy plutony. „Mamy ten komfort, że jesteśmy tutaj sami, możemy więc wykonywać zadania w kilku miejscach jednocześnie”, podkreśla ppłk Fiałka.

Zajmujemy miejsca pod budynkiem z szyldem restauracji i czekamy. Radio dowódcy plutonu, który stoi obok nas, trzeszczy, spływają kolejne meldunki. „Przy drodze mamy podejrzany obiekt. Z wnętrza wystają jakieś przewody...”, dobiega głos. Możliwe, że to przygotowany do odpalenia ajdik, czyli improwizowany ładunek wybuchowy. „Widzi pan tamte kamienie?”, ppłk Fiałka wskazuje na usypaną przy drodze kupkę. „W Afganistanie podobne konstrukcje często są traktowane jak celownik. Kiedy wojskowy pojazd znajdzie się na

ich wysokości, zamachowcy wiedzą, że mogą odpalić ukryty ładunek, bo żołnierze są w jego zasięgu”.

Już po wykonaniu zadania dowódca sekcji rozminowania, sierż. Łukasz Kotowicz, mówi: „Rola saperów polega na dokładnym sprawdzeniu drogi, którą porusza się patrol. Jeśli natrafimy na przedmioty, które mogą być niebezpieczne, pluton tworzy kordon bezpieczeństwa, a my je dokładnie sprawdzamy. Jeżeli zaś mamy do czynienia z improwizowanym ładunkiem wybuchowym, procedury obowiązujące na misji nakazują nam wezwać naszych amerykańskich kolegów z patrolu rozminowania EOD (Explosive Ordnance Disposal). Niewybuchy czy niewypały rozbrajamy sami”.

Tymczasem u szczytu drogi pojawia się patrol.

SNAJPER NA DZIESIĄTEJ!

Ulicą wolno jadą trzy pojazdy ciężarowo-terenowe. Na nich gunnerzy z bronią gotową do strzału. Po obu stronach rzędy żołnierzy. Na sygnał przykłąkają i lustrują otoczenie. Po chwili kolumna staje. „Patrol otrzymał zadanie, by przeszukać budynek numer 427”, tłumaczy ppłk Fiałka. To stojący niemal naprzeciw nas trzypiętrowy internat. Żołnierze wyskakują z ciężarówek i zajmują wyznaczone pozycje: wzdłuż bocznej ściany, pod osłoną betonowych płyt pobliskiego przejścia podziemnego, za pojazdami. Kilku wchodzi do budynku. „Należy przeszukać po kolei każde z pomieszczeń, ➔

WCZESNĄ JESIENIĄ BĘDĄ CERTYFIKOWANE PLUTONY, PÓŹNIEJ ZAŚ CAŁY KONTYNGENT

a przy tym trzymać się z dala od okien. Strzał może paść z zewnątrz: z ulicy, albo sąsiedniego budynku”, mówi później kpr. Adrian Stefański, dowódca sekcji, która sprawdzała wnętrza internatu. Ostatecznie okazały się one puste.

Kiedy żołnierze opuszczali budynek, powietrze przeszył odgłos wystrzału. Ogień otworzył snajper ukryty na piętrze budynku sąsiedniej poczty. Kula dosięgła dowódcę sekcji. Patrol w mgnieniu oka musiał się przegrupować. „W takim wypadku podstawowym zadaniem jest ewakuacja rannego ze strefy śmierci”, wyjaśnia kpr. Stefański. Dowódca sekcji został załadowany na jedną z ciężarówek. Chwilę później kolumna pojazdów gnała już w górę ulicy. „Takie zdarzenia zazwyczaj trwają góra parę minut. Byłem na kilku misjach w Afganistanie. Tylko raz brałem udział w wymianie ognia, która przeciągnęła się do godziny”, podkreśla ppłk Fiałka. „Kiedy pada strzał, pododdział reaguje błyskawicznie. Żołnierze muszą wiedzieć, które pozycje zająć i w jaki sposób prowadzić ogień, by nie stanowić zagrożenia dla swoich kolegów. To trzeba wyćwiczyć. Teraz wypadło to całkiem nieźle”.

Tymczasem idziemy dalej. Na końcu sąsiedniej ulicy kolejny pododdział ćwiczy ochronę VIP-a. Do wejścia jednego z budynków zmierza człowiek w mundurze i kamizelce kuloodpornej, ale bez broni. Porusza się w silnej obstawie. Otaczają go trzej żołnierze z automatami. Kilka metrów przed nimi idą kolejni dwaj, kolumnę zamyka trzeci. Zanim VIP wejdzie do budynku, pomieszczenia zostają dokładnie przeszukane. Robi to wydzielona z plutonu sekcja. „Czysto”, rozlega się hasło. Można rozpocząć spotkanie. Dostojnik znika w budynku w towarzystwie jednego już tylko żołnierza. Pozostali utworzą na zewnątrz kordon bezpieczeństwa. Wkrótce spotkanie dobiega końca. Nasz VIP nie wsiada jednak do samochodu. Postanawia pójść jeszcze w dół ulicy. Możemy przypuszczać, że chce się spotkać z mieszkańcami. Przed i za jego obstawą toczą się dwa wojskowe pojazdy. Nagle krzyk: „Snajper na dziesiątej!”. VIP zostaje rzucony na ziemię. Dwaj żołnierze zasłaniają go własnymi ciałami. Kolejni przyklękają gotowi do strzału. Jeden z samochodów staje w poprzek drogi. Ten, który jedzie z tyłu, wykręca. Żołnierze prowadzą w jego

stronę zgiętego w pół VIP-a. Chwilę później pakują go do wnętrza pojazdu. Ciężarówka rusza w kierunku sąsiedniej ulicy. Zagrożenie zażegnane. „Zabezpieczanie oficjalnych spotkań będzie podczas misji jednym z naszych podstawowych zadań”, wyjaśnia st. chor. sztab. Wojciech Ziółkowski, zastępca dowódcy 5 plutonu ochrony polskiego kontyngentu.

Tymczasem idę przyjrzeć się ostatniemu już dziś epizodowi. „Według scenariusza drużyna złożona z dwóch sekcji prowadzi patrol, podczas którego zostaje ostrzelana. Nie wiadomo dokładnie, skąd padł strzał, dlatego należy przeszukać wszystkie okoliczne budynki. Żołnierze się przegrupowują. Jedna z sekcji zostaje na zewnątrz, druga będzie wchodzić do pomieszczeń”, zapowiada mł. chor. Wojciech Chojnacki, dowódca drużyny w piątym plutonie. Na co będą zwracać uwagę? „Na wszystko, począwszy od zgromadzonych pod ścianami zwałów śmieci, w których mogą być ukryte ładunki wybuchowe, aż po podejrzenie wyglądające druty, które mogą służyć do ich odpalenia”, wyjaśnia podoficer i dodaje, że tego rodzaju zadania wymagają szczególnie mocnych nerwów. Żołnierze wchodzi w zamkniętą, nieznaną sobie przestrzeń, do tego wszystko odbywa się bardzo szybko. W razie zagrożenia na reakcję mają ułamek sekundy.

Za chwilę będę się mógł temu przyjrzeć naprawdę z bliska. Wchodzę do budynku jeszcze przed żołnierzami i zajmuję miejsce w rogu jednego z pokoi. Tymczasem na ulicy hamuje ciężarówka. Chwila napięcia i do pomieszczenia, w którym stoję, ostrożnie zbliża się żołnierz w pełnym rynsztunku. Najpierw wysuwa lufę karabinu, dopiero potem rozgląda się po pokoju, po czym przechodzi do kolejnego. Jego koledzy przeszukują inne części budynku. Wszędzie czysto. Jeszcze chwila i członkowie sekcji gromadzą się po dwóch stronach wyjścia. Na sygnał kolejno wybiegają na schody, zajmując miejsca w ciężarówce i odjeżdżają. Kończymy.

„Na poligonie w Wędrzynie ćwiczyliśmy przez kilka tygodni. Zgrupowanie zakończyło się certyfikacją, podczas której sprawdzone zostało zgranie poszczególnych drużyn”, tłumaczy ppłk Fiałka. Wczesną jesienią certyfikowane będą plutony, później zaś cały kontyngent. Dopiero potem kolejna zmiana wyruszy do Afganistanu. ■



Ppłk MAREK FIAŁKA, dowódca 10 Batalionu Zmechanizowanego: „Kiedy pada strzał, pododdział reaguje błyskawicznie. Żołnierze muszą wiedzieć, które pozycje zająć i w jaki sposób prowadzić ogień, by nie stanowić zagrożenia dla swoich kolegów. To trzeba wyćwiczyć”.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl



ZAKŁAD LOTNISKOWY

KONSULTACJE • EKSPERTYZY • BADANIA • DIAGNOSTYKA

www: z24.itwl.edu.pl

Granice wytrzymałości

Żołnierze z 10 Brygady Kawalerii Pancernej niejednokrotnie dowiedli swojej wartości. Wysoki poziom wyszkolenia utrzymują dzięki realistycznym ćwiczeniom, takim jak „Karakal '20”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Już dawno minęły czasy, kiedy ćwiczące pododdziały wykonywały zadania, które jak po sznurku prowadziły je do zwycięstwa. Teraz największą wagę przywiązuje się do jak najwierniejszego odzwierciedlenia pola walki, co pozwala realnie określić mocne oraz słabe strony jednostek. Żołnierze podczas manewrów muszą mierzyć się z sytuacjami losowymi oraz uwzględnionymi w scenariuszu „niepowodzeniami”.

Tak było na ćwiczeniach, które odbyły się w ramach tegorocznej „Anakondy”. Przedsięwzięcie, które sprawdzało poziom wyszkolenia pododdziałów 10 Brygady Kawalerii Pancernej, zakładało realizację zadań we wschodniej części państwa. Zanim jednak pododdziały znalazły się w rejonie walk, musiały przejść wszystkie etapy działania, z którymi mierzyłyby się w prawdziwej sytuacji.

„Żeby wykonać zadania w czasie kryzysu, musimy najpierw dotrzeć na miejsce. Należy wtedy m.in. uwzględnić czas na odtworzenie zdolności bojowej, czyli na odpoczynek żołnierzy, uzupełnienie amunicji i paliwa oraz naprawy uszkodzonego sprzętu”, podkreśla płk Rafał Kowalik,

dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Pierwszym etapem ćwiczeń był ponad 600-kilometrowy przemarsz wojsk drogami publicznymi, dlatego żołnierze współpracowali z administracją cywilną. Musieli także na przykład przeprawić się przez San. Część taktyczna odbyła się na poligonie w Nowej Dębie, co stanowiło dodatkowe utrudnienie. „Teren ten znacząco różni się od poligonów w zachodniej Polsce. Duża liczba wzniesień oraz cieków wodnych sprawia, że doskonale nadaje się on do naszego treningu”, wyjaśnia pułkownik.

Nowe środowisko w połączeniu z ciągłością oraz nieprzewidywalnością zdarzeń daje możliwość przetestowania zdolności do podejmowania decyzji przez ćwiczące dowództwo. Nawet po kilku dniach boju żołnierze muszą poradzić sobie w każdej sytuacji – gdy amunicja zostanie zniszczona, teren stanie się nieprzejezdny, a straty okażą się dotkliwsze, niż zakładano. Dotyczy to także dowódcy, który nieustannie będzie zasypywany meldunkami o różnej wadze, od tych płynących z linii po wiele informacji o drugorzędnym znaczeniu. Takie obciążenie pozwala zwiększyć odporność na sytuacje stresowe. Bez względu na wszystko musi on jednak trwać na stanowisku. ■





MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



POMIMO
NIEZNANEGO
TERENU
ŻOŁNIERZE
Z 10 BRYGADY
KAWALERII
PANCERNEJ
MUSIELI RA-
DZIĆ SOBIE
W KAŻDEJ
SYTUACJI





KOMENTARZ

DARIUSZ PARYLAK

Ćwiczenia „Karakal '20” oraz prowadzone równoległe „Gepard '20” to prawdziwa kopalnia pomysłów taktycznych. Gdy dwa oddziały działają w podobny sposób, musi pojawić się element współzawodnictwa. To otwiera nowe możliwości. Dowódcy z 17 Brygady Zmechanizowanej oraz 10 Brygady Kawalerii Pancernej znajdowali różne rozwiązania, jednocze-

śnie podpatrując swoją pracę. Ja przyglądałem się temu i oceniałem pod kątem wojskowego warsztatu. Warto zaznaczyć, że żołnierze bardzo dobrze znają swoje poligony, więc zostali wysłani do Orzysza oraz Nowej Dęby. Działanie w innym środowisku oraz z jednostkami spoza łańcucha dowodzenia 11 Dywizji było dla nich dodatkowym wyzwaniem.

Gen. bryg. DARIUSZ PARYLAK jest dowódcą 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.





PROWADZENIE OPERACJI TO NIE
TYLKO WALKA NA LINII, ALE TAKŻE
PRZEMARSZ ORAZ ODTWARZANIE
ZDOLNOŚCI BOJOWEJ



Szpital na zawołanie

Wojskowa służba zdrowia w walce z koronawirusem korzysta nie tylko ze stacjonarnych, lecz także z polowych systemów zabezpieczenia medycznego.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Medycy z 2 Wojskowego Szpitala Polowego, wspomagani przez żołnierzy 4 Batalionu Inżynieryjnego, w marcu 2020 roku w ciągu pięciu dni ustawili na terenie 3 Brygady Radiotechnicznej mobilny stułózkowy szpital. Dlaczego powstał w tym miejscu? 3 Brygada Radiotechniczna mieści się tuż obok wrocławskiego lotniska, które jest punktem przegrupowania żołnierzy na misję. Założono, że wśród wojskowych wracających z kontyngentów stacjonujących w różnych częściach świata mogą się znaleźć zarażeni koronawirusem. W takim wypadku chorzy po wstępnym przebadaniu tuż po wyjściu z samolotu nie byłoby transportowani do

swoich garnizonów, lecz zostaliby poddani leczeniu w zbudowanej w tym celu placówce medycznej. Na szczęście, jak do tychczas, nie było potrzeby takich hospitalizacji. Pomieszczenia szpitalne są wykorzystywane jedynie do przeprowadzania rutynowych badań komisyjnych, którym po misjach zagranicznych zawsze są poddawani ich uczestnicy.

Zespołem budującym szpital dowodził ppłk Jarosław Staszczak, dowódca grupy zabezpieczenia medycznego 2 Wojskowego Szpitala Polowego z Wrocławia. Przypadało mu, że zadanie nie należało do łatwych. „Zazwyczaj taki szpital był tworzony jako placówka chirurgiczna.

CZTERY KROKI

DO URATOWANIA ŻYCIA

Medycyna polowa to system ratowania zdrowia i życia żołnierzy poszkodowanych na polu walki. Polega na ewakuacji i udzielaniu pomocy medycznej na czterech poziomach.

POZIOM 1 – szczebel kompanii i batalionu.

Procedura polega na samopomocy, pomocy udzielanej rannemu przez kolegę lub ratownika oraz ewakuacji poszkodowanego do kompanijnego albo batalionowego punktu medycznego.

POZIOM 2 – kwalifikowana pomoc medyczna

udzielana na szczeblu brygady czy pułku w szpitalu polowym. Tutaj możliwe jest przeprowadzanie zabiegów operacyjnych, podanie krwi i preparatów krwiopochodnych, wykonanie badań laboratoryjnych, RTG i wielu innych.



Znajdowały się w nim m.in. sale operacyjna, pooperacyjna, segregacji, tzw. trauma room, intensywnej terapii... Tym razem musieliśmy stworzyć szpital internistyczny zakaźny”, wspomina.

BUDOWANIE Z KLOCKÓW

Placówkę medyczną poziomu 2, złożoną z blisko 80 kontenerów, ustawiono z dala od miejsc przemieszczania się ludzi. Najważniejszą częścią szpitala jest osiem specjalnych kontenerów 40-stopowych o długości ponad 12 m i szerokości blisko 2,5 m. Można rozłożyć ich boki, wtedy powstaje pomieszczenie robocze o powierzchni ponad 30 m².

Kontenery stanęły w dwóch szeregach, które łączy zadaszony brezentem korytarz ze specjalnych podestów. W tym miejscu znajdują się sale segregacji, obserwacji, pracownia RTG, laboratorium, gabinet zabiegowy i dwie sale wzmożonego nadzoru medycznego. Jedna z nich jest przeznaczona dla pacjentów w stanie ciężkim, dlatego została wyposażona w respiratory. Dwuosobowe sale chorych mieszczą się w 50 mniejszych, klimatyzowanych kontenerach ustawionych za centralną częścią szpitala. Całość uzupełnia 12 kontenerów sanitarnych oraz innych specjalistycznych. W jednym znajduje się przyszpitalna apteka, w kolejnym stacja gazów medycznych, a w jeszcze innych są agregaty prądotwórcze.

Szpital jest gotowy w każdej chwili przyjąć chorych. Aby placówka mogła sprawnie funkcjonować, na jednej zmianie musi pracować tam około 25 osób: co najmniej dwóch lekarzy, kilka pielęgniarek, ratownik medyczny, obsada ambulatorium, laboratorium, pracownia RTG. Do tego trzeba doliczyć zespół ewakuacji medycznej, techników do obsługi agregatów i innych urządzeń oraz służbę dyżurną. Gdyby praca miała się odbywać w systemie dwuzmianowym, liczbę personelu należałoby podwoić.

SPRAWDZIAN BOJOWY

Obecnie mobilnymi systemami kontenerowymi-namiotowymi dysponują w wojsku 1 Wojskowy Szpital Polowy w Bydgoszczy oraz 2 Wojskowy Szpital Polowy we Wrocławiu. Do stycznia 2009 roku oba funkcjonowały jako szpitale operacji pokojowych. Po przekształceniu zostały im podporządkowane grupy zabezpieczenia medycznego brygad.

Placówka we Wrocławiu jest przykładem wykorzystania medycyny polowej w sytuacjach ekstremalnych. W celach nieszkoleniowych taki szpital powstał dopiero po raz czwarty w powojennej historii armii.

W 2003 roku personel bydgoskiej placówki otrzymał zadanie utworzenia szpitala polowego poziomu 3 w bazie Lima w Iraku. Dla polskich →

KOMENTARZ

SŁAWOMIR OWCZAREK

W ciągu najbliższych lat planujemy znaczne unowocześnienie medycyny polowej. Kupione zostaną m.in. jednoosobowe i wieloosobowe samochody sanitarne, które zastąpią wyeksploatowane i przestarzałe pojazdy. Będziemy kontynuować pozyskiwanie wyposażenia dla placówek poziomu 1, zabezpieczenia medycznego szczebla batalionu. W dalszej perspektywie kupimy kompletne zestawy wyposażenia dla polowych placówek medycznych na szczeblu brygady i pułku oraz kompletne zestawy wyposażenia dla wojskowych szpitali polowych. ■

Gen. dyw. SŁAWOMIR OWCZAREK
jest inspektorem rodzajów wojsk
Dowództwa Generalnego RSZ.



POZIOM 3 – szpitale polowe szczebla dywizji i korpusu. W nich można wykonywać bardziej skomplikowane zabiegi operacyjne, hospitalizować chorych przez krótki czas. Na tym poziomie wykorzystuje się także stacjonarne cywilne lub wojskowe szpitale w pobliżu miejsc prowadzenia działań zbrojnych. W tych przypadkach nie ma już mowy o medycynie polowej.



POZIOM 4 – również nie dotyczy medycyny polowej, bo udzielanie pomocy medycznej odbywa się w szpitalach stacjonarnych, w tzw. rejonach leczniczych. Ten poziom dotyczy także leczenia długoterminowego oraz rehabilitacji.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

Wojskowy szpital polowy ustawiony we Wrocławiu jest przykładem wykorzystania medycyny polowej w sytuacjach ekstremalnych.

medyków było to pierwsze tak ważne zadanie od zakończenia II wojny światowej. Wojsko kupiło wówczas specjalistyczne kontenery medyczne, w których zorganizowano sale operacyjną i przedoperacyjną, intensywnej terapii na cztery łóżka oraz laboratorium analityczne z bankiem krwi. Sale chorych przygotowano w części namiotowej. Szpital został wyposażony w nowoczesną, jak na tamte czasy, aparaturę medyczną i diagnostyczną, tak aby mógł zapewniać świadczenia na poziomie najbardziej zbliżonym do warunków leczenia stacjonarnego w kraju. Polowy szpital w bazie Lima funkcjonował dwa lata.

Po raz drugi w historii kontenerowo-namiotowy szpital polowy wojsko rozstawiło w sierpniu 2010 roku w Afganistanie, w bazie Ghazni. Funkcjonował tam do kwietnia 2014 roku. Przez cztery lata kwalifikowanej pomocy medycznej udzielono w nim tysiącom polskich żołnierzy. Korzystali z niego także sojusznicy z innych armii biorących udział w operacji ISAF oraz ludność z prowincji Ghazni.

Kpt. Światosław Dąlek jest ortopedą traumatologiem. Podczas IX zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego był lekarzem w bazie Warrior. W miejscu pełnienia służby zabezpieczał żołnierzy na poziomie 1 i miał do dyspozycji jedynie ambulatorium. Zdarzało się jednak, że w czasie pobytu w bazie Ghazni stawał przy stole operacyjnym tamtejszego szpitala polowego i uczestniczył w poważnych zabiegach chirurgicznych.

„Dla chirurgów warunki pracy w kontenerach były przyzwoite. Blok operacyjny został dobrze wyposażony. Można tam było przeprowadzać poważne operacje ratujące życie”, ocenia kpt. Dąlek. Dodaje, że problem stanowiły jedynie rozległe urazy głowy. „Do takich zabiegów neurochirurgicznych jest potrzebny specjalistyczny sprzęt, na przykład mikroskopy czy tomograf, którymi ten szpital nie dysponował. Pacjenci z takimi urazami, po ustabilizowaniu parametrów życiowych,

trafiali szybko do placówki wyższego poziomu w amerykańskiej bazie Bagram”, wyjaśnia lekarz.

NATYCHMIASTOWE WSPARCIE

Od 2014 roku do dzisiaj wojsko stawiało szpitale polowe jeszcze dwa razy, zawsze w kraju. W lipcu 2016 roku taką placówkę utworzono w okolicach Krakowa w związku ze Światowymi Dniami Młodzieży. Niemal w tym samym czasie specjalistyczne kontenery medyczne szpitala polowego służyły jako zaplecze Centrum Reagowania Epidemiologicznego Sił Zbrojnych, zabezpieczającego przygotowania i przebieg szczytu NATO w Warszawie. W marcu 2020 roku powstał wspomniany już szpital polowy we Wrocławiu. Z wybranych elementów szpitalnej bazy kontenerowej w kwietniu korzystali także medycy 1 Wojskowego Szpitala Polowego z Bydgoszczy skierowani do ośrodka kwarantannowego w Solinie.

Opisane placówki są najnowocześniejszymi punktami medycznymi, jakimi dysponuje nasza armia. Żołnierze mają też mobilny sprzęt medyczny starszej generacji – specjalistyczne sale przedoperacyjne, operacyjne, opatrunkowe, ulokowane na nadwoziach samochodowych. Z nich w połączeniu z namiotami także można tworzyć szpitale polowe poziomu 2. Umieszcza się je na pojazdach typu Star 660 M2, produkowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Niestety, nie ma w nich klimatyzacji na letnie upały, a zimą trudno je ogrzać. Poza tym rozkładane ściany tego nadwozia nie są całkiem szczelne i trudno o utrzymanie w nich odpowiedniej sterylności. Dlatego sprzęt ten nie jest już wykorzystywany do zabezpieczenia medycznego wojsk w czasie pokoju. Władze resortu w najbliższych latach planują wprowadzić do zabezpieczenia medycznego na poziomie 2 i 3 nowe, modułowe, mobilne placówki medyczne oparte na systemie kontenerowo-namiotowym. ■



TOMASZ ZDZIKOT

Cyfrowe serce armii



Nawet odpowiednie inwestycje sprzętowe i programowe, zatrudnienie najlepszych ekspertów, nie zapewnią żadnemu państwu czy instytucji bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni na stałe. W tej sferze nieustannie toczy się bowiem wyścig zbrojeń, a zabezpieczenia i odpowiedzialni za nie ludzie każdego dnia poddawani są presji. Zadanie obrońców systemu jest zawsze trudniejsze niż atakujących. Ich rolą jest monitorowanie rozległych sieci. Atakujący skupia się jedynie na najsłabszym z jego perspektywy ogniwie i wybiera najlepsze do osiągnięcia swoich celów czas, metodę i obiekt ataku. Dlatego cyberbezpieczeństwo wymaga odpowiednich nakładów, zwiększanych wraz z postępującą cyfryzacją. Charakter tej domeny operacyjnej i niezwykle zróżnicowany katalog związanych z nią zagrożeń skłaniają także do wyposażenia struktur odpowiedzialnych za cyberbezpieczeństwo w szerokie uprawnienia, połączone z jasnym przypisaniem sfery odpowiedzialności. Kompleksowe podejście do tej kwestii wymaga też, by eksperci odpowiedzialni za zabezpieczanie teleinformatyczne i kryptologiczne współpracowali z tymi, którzy zajmują się zakupami sprzętu i oprogramowania oraz bieżącym utrzymaniem sieci i systemów.

Dlatego w lipcu 2019 roku, w wyniku konsolidacji zasobów resortu obrony narodowej, powstało cyfrowe serce armii, czyli Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni. Decyzją ministra obrony narodowej rozformowany został Inspektorat Informatyki, a podległe mu jednostki przekazano w podporządkowanie NCBC. Dziś gen. bryg. Karolowi Molendzie, szefowi NCBC, podlegają też: Centrum Zasobów Cyberprzestrzeni Sił Zbrojnych, Centrum Projektów Informatycznych, sześć regionalnych centrów informatyki, a także Centrum Operacji Cybernetycznych.

Rok działalności NCBC to nie tylko skuteczna konsolidacja zasobów w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, lecz także dynamiczny rozwój jednostki. Intensywnej rekrutacji towarzyszą coraz bardziej atrakcyjne wynagrodzenia oraz możliwość działania na pierwszej linii frontu walki o bezpieczeństwo polskiej cyberprzestrzeni. W ramach NCBC funkcjonuje dziś bowiem zespół reagowania na incydenty bezpieczeństwa komputerowego. Tu także powstają kolejne techniczne, programowe, operacyjne, edukacyjne czy naukowo-badawcze projekty mające na celu podniesienie zdolności Sił Zbrojnych RP do działania w cyberprzestrzeni i zwiększenie naszego bezpieczeństwa. Centrum jest również pewnego rodzaju inkubatorem dla wojsk obrony cyberprzestrzeni, powstających zgodnie z koncepcją zatwierdzoną przez ministra Mariusza Błaszczaka we wrześniu 2019 roku. To wreszcie przed NCBC stoją wyzwania związane z rosnącym znaczeniem komunikacji elektronicznej i koniecznością zapewnienia bezpiecznej i niezakłóconej pracy kadrze oraz pracownikom resortu przebywającym w kraju i za granicą, szczególnie w dobie pandemii. Pod względem potencjału kadrowego, infrastrukturalnego i budżetowego NCBC wkrótce będzie najsilniejszym ośrodkiem cyberbezpieczeństwa i kryptologii nie tylko w Polsce, lecz także całym regionie.



Tomasz Zdzikot jest ekspertem do spraw cyberbezpieczeństwa. Był wiceministrem obrony narodowej oraz pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw bezpieczeństwa cyberprzestrzeni.

LASEREM W PRZECIWNIKI

W najnowocześniejszym w Polsce centrum szkolenia wyposażonym w urządzenia Śnieżnik w tym samym czasie razem mogą ćwiczyć dowódcy i działonowi transporterów, piechota oraz przeciwlotnicy.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Centrum szkolenia powstało w Stargardzie Szczecińskim z myślą o żołnierzach 12 Brygady Zmechanizowanej. Zostało ono wyposażone w urządzenia szkoleniowo-treningowe Śnieżnik najnowszej generacji już pod koniec 2019 roku, ale kilka miesięcy zajęło przeprowadzenie serii testów i zajęć próbnych. Szkoleniowcy z 12 Brygady nie kryją entuzjazmu, spodziewają się, że efekty wirtualnego szkolenia bardzo szybko przełożą się na wyniki strzelań w warunkach rzeczywistych.

WIRTUALNY TRENING

W centrum symulatorowym może się szkolić jednocześnie kilkudziesięciu żołnierzy. „Żołnierze piechoty nie tylko mogą ćwiczyć swoją celność, lecz także szkolić się ogniowo na symulowanym polu walki. Do dyspozycji mają również stanowiska dla operatorów zestawów przeciwlotniczych Grom i Hibneryt. To właśnie jest wyjątkowe w naszym centrum: w ramach jednego wirtualnego treningu mogą się szkolić żołnierze różnych specjalności”, zaznacza mjr Michał Kostrubiec, szef sekcji szkoleniowej 12 Brygady Zmechanizowanej.

W stargardzkim centrum znajdują się trzy sale treningowe. Jedna z nich mieści dziesięć stanowisk TH-1, czyli trenażerów pozwalających na wstępne szkolenie działonowego i dowódcy kołowych transporterów opancerzonych Rosomak wyposażonych w system wieżowy Hitfist 30-P. Żołnierze przechodzą tu-

taj także szkolenie doskonalące. Ćwiczą się w prowadzeniu działań taktycznych i ogniowych w zróżnicowanych, symulowanych warunkach terenowych i atmosferycznych. Mogą trenować identyfikację celów, ich niszczenie oraz prowadzenie ognia, a także doskonalić się w postępowaniu w takich sytuacjach, jak wybuch pożaru czy awaria techniczna. Wszystkie zajęcia są rejestrowane, co pozwala później na omówienie zadań z instruktorem i poprawę błędów.

„To, co wyróżnia nasz śnieżnik, to m.in. makieta KTO Rosomak oraz odrębne symulatory dla dywizjonu przeciwlotniczego”, mówi plut. Marcin Grodziński, kierownik centrum szkoleniowego w Stargardzie Szczecińskim. „Został ustawiony pewnego rodzaju kontener, który oddaje rozmiary prawdziwego wozu. Przygotowano w nim przedział bojowy dla działonowego i dowódcy oraz dla desantu. Dzięki temu piechota może współpracować z załogą wozu. Żołnierze ćwiczą np. jego opuszczanie, a potem zajmowanie stanowisk ogniowych”.

Z nowej inwestycji skorzystali także przeciwlotnicy. Stargard Szczeciński jest jedynym miejscem w Polsce, gdzie w warunkach symulowanych mogą się szkolić działon armaty ZU-32-2K Hibneryt oraz operatorzy zestawu raketowego Grom. Ci ostatni podczas ćwiczeń stoją na ruchomej platformie i mierzą w stronę sferycznego ekranu. Celują do śmigłowców i samolotów, które poruszają się z rzeczywistą prędkością. Zbliżony do prawdziwego jest także trening załogi tego pierw-





KOMENTARZ

SŁAWOMIR DUDCZAK

System szkolno-treningowy Śnieżnik w Stargardzie Szczecińskim jest najnowocześniejszym obiektem tego typu w Polsce. Dzięki niemu zarówno 12 Brygada Zmechanizowana, jak i jednostki wojskowe z Pomorza Zachodniego mogą skorzystać z nowych rozwiązań. Śnieżnik bowiem to bardzo nowoczesne i skuteczne

urozmaicenie w szkoleniu, zwłaszcza dla nowych żołnierzy. Nie zastąpi on w pełni tradycyjnych zajęć, przynosi jednak duże oszczędności, jeśli chodzi o amunicję, pozwala zorganizować wieloaspektowe szkolenie, zarówno dla piechoty, jak i dla pododdziałów innych specjalności, w szczególności dla przeciwlotników.

Gen. bryg. SŁAWOMIR DUDCZAK jest dowódcą 12 Brygady Zmechanizowanej.

BŁAŻEJ ŁUKASZEWSKI / 12 BZ

Pierwszy system Śnieżnik wyprodukowano 15 lat temu. Skonstruowali go specjaliści z Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia (WITU) i firmy Autocomp Management.

szego zestawu. Dowódca działonu kpr. Marek Janik wyjaśnia: „To doskonałe narzędzie do nauki, kontroli i oceny przygotowania całej obsługi. Służy do wykonania, rozpoznania i niszczenia celów naziemnych i powietrznych”. Podczas wirtualnego szkolenia żołnierze prowadzą ogień do kilku celów, na zmianę mierząc w jednostki powietrzne i lądowe. „Jednorazowe zajęcia trwają średnio pięć godzin. To naprawdę dużo czasu, żeby cały skład działonu nabrał pewności i by eliminować ewentualne błędy żołnierzy”, przyznaje kpr. Janik.

STEROWANIE NATURA

Żołnierze w czasie zajęć na śnieżniku mierzą do ekranu o wymiarach 12x3 m. Symulowany ogień prowadzą z broni, która została pozbawiona cech bojowych, a za to wyposażono ją w moduły laserowe i układy pneumatycznego przeładowania. „Tak samo mierzy się do celu, tak samo przeładowuje broń. Kiedy żołnierz wyceluje i wystrzeli, system nie tylko oceni celność ognia, lecz także sprawdzi, ile czasu było potrzeba do likwidacji przeciwnika”, podkreśla plut. Grodziński.

Podczas wirtualnego treningu żołnierze przygotowują się do strzelań zawartych w programie szkolenia, biorą również udział w zajęciach projektowanych dla nich przez dowódców i instruktorów. Mogą prowadzić ogień w miastach, lasach, górach czy na pustyni, mieć symulowane różnego rodzaju warunki pogodowe oraz porę dnia i nocy. „W trakcie zajęć ognio-

wych możemy wprowadzać wirtualnych przeciwników – żołnierzy i pojazdy, a także zakłócać przebieg walki i symulować pojawienie się cywilów”, opisują oficerowie 12 BZ. „Ćwiczymy też współpracę pomiędzy dwoma, trzema i czterema żołnierzami. Uczymy strzelać w trakcie przemieszczania, co jest – zwłaszcza dla początkujących żołnierzy – po prostu bezpieczne”, dodają.

WISIENKA NA TORCIE

Zajęcia na wirtualnej strzelnicy dla swoich podwładnych organizował m.in. por. Krystian Baszak, dowódca 1 kompanii z 3 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej. „Dla mnie najważniejsze jest to, że możemy wykonywać strzelania, które do tej pory odbywały się wyłącznie w warunkach poligonowych, czyli np. niektóre sytuacyjne”, przyznaje oficer. Podkreśla również, że teraz, zanim żołnierz wykona zadanie ogniowe na poligonie, może dowolną liczbę razy przećwiczyć je na wirtualnej strzelnicy. „Broń napędzana jest gazem, więc tego typu trening jest znacznie tańszy niż z użyciem ostrej amunicji. Realny strzał teraz będzie tylko jak wisienka na torcie”, dodaje por. Baszak. Żołnierze podkreślają jednak, że strzelanie wiązką laserową nigdy nie zastąpi realnego szkolenia ogniowego. „Śnieżnik przygotowuje, nauczy, wytrenuje pamięć mięśniową, przyjmowanie postaw i inne czynności, ale na pewno nie zastąpi strzelania ostrą amunicją. Bo żołnierz musi znać zapach prochu”, potwierdza mjr Kostrubiec.

Zdaniem dowódców najczęściej ze śnieżnika skorzystają młodzi żołnierze, system bardzo pomaga bowiem w nauce postaw strzeleckich i poprawności celowania. Pozwala żołnierzom nabrać wprawy, popracować nad koncentracją czy właściwym ułożeniem ciała podczas strzału. Dopiero po wirtualnym szkoleniu będą oni mogli spróbować swoich sił na strzelnicy garnizonowej, najpierw z amunicją ćwiczebną, a później z bojową. Natomiast doświadczeni strzelcy za pomocą trenerów będą podtrzymywać swoje umiejętności.



Trzon VI zmiany PKW Rumunia tworzą żołnierze 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z garnizonów w Międzyrzeczu i Wędrzynie. W jego skład wchodzi także wojskowi z kilkunastu jednostek, najliczniejszą zaś grupę stanowią specjaliści z 10 Brygady Logistycznej z Opola oraz 4 Pułku Przeciwlotniczego z Czerwieńska. Dowódcą VI zmiany jest mjr Mariusz Dłubała.

Inna niż wszystkie

Mniej treningów ogniowych i taktycznych, rzadsze pobyty na poligonach i ćwiczenia z przerzutu wojsk – tak pandemia zmieniła służbę polskich żołnierzy w Rumunii.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wjechaliśmy w szczerze pole, na którym wkrótce wyrósł polski obóz”, wspomina mjr Krystian Pietruszka, dowódca Narodowego Elementu Wsparcia (National Support Element – NSE) I zmiany PKW Rumunia.

Misja polskich żołnierzy w tym kraju rozpoczęła się w czerwcu 2017 roku. Miesiąc wcześniej w koszarach 26 Batalionu Piechoty w miejscowości Krajowa pojawili się logistycy z 10 Brygady Logistycznej z Opola. Przywieźli sprzęt potrzebny do budowy bazy oraz mieszkalne kontenery.

Z bazy, która wtedy powstała, korzystają żołnierze kolejnych kontyngentów. Stacjonują oni w Rumunii w ramach wielonarodowej brygady, której zadaniem jest wzmocnienie południowej flanki NATO. Szkołą się wspólnie z żołnierzami rumuńskimi. Logistycy zaś zajmują się tam teraz zaopatrzeniem, naprawą sprzętu, organizacją transportu, finansami, żywieniem oraz świadczeniem podstawowych usług medycznych.

Pod koniec stycznia 2020 roku do garnizonu w Krajowej dotarli żołnierze VI zmiany PKW Rumunia. Kpt. Jacek Bulanda, dowódca NSE,



NA CO DZIEN OKOŁO 60 LOGISTYKÓW DBA O TO, ABY PO- NAD 200 ŻOŁNIE- RZY MOGŁO BEZ PRZESZKÓD WYKONYWAĆ SWOJE OBOWIĄZKI

sprawnie przejął obowiązki od swojego poprzednika, kpt. Jarosława Kowalczyka. „Oprócz przekazania zapasów, sprzętu oraz dokumentacji ważne było zapoznanie nowej zmiany z lokalnymi instytucjami, od których uzależnione jest funkcjonowanie kontyngentu, takimi jak bank lub

lotnisko, czy wskazanie lokalnych dostawców usług”, wspomina kpt. Kowalczyk.

Logistycy NSE formowanego przez 10 Brygadę Logistyczną nie uczestniczą bezpośrednio w zadaniach taktycznych i ogniowych, ale to dzięki nim żołnierze 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, którzy stanowią trzon VI zmiany, mogą bez przeszkód szkolić się w strukturach Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej. Pilnują, by nie zabrakło paliwa, amunicji czy części zamiennych do pojazdów. O stan techniczny, uzbrojenie i systemy łączności rosomaków dba sekcja techniczna, którą kieruje kpt. Konrad Grudzień. „Do nas należy głównie utrzymywanie sprzętu wojskowego w sprawności, tak aby żołnierze mogli wykonywać postawione im zadania”, opowiada kapitan. Dostawę niektórych części może zapewnić tylko transport wojskowy z Polski, który teraz, w dobie pandemii, jest utrudniony.

OCZKO W GŁOWIE

„Nasze najtrudniejsze zadanie? Mamy tylko takie”, śmieje się kpt. Bulanda i opowiada o wyzwaniu, którym było zabezpieczenie logistyczne przemarszu wojsk na odległe o kilkaset kilometrów poligony w Smârdan i Cincu. Rosomaki musiały pokonać te odległości po drogach publicznych, w górzystym terenie. „W cysternie wieźliśmy olej napędowy, aby można było zatankować podczas ćwiczeń na poligonie, a na jeliczu – kontener z amunicją”, opowiada o zabezpieczeniu tego transportu chor. Maciej Szejner, dowódca plutonu logistycznego. „Każdy rosomak to nasze oczko w głowie i dlatego ich sprawność staramy się utrzymywać na poziomie 100%”, zapewnia kpt. Grudzień. Gdy coś się dzieje, potrzebna jest natychmiastowa reakcja.

Tak było w lutym, gdy kończyły się ćwiczenia na poligonie w Smârdan. „W sobotę około godziny 15.00 otrzymałem informację o problemie z KTO Rosomak. Tymczasem w poniedziałek rano konwój miał wyruszyć w drogę powrotną do odległej o 560 km bazy w Krajowej”, wspomina szef sekcji technicznej. „Podczas działań w ciężkim terenie i trudnych warunkach atmosferycznych uszkodzona została część rosomaka, której technik kompanii nie miał pod ręką. Szybko udało nam się ustalić, co jest potrzebne i serwisanci niezwłocznie wyruszyli na tamtejszy poligon. Na miejscu prace trwały do późnych godzin w niedzielę. Ale się udało i następnego dnia nad ranem rosomak wraz z konwojem wyruszył w drogę powrotną do bazy”.

HERCULES RZĄDZI

Przez ręce st. chor. sztab. Marka Kopcia, specjalisty ds. transportu, przechodzi wszystko, co jest związane z zaopatrzeniem misji. Kiedy wyjeżdżał do Rumunii, sądził, że większość towarów, które zamówi w 10 Brygadzie, dotrze do tego kraju drogą lądową. I faktycznie, w styczniu i lutym amunicja, oleje, smary, części do rosomaków jechały z Opoli do Krajowej ciężarówkami. Gdy w marcu wybuchła pandemia COVID-19, środek transportu się zmienił – od tej pory do wykonywania tych zadań używa się herkulesów. ➔

ARCH. PKW. RUMUNIA (2)

JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH WYZWAŃ BYŁO ZABEZPIECZENIE LOGISTYCZNE PRZEMARSZU WOJSK NA ODLEGŁE O KILKASET KILOMETRÓW POLIGONY W SMÂRDAN I W CINCU. ROSOMAKI MUSIAŁY POKONAĆ TE ODLEGŁOŚCI PO DROGACH PUBLICZNYCH, W GÓRZYSTYM TERENIE

Chorąży musiał zatem odświeżyć swoją wiedzę na temat przepisów lotniczych, które są bardziej rygorystyczne.

Gdy z Polski przylatuje samolot, chor. Kopeć czuwa nad tym, aby sprawnie przeprowadzić rozładunek maszyny. Pojemniki z lekami i żywnością muszą zachować stałą temperaturę, więc trzeba pilnować, aby proces chłodzenia nie został przerwany. Dlatego lekarstwa i świeże produkty trafiają do samochodu chłodni. Pozostałe towary trzeba umieścić w kontenerze i przetransportować do bazy. Żołnierz podkreśla, że należy także pamiętać o zachowaniu wszelkich norm i procedur przeciwepidemicznych.

„Pandemia COVID-19 ma spory wpływ na służbę na naszej zmianie”, przyznaje kpt. Dariusz Szeląg, rzecznik prasowy VI zmiany PKW Rumunia. We współpracy ze stroną rumuńską przyjęto procedury postępowania przeciwepidemicznego. Jak podkreśla rzecznik, do przypadków wystąpienia koronawirusa nie doszło dzięki ścisłemu przestrzeganiu rygorów sanitarnych. Por. Dominika Pezdek, która jest lekarzem VI zmiany PKW Rumunia, przeszkoliła żołnierzy, zwracając uwagę na zasady, których muszą przestrzegać, oraz na objawy chorobowe. Trzeba było też szybko pozyskać środki medyczne do indywidualnej ochrony. „Na początku dostaliśmy je od rumuńskich służb medycznych. W połowie marca dotarł już pierwszy transport maseczek, rękawiczek i kombinezonów z 10 Brygady”, dodaje.

NAJWAŻNIEJSZA JEST ORGANIZACJA

Z hotelu, w którym mieszka część żołnierzy VI zmiany, do koszar 26 Batalionu Piechoty (tam nocują pozostali) można dojechać w ciągu dziesięciu minut albo pokonać tę trasę pieszo w ciągu 40 minut. Z powodu pandemii ta druga możliwość została wykluczona. Każdego ranka pod hotel o 7.00 podjeżdża pierwszy bus. Został rozpisany grafik, tak więc każdy żołnierz wie, o której godzinie ma czekać przed wejściem.

Wszystko idzie sprawnie i kilka minut po 8.30 w koszarach rozpoczyna się odprawa z dowódcą NSE, a potem każdy rozchodzi się do swoich zajęć. „Dziś musiałem zaksiegować kilkadziesiąt dokumentów rozliczonych przez oddział gospodarczy. Dostałem także zadanie zakupu na rynku lokalnym elektrolitu do akumulatorów oraz miesięcznego rozliczenia pracowników KTO. Nie siedzę jednak tylko za biurkiem. Nadzoruję pracę magazynów, sprawdzam wykonywanie napraw pojazdów oraz sprzętu

wojskowego w warsztatach”, opowiada kpt. Grudzień.

Por. Mariusz Pyka, szef sekcji materiałowej, tego dnia po odprawie musiał przygotować dokumenty niezbędne do otrzymania transportu obuwia za kilkanaście dni oraz skontrolować podległe magazyny. „Jak w każdy wtorek, jedno ze spotkań ze stroną rumuńską było poświęcone sprawom żywienia. Należy uzgodnić zmiany godzin wydawania posiłków, jeśli wymaga tego plan ćwiczeń”, wyjaśnia por. Pyka.

„Trzeba było zaadaptować się do nowych warunków”, przyznaje kpt. Bulanda. Co to oznacza? Własnymi siłami żołnierze muszą na przykład przeprowadzać specjalistyczną obsługę pojaz-

dów (przedtem na kilka dni przyjeżdżali z kraju wykwalifikowani serwisanci). „Początki były trudne, ale już się przyzwyczailiśmy, że nie wychodzimy poza teren koszar”, opowiada chor. Szejner. Żartuje, że ma blisko do pracy, bo w jednym budynku mieszkają żołnierze, w drugim mieści się sztab, a w trzecim jest stołówka, w której każdy siedzi sam przy stoliku, a o zachowaniu półtorametrowego dystansu przypominają czerwone linie.

Inną niedogodnością jest to, że w Krajowej zamknięto baseny i siłownię, z których korzystali żołnierze VI zmiany PKW. „Pozostało nam bieganie po terenie koszar i gra w tenisa stołowego”, mówi por. Mariusz Pyka.

DUCH ZESPOŁU

„Przez ostatnich kilka miesięcy do wyjazdu do Rumunii przygotowywała się VII zmiana. Żołnierze Narodowego Elementu Wsparcia szkolili się w 10 Brygadzie Logistycznej. Doskonalili umiejętności zarówno ogólnowojskowe, jak i specjalistyczne, właściwe dla każdego stanowiska służbowego”, tłumaczy kpt. Piotr Płuciennik, oficer prasowy 10 Brygady. Przed wyjazdem wszyscy żołnierze musieli przejść dwutygodniową kwarantannę.

Kpt. Płuciennik zwraca uwagę, że podczas przygotowań do wyjazdu na misję równie istotne jak wyszkolenie jest zbudowanie ducha zespołu. Podczas spędzonych razem kilku miesięcy żołnierze mają okazję lepiej się poznać. „Jest to szczególnie ważne, gdy w składzie kolejnej zmiany będą doświadczeni misjonarze oraz żołnierze, dla których jest to pierwszy wyjazd poza granice kraju. Pomoc starszych kolegów może się okazać nieoceniona zarówno podczas wykonywania zadań służbowych, jak i w chwilach kryzysu, wywołanego na przykład rozłąką z najbliższymi”, podkreśla żołnierz. ■

Obustronna korzyść

Udział w ochotniczych ćwiczeniach wojskowych to propozycja dla żołnierzy rezerwy, którzy z powodu pandemii stracili pracę.

PAULINA GLIŃSKA

W tym roku wojsko zamierzało wezwać do jednostek ponad 50 tys. rezerwistów, ale te plany zryfikowała sytuacja związana z epidemią. Po trzech miesiącach przerwy Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało o wznowieniu ćwiczeń. Zgodnie z przepisami może być na nie wezwany każdy, kto ma 18 lat, dobrą kondycję i nie skończył 55 lat, a w wypadku posiadających stopień podoficerski lub oficerski – 63 lat. Na razie jednak ćwiczenia są przeznaczone głównie dla ochotników. Co więcej, priorytetowo traktowani są ci, którzy w wyniku pandemii utracili źródło dochodów.

CHEŃNI MILE WIDZIANI

„Ćwiczenia są przeznaczone dla żołnierzy rezerwy, a więc osób, które mają za sobą jakąkolwiek formę czynnej służby wojskowej i złożyły przysięgę”, podkreśla ppłk Marcin Sudak z Oddziału Planowania Uzupełnień Mobilizacyjnych i Wojskowych Sztabu Generalnego WP. To byli żołnierze zawodowi, ci po zasadniczej służbie wojskowej, przygotowawczej, a także absolwenci Legii Akademickiej po ukończonym szkoleniu wojskowym. „Czekamy też na tych, którzy nie stracili pracy, a chcą podtrzymać lub zdobyć nowe umiejętności”.

Wojskowe komendy uzupełnień odnotowały duże zainteresowanie ochotników. Po sześciu dniach na liście znalazło się już ponad pół tysiąca osób.

Wśród nich kpr. rez. Adam Stopka z Makowa Podhalańskiego. Ma za sobą służbę zasadniczą, w 2012 roku służył w narodowych siłach rezerwowych, a przez ostatnich kilka lat pracował jako przedstawiciel handlowy. Teraz został bez pracy. „Postanowiłem wziąć udział w 90-dniowych ćwiczeniach. Jestem nastawiony pozytywnie i liczę na to, że zdobędę nowe umiejętności. Chętnie zostałemby żołnierzem zawodowym”, mówi rezerwista.

Każdy z ochotników deklaruje, jak długo będzie się szkolił i kiedy chciałby zacząć. „Ćwiczenia obowiązkowe trwają z reguły od 5 do 14 dni. Te, które organizujemy teraz, są zdecydowanie dłuższe, nawet 90-dniowe”, mówi ppłk Sudak. Rezerwiści mogą liczyć na bezpłatne wyżywienie i zakwaterowanie na terenie jednostek wojskowych, a także na wynagrodzenie. W przypadku szeregowego wynosi ono około 3,5 tys. zł miesięcznie. Na takim rozwiązaniu skorzysta też wojsko. „Każdy przeszkolony obywatel jest dla nas cenny, ponieważ podnosi potencjał wyszkolonych rezerw sił zbrojnych”, deklaruje ppłk Sudak.

SZKOLENIA DLA NOWICJUSZY

Ministerstwo Obrony Narodowej wychodzi też z ofertą do osób, które do tej pory nie miały kontaktu z wojskiem. Ochotnikom proponuje odbycie służby przygotowawczej na dodatkowym turnusie. Pierwszeństwo mają osoby, których sytuacja zawodowa pogorszyła się

w ostatnim czasie. Ci, którzy się zdecydują, otrzymają 1,2 tys. zł miesięcznie oraz 2,6 tys. na zakończenie służby. Jeśli ukończą szkolenie, otrzymają status żołnierza rezerwy, co otwiera drogę do służby zawodowej.



KOMENTARZ

RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

Sytuacja związana z COVID-19 sprawiła, że wiele naszych planów trzeba było zmienić. Tak stało się chociażby z ćwiczeniami dla rezerwistów, które z powodu ograniczenia ryzyka rozprzestrzeniania się wirusa musieliśmy zawiesić. Zamierzamy powrócić do nich dopiero jesienią. Chcemy jednak pokazać obywatelską postawę sił zbrojnych. Dlatego proponujemy żołnierzom rezerwy udział w ćwiczeniach ochotniczych. To oferta adresowana głównie do tych, którzy na skutek pandemii utracili zatrudnienie. Może właśnie w taki sposób uda się pozytywnie wpłynąć na rynek pracy.

Gen. RAJMUND T. ANDRZEJCZAK
jest szefem Sztabu Generalnego Wojska
Polskiego.



KILKA LAT TEMU PILOCI F-16 PODCZAS LOTÓW ROZPOZNAW- CZYCH DOKUMENTOWALI POPOWODZIOWE ROZLE- WISKA WISŁY



POZNAJcie
Z NAMI SPECYFIKE
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO**
OD KULIS PRZECZYTAJcie O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWŁOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

ZWIAD Z NIEBA

Strzegą powietrznych granic i wykonują misje rozpoznawcze. Uzależnieni są od adrenaliny, którą zapewniają im loty na F-16.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Loty rozpoznawcze to nasza wizytówka. Prowadzimy tego typu misje na rzecz różnych rodzajów polskich sił zbrojnych oraz całego Sojuszu Północnoatlantyckiego”, mówi płk pil. Tomasz Jatczak, dowódca 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego, jednej z dwóch polskich jednostek wyposażonych w wielozadaniowe samoloty F-16. Piloci z Łasku zasłużyli się także podczas operacji na Bliskim Wschodzie, gdy z powietrza dokumentowali pozycje bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Żołnierze i 16 myśliwców tworzą 10 Eskadrę Lotniczą, której symbolem jest smok.

ZANIM WYSTARTUJĄ

„Każdy lot wymaga kilkugodzinnego przygotowania”, mówi ppłk pil. Krzysztof Duda, zastępca

dowódcy Grupy Działań Lotniczych i dowódca 10 Eskadry. „Samo planowanie misji może trwać nawet trzy godziny. Trzeba np. omówić jej przebieg z wszystkimi pilotami ugrupowania i nawigatorami naprowadzania. A także sprawdzić warunki pogodowe i dostępność lotnisk zapasowych. Jeżeli szkolimy się w walkach powietrznych, to ustala się założenia wstępne dla strony przeciwnej, m.in. typ statku powietrznego i jego uzbrojenie”, wyjaśnia ppłk Duda. Dwie godziny przed startem odbywa się jeszcze briefing, czyli ostatnie omówienie misji. Loty szkolne lub treningowe trwają zwykle około półtorej godziny, ale jeśli zaplanowano w trakcie tankowanie, to piloci mogą latać bez przerwy dwa razy dłużej. Misje typu „air to air”, czyli walki powietrzne w różnych konfiguracjach, zwykle są nieco krótsze.



Gdy trwa planowanie misji, samolotami zajmują się technicy. Do każdego myśliwca przypisany jest „crew chief”, który sprawdza i przygotowuje samolot przed lotem. W razie potrzeby wspierają go specjaliści, m.in. od osprzętu, awioniki, silnika czy uzbrojenia. „Już dzień wcześniej ustalamy, które samoloty mają wzbić się w powietrze, jak mają zostać skonfigurowane, ewentualnie uzbrojone. Potem potrzebujemy około dwóch godzin na samo ich przygotowanie do lotu”, opisuje kpt. Jarosław Urbaś, dowódca eskadry obsługi.

„Crew chief” sprawdza samolot zgodnie z instrukcją techniczną, punkt po punkcie według tzw. check listy, a następnie przekazuje maszynę pilotowi. Po locie technicy wykonują te same czynności. Potrzebują półtorej godziny na odtworzenie gotowości bojowej myśliwca. „Samoloty trzeba zatankować, a potem sprawdzić m.in. stan płynów w instalacjach hydraulicznych, wizualnie stan płatowca oraz to, czy nie przetarły się koła podczas lądowania”, uzupełnia kpt. Urbaś.

Po powrocie do bazy piloci zawsze spotykają się na debriefingu. „To jeden z najważniejszych etapów szkolenia lotniczego. Minuta po minucie analizujemy lot, wskazujemy błędy, omawiamy zachowanie pilotów w powietrzu, oceniamy czas ich reakcji, wyciągamy wnioski, co można zrobić inaczej. Ten etap nie ma ograniczeń czasowych. Kiedyś byłem na debriefingu, który trwał sześć godzin”, wspomina ppłk pil. Przemysław Struj, dowódca Grupy Działań Lotniczych. Ppłk Duda uzupełnia, że to zależy od tego, jak skomplikowana jest misja. „Oglądamy na ekranie walkę powietrzną, zwracamy uwagę na wszystkie elementy lotu, np. moment odpalenia pocisków rakietowych. Znajdujemy ewentualne przyczyny niepowodzenia i je analizujemy”, uzupełnia dowódca eskadry.

WSPÓLNIE Z AMERYKANAMI

Życie bazy skupia się wokół lotów szkolnych, treningowych i operacyjnych. Piloci podrywają jąstrzębie czasami dwukrotnie w ciągu dnia, nierzadko także w nocy. W Łasku na stałe stacjonuje komponent lotniczy amerykańskich sił powietrznych Aviation Detachment (m.in. instruktorzy F-16), a na dodatek dwa razy w roku przylatują ze Stanów Zjednoczonych piloci myśliwców i ćwiczą razem z Polakami.

„Zadania pilotów uzależnione są od ich poziomu wyszkolenia. Ci bardziej doświadczeni wykonują loty treningowe, by podtrzymywać dotychczasowe umiejętności, nawyki i cały czas doskonalić się w taktyce. Młodzi, którzy są np. skrzydłowymi, szkolą się pod okiem instruktorów,



F-16 z podwieszonym zasobnikiem rozpoznawczym

aż uzyskają kolejno uprawnienia dowódcy pary, a potem dowódcy klucza”, mówi ppłk Duda. „Niezależnie jednak od kwalifikacji, wszystkich pilotów łączy jedno. My kochamy latać tymi samolotami. Jesteśmy uzależnieni od adrenaliny, którą dają nam loty na F-16”, dodaje oficer.

KAŻDA SEKUNDA MA ZNACZENIE

Aby usiąść za sterami F-16, wszyscy lotnicy muszą przejść taką samą drogę: absolwent Lotniczej Akademii Wojskowej, który dostaje przydział do jednostki wyposażonej w F-16, najpierw zalicza szkolenie podstawowe. Tzw. basic młodzi podporucznicy najczęściej przechodzą w Stanach Zjednoczonych, ale mogą się także

SŁAWEK HESJA KRAJNIEWSKI



TRZY PYTANIA DO

Tomasz Jatczak

Co wyróżnia 32 Bazę Lotnictwa Taktycznego spośród innych jednostek?

Jesteśmy jedną z dwóch jednostek w Polsce wyposażonych w wielozadaniowe samoloty F-16, ale jedyną przygotowaną do prowadzenia zadań rozpoznawczych z powietrza.

Kto służy w waszej jednostce?

To personel o wysokich kwalifikacjach i bardzo zmotywowany. Ludzie zaangażowani, doświadczeni i świetnie wyszkoleni. Doskonale znają się na eksploatacji wielozadaniowych samolotów. Baza lotnicza jest jak jeden organizm. Sercem są piloci, którzy latają na myśliwcach, oraz specjaliści, którzy dbają o nie na co dzień. Równie ważny jest jednak pozostały personel, bo wszyscy chcą osiągnąć jeden cel – doprowadzić do bezpiecznego wykonania zadań w powietrzu. Za

doskonałą robotę odpowiadają więc m.in. nawigatorzy, kontrolerzy, technicy, meteorolodzy, sztabowcy, ale i żołnierze kompanii obsługi lotniska. Dodatkowo jesteśmy wojskowym oddziałem gospodarczym, więc zabezpieczamy funkcjonowanie logistyczne nie tylko naszej bazy, lecz także pobliskich jednostek.

Jakich specjalistów potrzebujecie?

W bazie są etaty dla żołnierzy różnych specjalności, głównie ekspertów od obsługi i eksploatacji statków powietrznych. Służą u nas absolwenci Lotniczej Akademii Wojskowej i Wojskowej Akademii Technicznej. Stawiamy na ludzi zmotywowanych do służby i dyspozycyjnych. ■

Płk pil. TOMASZ JATCZAK jest dowódcą 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego.

szkolić w Krzesinach. Niespełna dwa lata w USA spędzają na kursie językowym, szkoleniu lotniczym na maszynach T-6 oraz na naddźwiękowym T-38 Talon, by w końcu przejść się do F-16.

Do swoich macierzystych jednostek wracają jako skrzydłowi, by rozpocząć... kolejny etap szkolenia. Taką drogę przeszedł „Fuse”. Podporucznik niedawno zakończył kurs za oceanem i przed nim pierwszy lot F-16 z białą-czerwoną szachownicą. „Nie mogę się już doczekać. Po pierwsze, dlatego że będę pilotował polskiego efa, a po drugie, dlatego że jest to nowocześniejsza wersja samolotu od tej, na której szkoliłem się w USA. Silnik polskiego myśliwca jest mocniejszy, więc to na pewno będzie niezapomniane przeżycie”, dodaje z entuzjazmem. O pilotowaniu myśliwca marzył jeszcze jako uczeń liceum lotniczego w Dęblinie. „Droga do

F-16 nie jest łatwa, ale warto! Gdy pierwszy raz wzbiłem się w powietrze, nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Na początku to była dla mnie walka z czasem. Szybko rozumiałem, że w F-16 każda sekunda ma znaczenie”, dodaje „Fuse”.

Przed pilotem jeszcze krótki kurs przygotowujący do lotów na konkretnym typie samolotu. W USA szkolił się na F-16 Block 32, w Polsce będzie latał na F-16 Block 52+. „Tak naprawdę szkolenie na F-16 nigdy się nie kończy”, uzupełnia płk Struj. Kolejnym etapem nauki w Polsce jest kilkumiesięczny kurs MQT, czyli „mission qualification training”. Piloci uczą się kolejno na dowódcę pary, potem klucza. Ostatni stopień to „mission commander”, czyli dowódca misji powietrznej, w której bierze udział dużo różnego rodzaju statków powietrznych oraz pilot-instruktor.





Piloci z Łasku brali udział w najważniejszych operacjach prowadzonych w Iraku, nad którego terytorium wykonywali loty rozpoznawcze, m.in. w czasie bitwy o Mosul oraz Tal Afar. Na zdjęciu samolot F-16 z 32 BLT w bazie w Kuwejcie, gdzie stacjonował polski kontyngent.

Zanim piloci z 32 Bazy otrzymają status „combat ready”, czyli pełnej gotowości bojowej, przechodzą jeszcze jedno szkolenie, typowe tylko dla tej jednostki: uczą się wykonywania lotów rozpoznawczych i obsługi zasobnika obrazowego DB-110. „Każdy z naszych pilotów musi wyszkolić się w tej dziedzinie”, przyznaje ppłk pil. Przemysław Struj. Żołnierze uczą się m.in. o zasięgach urządzenia, sterowaniu automatycznym i programowaniu. Po kursie teoretycznym muszą wykonać lot rozpoznawczy i zgromadzić dokumentację zdjęciową z powietrza.

Do fotografowania różnych miejsc i obiektów piloci wykorzystują DB-110, ale o szczegółach tego typu zadań nie chcą mówić. Wiadomo jednak, że w czasie lotu podczipione pod samolotem urządzenie jest w stanie skanować powierzchnię pod maszyną i wykonywać zdjęcia terenu wokół niej. Można nim także sfotografować konkretny punkt w terenie z różnych stron. „Pilot musi się znaleźć na odpowiedniej wysokości w odpowiednim miejscu, by zasobnik zaczął pracować, a potem poruszać się dokładnie wyznaczoną trasą. Wtedy zdjęcia się udadzą”, tłumaczy dowódca Grupy Działań

Lotniczych. Zgromadzoną w trakcie lotu dokumentacją zdjęciową zajmują się analitycy. Misje rozpoznawcze F-16 z Łasku były wykorzystywane np. do dokumentowania rozlewisk Wisły podczas powodzi kilka lat temu.

NA DYŻURZE

Lotnicy brali udział w różnego rodzaju międzynarodowych ćwiczeniach lotniczych, m.in. w Szwecji, Hiszpanii, Holandii, Niemczech, Włoszech, szkolili się także w Izraelu i na Alasce. Od ośmiu lat pełnią dyżury bojowe, strzegąc przestrzeni powietrznej Polski – to właśnie w Łasku pierwsza polska para dyżurna F-16 była certyfikowana według wymagań NATO. Jak wyjaśnia ppłk Struj, dyżury w systemie sojuszniczym i narodowym piloci trzymają całodobowo przez rok, ale zmieniają się w tych obowiązkach z siostrzaną jednostką z Krzesin, czyli 31 Bazą Lotnictwa Taktycznego. „Aby można było rozpocząć dyżur, nie tylko trzeba przygotować personel, lecz także odpowiednio skonfigurować i uzbroić samoloty”, mówi dowódca GDL-u.

W 2019 roku zakończył się wart niemal 100 mln zł remont lotniska w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego. Inwestycję współfinansowali Amerykanie, którzy dobudowali 500 m pasa startowego oraz rozpoczęli budowę domu pilota.



32 BAZA LOTNICTWA TAKTYCZNEGO

Jednostka kulturuje tradycje 10 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego, 2 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego i 31 Pułku Szkolno-Bojowego. W wyniku przekształcenia poprzednich jednostek wojskowych 1 stycznia 2001 roku powołano w Łasku 10 Eskadrę Lotnictwa Tak-

tycznego, wyposażoną w samoloty MiG-21, potem TS-11 Iskra, a od jesieni 2008 roku w wielozadaniowe F-16. Na początku 2010 roku z połączenia 32 Bazy Lotniczej i 10 Eskadry Lotnictwa Taktycznego powstała 32 Baza Lotnictwa Taktycznego. ■

WYPOSAŻENIE

W 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku stacjonuje 16 samolotów F-16 C/D Block 52+. Samoloty są wyposażone w zasobniki obrazowe Goodrich DB-110. Zamontowane wewnątrz nich

systemy optyczne pozwalają wykonywać zdjęcia zarówno w paśmie widzialnym, jak i w paśmie bliskiej oraz środkowej podczerwieni. Oznacza to, że DB-110 fotografuje także w nocy. ■

Para dyżurna może być poderwana do samolotów naruszających przepisy lotnicze lub do maszyn, które mają problemy np. z łącznością lub nawigacją. Podobne zadania piloci z Łasku wykonywali w ramach natowskiej misji Baltic Air Policing w składzie dziewiętej zmiany PKW Orlik w Estonii. To jednak nie była pierwsza operacja w historii 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego. Żołnierze z tej jednostki w 2016 roku zostali skierowani do udziału w międzynarodowej misji „Inherent Resolve” przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu. „Sformowaliśmy I zmianę PKW w Kuwejcie. Ruszyliśmy w nieznany teren, musieliśmy się odnaleźć w międzynarodowym środowisku. To był sprawdzian bojowy nie tylko naszych pilotów, ale też całej logistyki, procedur, systemu dowodzenia”, mówi płk Tomasz Jatzczak. „Chociaż to było trudne zadanie, bardzo się cieszę, że mieliśmy możliwość uczestniczenia w tej operacji. Wiele lat się szkoliliśmy i gdy przyszedł czas na sprawdzian bojowy, nie zawiedliśmy”, dodaje dowódca.

SMOKI Z ŁASKU

32 Baza wystawiła trzy z czterech zmian PKW w Kuwejcie. Na Bliski Wschód na każdą turę delegowano do 150 żołnierzy i pracowników wojska oraz cztery uzbrojone samoloty F-16. Żołnierze stacjonowali w międzynarodowej bazie lotniczej

Ahmad al-Dżabir, ale operacje lotnicze odbywały się nad terytorium Iraku. Polacy prowadzili rozpoznanie zarówno w dzień, jak i w nocy. Te misje polegały na fotografowaniu celów zgodnie z zapotrzebowaniem dowództwa operacji. Na podstawie dokumentacji zdjęciowej określano pozycje bojowników tzw. Państwa Islamskiego, a także weryfikowano skuteczność przeprowadzanych nalotów. „Żarty się skończyły, wykonywaliśmy zadania nad wrogiem terenem i chociaż latając na wysokości ponad 8 km byliśmy względnie bezpieczni, to zawsze z tyłu głowy była myśl, że w razie zestrzelenia lub awarii silnika znajdziemy się w trudnej sytuacji”, mówi ppłk Krzysztof Duda, zastępca dowódcy IV zmiany PKW w ramach operacji „Inherent Resolve”. Z kolei ppłk Struj, który był zastępcą dowódcy I zmiany PKW w Kuwejcie, służył na II i dowodził IV, podkreśla, że w czasie operacji piloci utwierdzili się w przekonaniu, że poziomem wyszkolenia nie odbiegają od najlepszych na świecie. „To była bardzo trudna misja. Na różnych poziomach w powietrzu znajdowało się czasami 80–100 statków powietrznych, do tego na ziemi toczyły się walki, prowadzono ostrzały artyleryjskie i okazało się, że... świetnie się w tym środowisku odnajdujemy”, podkreśla. Jak zaznaczają piloci, sprawdzian na Bliskim Wschodzie zdały także wielozadaniowe F-16. ■

MILITARIA

/ PRZEGLĄD



MARYNARKA BEZ LIDERÓW

**Nie najlepsza sytuacja gospodarcza
sprawia, że Rosja ogranicza plany modernizacji
krążowników i odkłada na nieokreślony czas budowę
dużych niszczycieli i fregat.**

TADEUSZ WRÓBEL

Rosjanie mają do dyspozycji tylko jeden lotniskowiec, „Admirał Kuzniecow”, zbudowany jeszcze w czasach Związku Sowieckiego.

TEBNAD / SHUTTERSTOCK



P

ółnocne Biuro Projektowo-Konstrukcyjne przerwało prace nad dwoma typami dużych jednostek nawodnych dla rosyjskiej marynarki wojennej. Największą z nich miał być niszczyciel rakietowy o napędzie atomowym projektu 23560 Szkwał, znany też jako okręt typu Lider. Powodem przerwania prac jest, jak podała firma, brak decyzji ministerstwa obrony w sprawie tych jednostek. Co ciekawe, w mediach jeszcze niedawno pojawiały się zapowiedzi rozpoczęcia w najbliższych latach budowy pierwszych egzemplarzy.

NISZCZYCIEL NICZYM KRAŻOWNIK

Budowę niszczyciela projektu 23560 można uznać za najbardziej ambitny, ale też i najbardziej kosztowny program modernizacji sił nawodnych rosyjskiej marynarki wojennej od czasu rozpadu Związku Sowieckiego. Takie jednostki znacząco wzmocniłyby jej potencjał bojowy. Plany budowy okrętów, które miały mieć napęd atomowy, upubliczniono w 2015 roku, ale ich wstępny projekt został zatwierdzony już w 2013 roku. Tuzin niszczycieli planowano rozdzielić między dwie floty: Północną i Oceanu Spokojnego.

Przez długi czas Rosjanie nie ujawniali szczegółów dotyczących lidera, w końcu jednak zaczęły pojawiać się informacje na ten temat. Niektóre dane techniczne z biegiem czasu były weryfikowane. Wstępnie podano na przykład, że wyporność niszczyciela będzie wynosiła 10 tys. t lub 12–13 tys. t, ale później mówiono już o 18, a nawet o 19 tys. t. Jednostka miała mieć 200–230 m długości i 20 m szerokości. Siłownia z reaktorem atomowym zapewniałaby jej prędkość maksymalną co najmniej 30–32 w. Tym samym okręt klasyfikowany jako niszczyciel rozmiarami zaczynał przypominać krążownik projektu 1144 Orlan. Dla porównania wyporność najnowszych amerykańskich niszczycieli typu Arleigh Burke Flight III nie przekracza 10 tys. t.

Z rozmachem Rosjanie podeszli też do uzbrojenia. Rakiety uderzeniowe planowano umieścić w uniwersalnych, pionowych wyrzutniach 3S-14 – osiem modułów z 64 komorami. W arsenale nisz-

czyciela miały znaleźć się pociski manewrujące Kalibr-NK, a także hipersoniczne typu 3M22 Cyrkon, które jeszcze są w fazie testowania. Załoga okrętu miałaby do dyspozycji również naddźwiękowe pociski przeciwokrętowe P-800 Onyks. Równie mocna miała być obrona powietrzna okrętu. W 56 komorach planowano розміścić rakietę dalekiego zasięgu morskiej wersji systemu S-500. Na niszczycielu miały znaleźć się jeszcze dwa inne systemy przeciwlotnicze – Poliment-Redut z pociskami o różnym zasięgu oraz służący do obrony bezpośredniej artylerijsko-rakietowy Pantsir-M. Do ochrony przed okrętami podwodnymi i torpedami załogi liderów miałyby natomiast do dyspozycji system Pakiet-NK. Planowano też wyposażać tę jednostkę w 130-milimetrową armatę morską oraz lądowisko i hangar dla dwóch śmigłowców. Rosjanie szacowali koszt budowy atomowego niszczyciela projektu 23560 na 100 mld rubli, czyli około 1,5 mld dolarów.

Dziennik gospodarczy „Wzgliad”, powołując się na raport roczny Północnego Biura Projektowego, w kwietniu 2020 roku podał, że plan prac dla niszczyciela Lider na lata 2017–2019 został zawieszony przez Ministerstwo Obrony Federacji Rosyjskiej już po zakończeniu wstępnego projektu w 2016 roku. Tymczasem zastępca dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej Wiktor Borsuk jeszcze w 2018 roku utrzymywał, że są one kontynuowane. „Wkrótce rozpoczną się prace nad projektem technicznym, a budowę zaplanowano po 2020 roku”, cytowała go wówczas agencja TASS. W lutym 2019 roku podawała z kolei, że do końca lat dwudziestych XXI wieku powstaną dwie takie jednostki.

To niejedyny projekt, którego zaniechano. Podobne decyzje podjęto w sprawie fregaty rakietowej projektu 22350M. Jej pierwowzorem jest znajdująca się już w składzie rosyjskiej floty wojennej jednostka typu Admirał Gorszkow (projekt 22350). Nowy okręt miałby jednak większy kadłub, a jego wyporność wzrosłaby z 5,4 do 8 tys. t. Fregata miałaby też znacznie większy potencjał bojowy, więc planowano wyposażać ją w 64 komory, czyli cztery razy więcej niż mają ich dostarczone flocie okręty typu Admirał Gorszkow. W budowie natomiast są



Dziennik gospodarczy „Wzgliad” w kwietniu 2020 roku podał, że plan prac dla niszczyciela Lider został zawieszony przez ministerstwo obrony już w 2016 roku. Tymczasem zastępca dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej Wiktor Borsuk jeszcze w 2018 roku utrzymywał, że prace są kontynuowane.



Wchodzący w skład Floty Północnej atomowy ciężki krążownik „Piotr Wielki” jest jednym z pięciu okrętów projektu 1144 Orłan, których budowę rozpoczęto jeszcze w latach siedemdziesiątych, i obecnie jedynym używanym w rosyjskiej marynarce wojennej.



Budowa niszczycieli projektu 23560 byłaby zapewne najbardziej kosztownym programem modernizacyjnym sił nawodnych rosyjskiej marynarki od czasu rozpadu Związku Sowieckiego. Plany budowy tych okrętów upubliczniono w 2015 roku.



Rosjanie przerwali prace nad programem budowy fregaty rakietowej projektu 22350M, wywodzącej się od już znajdujących się w składzie rosyjskiej floty wojennej jednostek typu Admirał Gorszkow, projektu 22350 (na zdjęciu).

dwie jednostki projektu 22350, które będą miały 24 komory. I właśnie te zmodyfikowane fregaty będą największymi nowymi nawodnymi okrętami bojowymi, na jakie rosyjska marynarka wojenna może liczyć w najbliższych latach.

OKRĘT MARZENIE

Rosja ma mnóstwo okrętów wojennych, ale w większości są to małe jednostki przeznaczone do działań przybrzeżnych. Co ważne, tamtejsza flota, jeśli chodzi o duże okręty nawodne, zaczyna ustępować dynamicznie rozbudowującym się siłom morskim Chin. Znakomicie widać te tendencje na przykładzie lotniskowców. W tej dziedzinie prym wiedzie marynarka amerykańska, bo US Navy posiada dziesięć okrętów operacyjnych i jeden, który jest w fazie prób. Chińczycy wprowadzili do służby dwie takie jednostki, ale kolejne są już w budowie. Tymczasem Rosjanie mają do dyspozycji tylko jeden okręt, „Admirał Kuzniecowa”, zbudowany jeszcze w czasach Związku Sowieckiego. Nic zatem dziwnego, że tak często zdarzają

się awarie na jego pokładzie. Liczba różnorodnych incydentów na morzu i w stoczni, także wypadków śmiertelnych, sprawia, że można uznać ten lotniskowiec wręcz za pechowy. Prawdopodobnie zresztą zostanie wkrótce wycofany ze służby.

Rosjanie planowali jednak zbudować jego następcę. Dlatego gdy w 2015 roku podawano informacje na temat konstrukcji niszczyciela Lider, ujawniono istnienie założeń dla atomowego superlotniskowca projektu 23000E, znanego też jako Sztorm. Jednostka miałaby podobne rozmiary jak lotniskowce amerykańskie – wyporność 90–100 tys. t, 330 m długości i 40 m szerokości w linii wodnej. Rosyjski okręt mógłby pomieścić do 90 samolotów, śmigłowców i bezzałogowych statków powietrznych. Na pokładzie startowym przewidziano dwie katapulty elektromagnetyczne i dwie ramy startowe tzw. skocznie (ski-jump). To jest niezwykle ciekawy i ambitny projekt, ale kosztowny.

W 2016 roku Rosja zaoferowała Indiom lotniskowiec wywodzący się z projektu 23000E i wtedy jego cenę oszacowano na



Liczba różnorodnych incydentów na morzu i w stoczni, także wypadków śmiertelnych, sprawia, że można nazwać „Admirała Kuzniecowa” pechowym okrętem.

MO F E D E R A C J I R O S Y J S K I E J



WYŚCIG GIGANTÓW

Klasa okrętów	Rosja	USA	Chiny
Lotniskowce (atomowe)	1 (0)	11 (11)	2 (0)
Krażownik (atomowe)	5 (2)	22	0
Niszczyciele	13	69	32
Fregaty	10	0	49
Okręty walki przybrzeżnej	0	19	0
Korwety (co najmniej 2000 t wyporności)	79 (6)	0	50 (0)
Okręty podwodne (atomowe)	61 (39)	68 (68)	około 80 (18)

5,5–5,6 mld dolarów. To nie jest wygórowana kwota, bo za podobną jednostkę amerykańską trzeba by zapłacić dwa razy więcej. Niemniej jednak w tej chwili możliwości finansowe rosyjskiego resortu obrony nie pozwalają nawet na taki wydatek.

W 2017 roku pojawiły się też doniesienia, że ministerstwo obrony jest zainteresowane okrętem przeznaczonym dla samolotów pionowego startu i lądowania. Mimo dość istotnego problemu – Rosja obecnie nie ma takich statków powietrznych – budowa nowego lotniskowca, według zapowiedzi rosyjskich oficjeli, miałaby rozpocząć się w latach 2025–2030.

REANIMACJA ADMIRAŁA

Marynarka wojenna Rosji ma też w linii jeden atomowy ciężki krążownik rakietowy „Piotr Wielki”, który wchodzi w skład Floty Północnej. To czwarty z planowanych pięciu okrętów projektu 1144 Orlan, których budowę rozpoczęto w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Ze względu na problemy ekonomiczne, jakie Federacja Rosyjska miała w latach dziewięćdziesiątych, okręt, którego budowa ruszyła w 1986 roku, wszedł do służby dopiero w 1998 roku. Trzy starsze jednostki tego typu wycofano już z linii, ale w 2014 roku pojawił się pomysł ich generalnego remontu i modernizacji.

W kwietniu 2019 roku gazeta „Izwestia” poinformowała, że rosyjska marynarka wojenna ostatecznie postanowiła zre-

zygnować z przywrócenia do służby „Admirała Uszakowa” oraz „Admirała Łazariewa”. Kontynuowane są jednak prace modernizacyjne na trzecim z krążowników. „Admirał Nachimow” zostanie przystosowany do przenoszenia najnowocześniejszych systemów uzbrojenia takiego, jak pociski Kalibr-NK, Onyks, a z czasem też Cyrkon. Modernizacja ma kosztować 500–600 mln rubli.

W czerwcu 2019 roku Michaił Budniczenko, dyrektor stoczni Siewmasz w Siewierodwińsku, do której „Admirał Nachimow” trafił już w 1999 roku, zapowiedział, że zostanie on przekazany marynarce wojennej w 2022 roku. Warto pamiętać, że to nie pierwszy zapowiadany termin końca prac modernizacyjnych. Pierwotnie planowano, że zakończą się one już w 2018 roku, potem tę datę przesuwano na rok 2019, 2020 i 2021...

CORAZ BARDZIEJ W TYLE

Rosja ma około 330 okrętów wojennych, głównie zaprojektowanych jeszcze w czasach Związku Sowieckiego, chociaż budowę niektórych zakończono już po jego rozpadzie. Niedostatek dużych jednostek nawodnych ogranicza zdolność Rosji do stałej prezentacji bandery w różnych regionach świata. Podstawą marynarki wojennej pozostanie zatem prawdopodobnie flota podwodna, w którą inwestowano nawet w trudnych dla Rosji czasach tuż po rozpadzie Związku Sowieckiego. ■

Prototyp rosyjskiego samobieżnego przeciwlotniczego kompleksu raketowo-artyleryjskiego na podwoziu kołowym Pancyr opracowano tuż przed rozpadem Związku Sowieckiego. Jak na standardy z końca lat osiemdziesiątych XX wieku, idea pod wieloma względami była nowatorska. Koncepcja samobieżnych zestawów punktowej obrony przeciwlotniczej (OPL), towarzyszących szybkim formacjom manewrowym (zmechanizowanym i pancernym) oraz uzupełniających luki w defensywie powietrznej zapewnianej przez systemy strefowe o większym zasięgu, powstawała równolegle w ZSRS i na Zachodzie. Ostatecznie ta klasa uzbrojenia wojsk lądowych wyodrębniła się pod koniec ubiegłego stulecia na fali reform i modyfikacji strategii w nowych postzimnowojennych realiach operacyjnych, kiedy postawiono na lekkość, mobilność i szybkość działania lądowych formacji militarnych.

FINANSOWE WSPARCIE

Upadek ZSRS i późniejsza mizéria jelicynowskiej smuty sprawiły jednak, że prace nad ostatecznym wykończeniem zestawu Pancyr (w nomenklaturze NATO nazwany SA-22 Greyhound) zostały odłożone na lepsze czasy. Te nadeszły niespodziewanie szybko, kiedy rosyjskim projektem zainteresowali się arabscy szejkwowie z Abu Zabi. Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) nie tylko wyraziły chęć zakupu kilkudziesięciu zestawów pancyrów wraz z pełnym zapleczem logistycznym i technicznym, lecz także zgodziły się współfinansować doprowadzenie całego projektu do finału oraz dostosowanie go pod względem technologicznym do własnych standardów.

Prace trwały długo, nie obyło się bowiem bez problemów z pełnym zgraniem poszczególnych elementów systemu. Ostatecznie jednak do 2010 roku ZEA weszły w posiadanie około 50 zestawów (w latach 2012–2018 dokupiły kolejne 30 sztuk tego uzbrojenia). Arabska wersja pancyra wciąż jest najbardziej zaawansowana technologicznie

z całej rodziny. Jako jedyna została też umieszczona na innym nośniku niż standardowe dla tej broni wozy typu Kamaz-6560 8x8 – wszystkie zestawy przeznaczone dla ZEA zamontowano na kupionym specjalnie w Niemczech



Słaby punkt

Doświadczenia z walk na Bliskim Wschodzie pokazują, że zestawy obrony przeciwlotniczej Pancyr nie są tak skuteczne, jak zapewniają Rosjanie.

TOMASZ OTŁOWSKI

podwoziu ciężarowym MAN SX45. Po 2010 roku zestawy Pancyr S-1 zaczęła kupować też armia rosyjska (siły lądowe i powietrzne) – obecnie w jej wyposażeniu znajduje się ich około stu. System udało się także z sukcesem sprzedać innym odbiorcom zagranicznym, głównie w Azji (m.in. do Algierii, Jor-

danii, Iraku, Iranu, Omanu, Syrii i Wietnamu). Pancyr został też opracowany w wersji na podwoziu gasienicowym oraz w postaci stacjonarnych modułów bojowych do wykorzystywania na pokładach okrętów wojennych i jako elementy stałych umocnień.

SKUTECZNOŚĆ PODWÓJNEJ SALWY

Podstawowym przeznaczeniem pancyrów jest bliska, punktowa obrona przed atakami z powietrza wydzielonych obiektów, instalacji i niewielkich zgrupowań wojsk. Głównym elementem tego systemu jest wóz bojowy typu 72W6, obsługiwany przez trzech członków załogi (kierowcę pojazdu oraz dwóch operatorów systemów radarowych i bojowych), składający się z części bojowej oraz nośnika. Część bojowa to moduł kontenerowy złożony z trzech elementów: kabiny obsługi (umieszczonej na przodzie kontenera, tuż za kabiną kierowcy nośnika), bloku aparatury chłodzącej oraz wieży ogniowej, zawierającej sprzęt nawigacyjny, elektroniczny i uzbrojenie z magazynem amunicyjnym. W tylnej części wieży znajdują się też radar wykrywania celów oraz głowica systemu optoelektronicznego.

Każdy wóz bojowy pancyra został uzbrojony w 12 dwuczłonowych rakiet przeciwlotniczych ziemia–powietrze typu 57E6, umieszczonych w dwóch sześciotubowych wyrzutniach na wieży pojazdu. Za pomocą sygnałów wysyłanych z wozu bojowego można sterować równocześnie lotem czterech rakiet – ze względu na redukcję kosztów całego kompleksu nie mają one własnego systemu naprowadzania. W praktyce, jak pokazały doświadczenia bojowe, najbardziej efektywne jest odpalanie rakiet w salwach po dwie sztuki naraz.

Dodatkowym uzbrojeniem pancyra są dwie dwulufowe armaty automatyczne typu 2A38M kalibru 30 mm. Każda z nich jest wyposażona w zasobnik amunicyjny zawierający 700 pocisków różnego typu – odłamkowych, przeciwpancernych i smugowo-zapalających. Załoga wozu ma możliwość doboru



NOŚNIK (WERSJA KAMAZ-6560)

Typ kołowy

Prędkość maks. na drodze 80 km/h
Zasięg ok. 400 km

Masa własna 13 250 kg

Nośność 24 550 kg



MIKHAIL VOSKRESENSKIY / EAST NEWS

rodzaju amunicji w zależności od charakteru zwalczanego celu. Nominalna szybkostrzelność armaty 2A38M to 2,5 tys. pocisków na minutę, a zasięg – do 4 km. Skuteczne prowadzenie ognia wymaga zatrzymania wozu i ustabilizowania jego pozycji. W tym celu wykorzystuje się cztery hydrauliczne stabilizatory umieszczone na podwoziu pojazdu.

DOŚWIADCZENIA Z WALKI

Pełna bateria pancyrów składa się z czterech–sześciu wozów bojowych, jednego dowodzenia, dwóch–trzech warsztatowych, jednego kontroli oraz trzech pojazdów transportowo-załadunkowych. Docelowo, według planów operacyjnych dowództwa sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej, składający się z trzech baterii (czyli liczący 12–18 wozów bojowych) dywi-

zjon pancyrów ma współpracować z pułkiem systemów obrony przeciwlotniczej S-300 lub S-400.

Każdy z wozów ogniowych może walczyć nie tylko w baterii, lecz także autonomicznie. W ten sposób działają pancry dostarczone przez ZEA siłom marszałka Khalify Haftara w Libii, a także te używane tam przez rosyjskich najemników z tzw. kompanii Wagnera. Ponadto w razie zniszczenia lub uszkodzenia wozu dowodzenia każdy z pojazdów bojowych może sterować ogniem kilku innych zestawów. Według zapewnień producenta, możliwe jest również kierowanie systemem z zewnątrz wozu, za pomocą przenośnych konsoli operatorskich, oraz wpięcie jednego pojazdu (lub całej baterii) w szerszy system dowodzenia obroną powietrzną na danym teatrze działań. Przejście z położenia marszowego do bojowe-



Arabska wersja pancyry wciąż jest najbardziej zaawansowana technologicznie z całej rodziny. Jako jedyna została też umieszczona na innym nośniku niż standardowe dla tej broni wozy typu Kamaz-6560 8x8 – wszystkie zestawy przeznaczone dla ZEA zamontowano na kupionym specjalnie w Niemczech podwoziu ciężarowym MAN SX45.



ARMATA 2A38M

Liczba luf	2
Długość	3478 mm
Masa broni	233 kg
Szybkostrzelność	2000 strz./min
Zasięg	4000 m
Pułap	3000 m
Zapasy amunicji	1400 pocisków

go ma zajmować załogę wozu maksymalnie do trzech minut, a po wejściu w reżim ogniowy pancyr S-1 może jednocześnie zwalczać do czterech celów. Deklarowany czas reakcji systemu od wykrycia i namierzenia celów do otwarcia ognia to 4–6 s, a w ciągu jednej minuty wóz jest w stanie ostrzelać do dziesięciu celów. Dotychczasowe doświadczenia ze stosowania pancyrów w warunkach bojowych (Donbas, Syria i Libia) nie potwierdzają jednak tych danych.

ZAPEWNIENIA NA WYROST

Rosjanie od lat twierdzą, że ich pancyre idealnie nadają się do obrony także przed relatywnie wolnymi i nisko latającymi bezzałogowcami. Jednak nawet pobieżna analiza ich użycia podczas realnych działań bojowych zdaje się zadawać kłopoty

UPADEK ZSRS I JELCYNOWSKA SMUTA SPRAWIŁY, ŻE PRACE NAD WYKOŃCZENIEM ZESTAWU PANCYR ZOSTAŁY ODŁOŻONE NA LEPSZE CZASY. TE NADESZŁY NIESPODZIEWANIE SZYBKO, KIEDY ROSYJSKIM PROJEKTEM ZAINTERESOWALI SIĘ SZEJKOWIE Z ABU ZABI

twierdzeniom. Począwszy od połowy 2019 roku, już kilkanaście zestawów zostało zniszczonych w Libii, głównie właśnie przez drony bojowe produkcji tureckiej, wykorzystywane przez siły Rządu Porozumienia Narodowego z Trypolisu. Tylko w maju 2020 roku wyeliminowano w ten sposób w Libii od ośmiu do dziesięciu pancyrów. Kilka innych zniszczono w Syrii. Spektakularne nagrania z kamer umieszczonych na dronach stały się wręcz hitami turecko- i arabskojęzycznego internetu.

Też, że te zestawy nie są skutecznym panaceum na zagrożenie ze strony bezzałogowych pojazdów latających, potwierdzają również nieco wcześniejsze rosyjskie doświadczenia z Syrii, gdzie kilka pancyrów stanowi wraz z zestawami Tor-M2U element systemu obrony przeciwlotniczej głównej bazy sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej w Humajmim.

Ta duża rosyjska instalacja militarna w Latakii była w latach 2016–2018 wielokrotnie atakowana przez drony chałupniczo produkowane przez islamskich ekstremistów z sąsiedniej prowincji Idlib. O ile zestawy typu Tor spisały się wówczas bardzo dobrze (osiągając nawet 80% skuteczności), o tyle pancyre S-1 wypadły wyjątkowo słabo (ich ogólna efektywność nie przekroczyła 20%). Jeśli sami Rosjanie uzyskali taki wynik, trudno oczekiwać lepszych efektów operacyjnych od dalece mniej doświadczonych i gorzej wyszkolonych załóg libijskich czy syryjskich. ■



KRZYSZTOF WILEWSKI

OCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC

Zastąpienie w amerykańskiej armii pocisków manewrujących Harpoon norweskimi rakietami Naval Strike Missile to coś więcej niż dowód na globalizację wyścigu zbrojeń. To symbol technologicznych przemian ostatnich dwóch dekad.

Amerykańscy oficerowie często podkreślają, że jednym z sekretów budowy nowoczesnej i skutecznej armii jest wyciąganie wniosków z historii oraz wojen toczonych przez innych. Doskonałym tego przykładem są pociski przeciwokrętowe Harpoon. Na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia dowództwo amerykańskiej marynarki wojennej (US Navy) zleciło opracowanie rakiet o zasięgu około 45 km, przeznaczonych do zwalczania wynurzonych okrętów podwodnych (głównie sowieckich). Marynarze najczęściej nazywali tego typu jednostki waleniami lub wielorybami, nic dziwnego więc, że inspiracją do nazwy nowych pocisków były harpuny.

OSTRZENIE BRONI

Uruchomiony w 1965 roku program badawczo-rozwojowy, w którego wyniku miały powstać nowe rakiety, bardzo

szybko został jednak gruntownie zmodyfikowany. Stało się tak po doświadczeniach z tzw. wojen na wyczerpanie, które Izrael toczył z państwami arabskimi w latach 1967–1970. 21 października 1967 roku egipskie kutry raketowe projektu 183R zatopiły izraelski niszczyciel „Ejlat”. Aby posłać go na dno, wystarczyły dwa radzieckie pociski przeciwokrętowe P-15 Termit. Po tym incydencie amerykańskie dowództwo stwierdziło, że harpiony powinny zwalczać nie tylko wynurzone okręty podwodne, lecz także jednostki nawodne. Wówczas zdecydowano również, że zostaną one przystosowane do tego, aby mogły być przenoszone przez samoloty.

Prototypowy pocisk, oznaczony jako ZAGM-84A, został zaprezentowany w 1970 roku. Rok później Pentagon podpisał z jego producentem – koncernem McDonnell Douglas – umowę na opracowanie wersji RGM-84A (przeznaczonej dla okrętów nawodnych) oraz UGM-84A (dla podwodnych). Po

POLSKA ARMIA WZBOGA- CIŁA SVOJE WYPOSAŻE- NIE O NAVAL STRIKE MISSILE ZNACZNIE WCZEŚNIEJ NIŻ US NAVY

trwających kilkanaście miesięcy testach wybrał je jako podstawowe pociski przeciwokrętowe (Anti-Surface Vessel – ASV) amerykańskiej armii i podpisał wieloletnią umowę na ich produkcję. Rakiety we wszystkich wersjach weszły do służby w 1977 roku.

Amerykańska armia włożyła dużo wysiłku w to, aby z harpoonów uczynić skuteczną broń – co kilka lat była ona ulepszana i unowocześniana. Powstało aż dziewięć kolejnych generacji pocisku, począwszy od Block 1B, aż po Block 2 (opracowany w 1998 roku), a jego kolejne modyfikacje oznaczono jako J i K (wprowadzone do służby w 2002 roku). W poszczególnych wersjach pocisków zmieniały się system naprowadzania na cel oraz sposób jego atakowania. Pierwszy model naprowadzany był przez radar, a przed celem wznosił się na wysokość 1800 m i opadał pod kątem około 30 stopni, uderzając w nadbudówkę okrętu. Kolejne rakiety mogły już uderzać w burty okrętów także bez konieczności używania radaru – albo leciały po zaprogramowanej wcześniej trasie i nie uruchamiały go wcale, albo mogły go używać jedynie przez chwilę, aby uniemożliwić wykrycie.

HARPUNY DO LAMUSA

W 2019 roku amerykańska armia rozpoczęła jednak proces wycofywania harpoonów ze służby. Zgodnie bowiem z podjętymi kilka lat temu decyzjami, mają je zastąpić pociski nowej generacji – Naval Strike Missile (NSM). Droga norweskich rakiet do służby w US Navy rozpoczęła się w 2014 roku, kiedy w ramach programu badawczo-rozwojowego nowego typu jednostek amerykańskiej floty okrętów przeznaczonych do działań przybrzeżnych dowództwo marynarki przeprowadziło bojowe strzelania raketami NSM z wyrzutni zainstalowanych na jednym z pierwszych LCS (Littoral Combat Ships) – USS „Coronado”. Zakończyły się one na tyle dobrymi wynikami, że zdecydowano o uzbrojeniu wszystkich LCS w norweskie pociski.

Oficjalnie nowe uzbrojenie trafiło do służby w październiku 2019 roku, po tym jak podczas odbywających się u wybrzeży wyspy Guam manewrów morskich „Pacific Griffin” USS „Gabrielle Giffords” trafił z tej rakiety w będący celem okręt – wycofaną ze służby fregatę USS „Ford” typu Oliver Hazard Perry.

Wycofywanie harpoonów to proces rozłożony na lata. Nie ma jeszcze NSM w wersji dla okrętów podwodnych (jest tylko ich morska odmiana oznaczona jako RGM-184A), a model dla samolotów (oznaczony jako AGM-158C LRASM – Long Range Anti-Ship Missile) dopiero przechodzi testy jako broń do F/A-18E/F Super Hornet używanych przez US Navy.

SYMBOLICZNE WYDARZENIE

Ekspertsi podkreślają, że zastąpienie amerykańskich rakiet norweską konstrukcją trzeba traktować jako pewnego rodzaju symbol. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych Norwegowie rozpoczynali prace badawczo-rozwojowe nad nowym pociskiem przeciwokrętowym, ich zaplecze technologiczne oraz know-how nie pozwalały na zbyt wiele. Potrzebowali więc pomocy technologicznej Amerykanów. Dostali ją w zamian za dostęp do NORSAR (Norwegian Seismic Array), czyli zaawansowanego systemu urządzeń śledzących nawet najmniejsze wstrząsy sejsmiczne, który pozwalał namierzyć właściwie każdą rosyjską próbę atomową. Efekt prac był jednak doskonały – powstał Penguin, pierwsza na świecie rakiet przeciwokrętowa naprowadzana na podczerwień, która okazała się na tyle dobra, że w 1994 roku partię jej najnowszego modelu kupiła US Navy i wprowadziła do służby jako AGM-119 Penguin. Podczas konstruowania NSM Norwegowie wykorzystali te doświadczenia, ale już nie potrzebowali pomocy Amerykanów. Z biorcy najnowszych rozwiązań technologicznych stali się ich dawcami. Co ciekawe, polska armia wzbogaciła swoje wyposażenie o NSM znacznie wcześniej niż US Navy. ■



Na nowym okręcie zostaną zainstalowane radar obrony powietrznej AN/SPY-6 firmy Raytheon przeznaczony dla niszczycieli rakietowych Arleigh Burke Flight III oraz używany na tych okrętach system walki Aegis. Dzięki podobnemu wyposażeniu szkolenie załóg będzie łatwiejsze.

Lekcja z przeszłości

Amerykańska marynarka wojenna potrzebuje małych okrętów bojowych. Dlatego w ciągu dekady w jej arsenale znów pojawią się fregaty rakietowe.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Po zakończeniu zimnej wojny Amerykanie zrezygnowali z fregat rakietowych i jednostki typu Oliver Hazard Perry zastąpili okrętami walki przybrzeżnej (Littoral Combat Ship – LCS), których głównym zadaniem miało być przeciwdziałanie zagrożeniom o charakterze asymetrycznym. Decyzja ta wynikała z przekonania, że Stany Zjednoczone nie mają już globalnych rywali mogących zagrozić im na morzu. Sytuacja międzynarodowa się zmieniła, gdy Chiny i Rosja zaczęły rozwijać floty wojenne, a jednocześnie relacje USA z tymi państwami się pogarszały. Amerykańscy decydenci uznali wówczas, że należy wyposażać marynarkę we fregaty, które będą miały większy potencjał bojowy niż LCS. Dlatego przed kilku laty ogłoszono program FFG(X), który miał na celu pozyskanie okrętów mogących zapewnić obronę jednostkom wsparcia floty i konwojom statków cywilnych.

Amerykańska marynarka wojenna (US Navy) w końcu zdecydowała się na konkretny projekt – fregatę wielozadaniową będącą wariantem jednostki FREMM (frégate européenne multi-mission), która powstała w wyniku współpracy dwóch koncernów stoczniowych – francuskiego Naval Group i włoskiego Fincantieri. Według asystenta sekretarza marynarki wojennej ds. badań, rozwoju i akwizycji Jamesa Geurtsa, pierwszy okręt będzie kosztował 1,281 mld dolarów. Kwota ta obejmuje również wartość dostarczonego przez amerykański rząd sprzętu, takiego jak radar czy system walki. Dlatego wartość

kontraktu ze stoczną Fincantieri Marinette Marine z Marinette w stanie Wisconsin na wykonanie prac projektowych i budowę pierwszej jednostki wynosi 795,1 mln dolarów.

WŁOSKA PROPOZYCJA

Ofertę na projekt zmodyfikowanej jednostki FREMM złożyli nie Francuzi, lecz Włosi, gdyż mają za oceanem własne stocznie. „Są one dostosowane do budowania małych nawodnych jednostek bojowych. Poza tym w Stanach Zjednoczonych mamy mocny, sprawdzony i niezawodny łańcuch dostaw”, oświadczył w 2018 roku Francesco Valente, prezes i dyrektor generalny Fincantieri Marine Group. W wypowiedzi nawiązał do tego, że Włosi w 2008 roku kupili stocznnię w Marinette, w której teraz są budowane jednostki LCS typu Freedom. Co więcej, na potrzeby programu budowy fregaty rakietowej dla US Navy utworzyli już grupę firm. Należąca do niej spółka Gibbs & Cox odpowiada na przykład za modyfikację kadłuba FREMM oraz systemów mechanicznych i elektrycznych okrętu. Z kolei firmie Trident Maritime Systems powierzono integrację systemów elektrycznych i napędowych.

US Navy potrzebuje okrętu wielozadaniowego, którego można użyć do zwalczania okrętów nawodnych i podwodnych, obrony powietrznej oraz walki elektronicznej. Projekt zaoferowany amerykańskiej marynarce powstał na bazie

US NAVY POTRZEBUJE OKRĘTU WIELOZADANIA- WEGO, KTÓREGO MOŻNA UŻYĆ DO ZWALCZANIA OKRĘTÓW NAWODNYCH I PODWODNYCH, OBRONY PO- WIETRZNEJ ORAZ WALKI ELEKTRO- NICZNEJ



W przypadku fregaty dla US Navy głównym uzbrojeniem artyleryjskim ma być armata Mk 110 kalibru 57 mm.

fregaty typu Carlo Bergamini w wersji zwalczania okrętów podwodnych (ZOP). Nowy okręt będzie jednak od niej trochę większy, bo jego długość wyniesie 151,2 m (włoski ma 144 m). W obu jednostkach przewidziano lądowisko i hangar dla dwóch śmigłowców. Obie fregaty mają też taką samą siłownię, czyli Combined Diesel-Electric and Gas Turbine (CODLAG). W tej konfiguracji silniki wysokoprężne wytwarzają prąd dla silników elektrycznych, żeby jednostka mogła osiągnąć prędkość marszową, a do uzyskania maksymalnej służy jedna lub więcej turbin gazowych. Amerykańska jednostka FREMM, podobnie jak włoska, będzie mogła rozwijać prędkość ponad 26 w., a przy 16 w. miała zasięg powyżej 6000 Mm.

Zmienione zostanie wyposażenie. W amerykańskiej wersji głównym uzbrojeniem artyleryjskim będzie armata Mk 110 kalibru 57 mm. Tymczasem włoski okręt ma dwie armaty OTO Melara kalibru 76 mm. Na Bergamini zainstalowano wyrzutnie Sylver z 16 celami oraz cztery wyrzutnie (2x2) z pociskami przeciwokrętowymi Otomat, a w nowym projekcie pojawiają się pionowe wyrzutnie pocisków rakietowych Mk 41 z 32 celami i 16 wyrzutni (4x4) z pociskami NSM firmy Kongsberg. Zaplanowano również zestaw obrony bezpośredniej RAM (Rocket, Artillery and Mortar) i wyrzutnie celów pozornych Mk 53 Nulka. Co więcej, w przyszłości US Navy planuje wyposażać fregaty w broń laserową.

Na nowym okręcie zostaną zainstalowane radar obrony powietrznej AN/SPY-6 firmy Raytheon przeznaczony dla niszczycieli rakietowych Arleigh Burke Flight III oraz używany na tych okrętach system walki Aegis. Ten wybór nie jest przypadkowy. Podobieństwo wyposażenia ma ułatwić szkolenie załóg i umożliwić późniejsze przenosiny żołnierzy na poszczególne typy jednostek. Taka decyzja wpływa również na ich cenę.

PROJEKT NA LATA

Włosi przekazają US Navy pierwszą fregatę w połowie 2026 roku (pełna gotowość operacyjna zostanie osiągnięta w 2032 roku), a trzy miesiące później prawdopodobnie dołączy do niej druga jednostka. Umowa z Włochami dotyczy budowy do dziesięciu fregat i jeśli tak się stanie, to prace potrwają do maja 2035 roku. Może się jednak okazać, że zamówienie zostanie rozszerzone, bo amerykańska marynarka wojenna chce mieć w sumie 20 okrętów tej klasy. Wynika to z prostej kalkulacji – o tyle jednostek, z 52 do 32, zostały zredukowane plany zakupów LCS. Co więcej, w przyszłości fregaty mają zastąpić wycofywane ze służby jednostki typu Freedom i Independence. Niemniej jednak US Navy może zdecydować się na innego dostawcę drugiej dziesiątki fregat. Wszak tak postąpiono w wypadku programu LCS, gdy zmówiono okręty według dwóch różnych projektów. ■

STRZAŁY Z RADOMIA

Wojsko Polskie otrzymało
na przestrzeni kilkudziesięciu lat cztery
typy pistoletów krajowej konstrukcji.

Najbardziej kultową konstrukcją radomskiej Fabryki Broni „Łucznik” jest opracowany w okresie międzywojennym Vis, którego używało wojsko II Rzeczypospolitej oraz Polskiego Państwa Podziemnego podczas II wojny światowej. Na kolejny

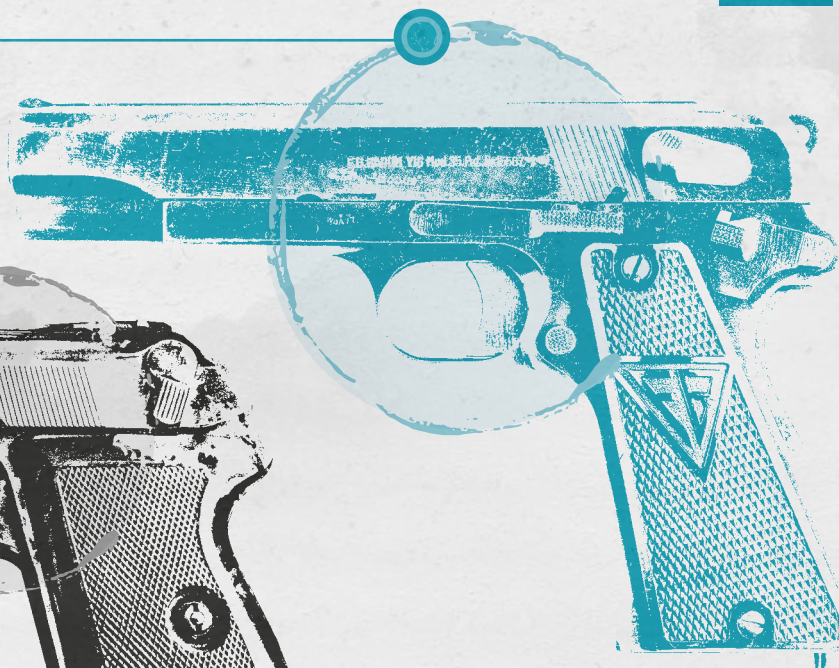
polski pistolet trzeba było długo czekać – jego produkcja rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych XX wieku. Najnowszym produktem radomskiej fabryki jest Vis 100, który właśnie wchodzi do wyposażenia żołnierzy. ■

Vis wz. 35

W 1930 roku powstał w Polsce prototyp pistoletu samopowtarzalnego, wzorowany na amerykańskiej broni Colt 1911. Jego produkcję uruchomiono w Radomiu w 1936 roku. Do wybuchu wojny powstało ponad 49 tys. visów.

- ❶ Masa – 1120 g (z magazynkiem załadowanym)
- ❷ Długość – 205 mm
- ❸ Wysokość – 140 mm
- ❹ Szerokość – 32 mm
- ❺ Długość lufy – 115 mm
- ❻ Długość linii celowania – 156 mm
- ❼ Nabój – 9x19 mm Parabellum
- ❽ Magazynek – 8-nabojowy

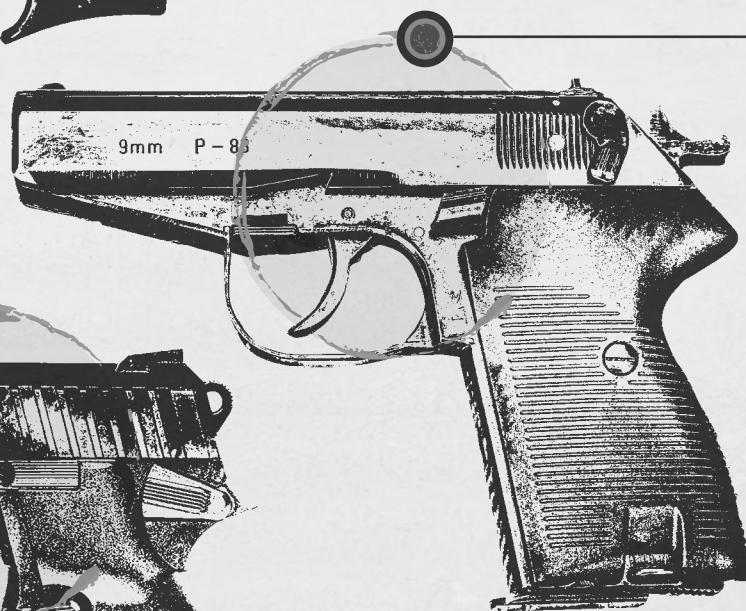
Pierwotnie nazwę międzywojennej konstrukcji zapisywano jako WIS, od nazwisk jej twórców Piotra Wilniewczyca i Jana Skrzypińskiego. Potem zamieniona została na Vis, od łacińskiego słowa siła.



P-64 CZAK

W 1958 roku rozpoczęły się w Polsce prace nad bronią, która miała zastąpić sowiecki pistolet TT. Spośród prototypów do produkcji wybrany został wariant CZAK model M (mili-cyjny), który nie sprawdzał się w wojsku. P-64 produkowano w latach 1965–1977.

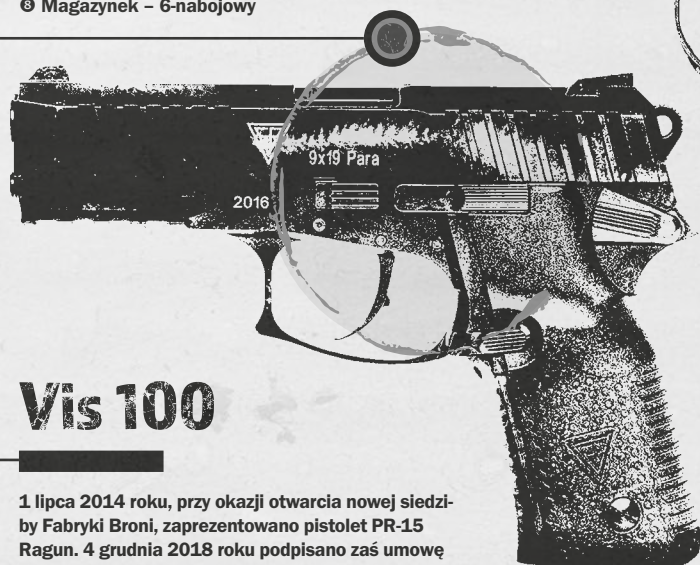
- ❶ Masa – 620 g (z magazynkiem niezaladowanym)
- ❷ Długość – 160 mm
- ❸ Wysokość – 117 mm
- ❹ Szerokość – 28 mm
- ❺ Długość lufy – 84,6 mm
- ❻ Długość linii celowania – 114 mm
- ❼ Nabój – 9x18 mm Makarow
- ❽ Magazynek – 6-nabojowy



P-83 WANAD

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku rozpoczęły się prace nad następcą CZAK-a. W nowej konstrukcji wyeliminowano jego główne wady, m.in. małą pojemność magazynka. Produkcję P-83 uruchomiono w Radomiu w 1984 roku i kontynuowano do końca XX wieku.

- ❶ Masa – 730 g (z magazynkiem niezaladowanym)
- ❷ Długość – 165 mm
- ❸ Wysokość – 125 mm
- ❹ Szerokość – 30 mm
- ❺ Długość lufy – 90 mm
- ❻ Długość linii celowania – 120 mm
- ❼ Nabój – 9x18 mm Makarow
- ❽ Magazynek – 8-nabojowy



Vis 100

1 lipca 2014 roku, przy okazji otwarcia nowej siedziby Fabryki Broni, zaprezentowano pistolet PR-15 Ragun. 4 grudnia 2018 roku podpisano zaś umowę na blisko 20 tys. egzemplarzy tej broni (pod nazwą Vis 100) dla WP, z dostawą w latach 2019–2020.

- ❶ Masa – 695 g (bez magazynka)
- ❷ Długość – 197 mm
- ❸ Wysokość – 136 mm (bez magazynka)
- ❹ Szerokość – 32 mm
- ❺ Długość lufy – 110 mm
- ❻ Długość linii celowania – 156 mm
- ❼ Nabój – 9x19 mm Parabellum
- ❽ Magazynek – 15-nabojowy.

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD

Narastająca aktywność tzw. Państwa Islamskiego jest związana z trwającą pandemią oraz wciąż bardzo niestabilną sytuacją w państwach Lewantu. Głównym powodem pozostaje jednak stopniowy odwrót sił koalicji, czego nie kryją sami terroryści.

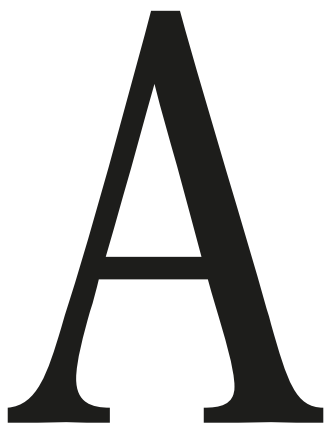
HYDRA LEWANTYŃSKA

W ostatnich miesiącach **bojownicy** **tzw. Państwa Islamskiego** zwiększyli swoją aktywność na Bliskim Wschodzie. Organizacja zmieniła jednak strategię, po kilku latach otwartej ekspansji wróciła do podziemia.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MOHAMMED SABER / PAP





Amerycanie w połowie czerwca 2020 roku ostatecznie podjęli decyzję o rozpoczęciu procesu wycofywania wojsk z Iraku. Wiadomość o porozumieniu, które jest bezpośrednim skutkiem głosowania przeprowadzonego przez lokalny parlament po śmierci Kasema Solejmaniego, podał premier Iraku Mustafa al-Kadhimi. Nie jest jednak znany harmonogram realizacji umowy ani nawet stopień redukcji sił koalicji. Oficjalnym powodem jest eliminacja zagrożenia ze strony tzw. Państwa Islamskiego.

Niespełna trzy miesiące wcześniej US Army przekazała irackiemu wojsku bazy, które są jednymi z najważniejszych pod względem strategicznym, w tym leżące na granicy z Syrią Al-Kaim. Przyczyną miała być redukcja personelu wynikająca z postępującej pandemii COVID-19, ale w kontekście podobnych ruchów w Syrii oraz Afganistanie nie trudno zauważyć, że jest to realizacja planu zmniejszenia zaangażowania w bliskowschodnie wojny.

ZWIĘKSZONA AKTYWNOŚĆ

Paradoksalnie może to doprowadzić do powtórki sytuacji z 2011 roku, kiedy koniec operacji „Iraqi Freedom” przyczynił się jednocześnie do rozkwitu jednej z najbardziej bezwzględnych organizacji terrorystycznych XXI wieku.

Tylko w kwietniu liczba ataków przeprowadzonych przez tzw. Państwo Islamskie dwukrotnie przewyższyła aktywność odnotowaną w pierwszym kwartale roku (113 w kwietniu, 49 w okresie styczeń–marzec). Ekstremiści obierają także coraz bardziej zuchwałe cele, takie jak siedziba wywiadu w Kirkuku. To właśnie muhafaza (prowincja) At-Tamim ze stolicą w Kirkuku oraz sąsiadująca z nią muhafaza Dijala stanowią obecnie centrum aktywności organizacji. Do ataków dochodzi niemal codziennie, przy czym są to dobrze zaplanowane, najczęściej nocne operacje. Równie źle sytuacja wygląda w muhafazie Niniwa, w tym w Mosulu. Według kurdyjskiego wywiadu podziemna siatka tzw. Państwa Islamskiego może sięgać tam nawet 10 tys. osób, w tym do 5 tys. bojowników. Lokalne służby przyznają, że bez

wsparcia Amerykanów nie są w stanie jej skutecznie rozpracowywać i likwidować. W sąsiedniej Syrii ekstremiści z dużą swobodą działają głównie na pustyniach Badia oraz Dżazira. Regiony te mają strategiczne znaczenie ze względu na występujące tam złoża ropy i gazu, jednak bardzo trudno je kontrolować. Problemem jest nie tylko pustynna topografia. Przebiega przez nie granica wpływów syryjskiego rządu oraz Syryjskich Sił Demokratycznych, co uniemożliwia koordynację operacji antyterrorystycznych. W serii ataków wymierzonych w siły Baszszara al-Asada tylko od kwietnia zginęło już kilkudziesięciu żołnierzy.

Narastająca aktywność tzw. Państwa Islamskiego jest związana z trwającą pandemią oraz wciąż bardzo niestabilną sytuacją w państwach Lewantu. Głównym powodem pozostaje jednak stopniowy odwrót sił koalicji, czego nie kryją sami terroryści. W ostatnich wydaniach „Al-Naba”, oficjalnego tygodnika tzw. Państwa Islamskiego, oprócz materiałów ukazujących COVID-19 jako boską karę wymierzoną w szyitów, komunistyczne Chiny oraz krzyżowców z Europy, wielokrotnie publikowano teksty, w których zauważono, że zmniejszone zaangażowanie Amerykanów daje organizacji pole do powrotu.

PRZEDWCZEŚNIE

OGŁOSZONE ZWYCIĘSTWO

W październiku 2019 roku, po zabiciu Abu Bakra al-Baghdadi, świat ogłosił zwycięstwo nad tzw. Państwem Islamskim. Samozwańczy kalif bez wątpienia stanowił pewien symbol, ale jego śmierć nie ma większego wpływu na dalsze działanie organizacji. Z podobnym ciosem musiała się mierzyć już dwukrotnie – w 2006 roku, kiedy w amerykańskim nalocie zginął Abu Musab al-Zarqawi, oraz w 2010 roku, gdy w połączonej operacji amerykańskich i irackich sił specjalnych zastrzelono Abu Omara al-Baghdadi. Za każdym razem bojownicy spod znaku Czarnych Flag (wcześniej Al-Kaidy w Iraku) po utracie przywódcy stawali się mocniejsi. Wynika to z rozbudowanych i zdecentralizowanych struktur oraz ideologii, która nad kultem jednostki stawia ideę. Nie bez znaczenia pozostaje także silne finansowanie, które

W połowie kwietnia niemiecka policja aresztowała czterech mężczyzn, którzy planowali atak na amerykańskie bazy wojskowe. Takich sytuacji będzie więcej.



HUSSEIN FALEH/EAST NEWS

Nierzadko terytoria odbite z rąk ekstremistów zajmują szyckie milicje Al-Haszd asz-Szabi, którym również przypisuje się porwania, morderstwa i kradzieże. Na zdjęciu wiwatujące siły paramilitarne podczas parady wojskowej. Basra, 14 czerwca 2020 roku

PO ZABICIU ABU BAKRA AL-BAGHDADIEGO, ŚWIAT OGŁOSIŁ ZWYCIĘSTWO NAD TZW. PAŃSTWEM ISLAMSKIM. JEGO ŚMIERĆ NIE MA JEDNAK WIĘKSZEGO WPŁYWU NA DZIAŁANIE ORGANIZACJI

obecnie nie dorównuje wprawdzie temu z okresu świetności (w latach 2014–2016 wpływy sięgały 1 mln dolarów dziennie), ale wciąż wystarczy do prowadzenia kolejnych operacji. Dzięki inwestycjom w bliskowschodni biznes przy równoczesnej działalności przestępczej organizacja może nie tylko walczyć, lecz także zachowywać zdolność do wypłacania pieniędzy wdowom i sierotom po poległych bojownikach.

Jednocześnie tzw. Państwo Islamskie wróciło do taktyki sprzed 2010 roku. Obecnie głównym celem nie są duże miasta, lecz słabo zaludnione obszary wiejskie. Wywieranie wpływu na sunnickie społeczności ułatwia sytuacja wewnętrzna Iraku, która stanowi niemal lustrzane odbicie tej sprzed 17 lat. W wyniku wojny zniszczono wiele sunnickich regionów, a ich mieszkańców wykluczono ze społeczeństwa. Część ludności ponownie patrzącej w stronę Czarnych Flag to szuka-

jący zemsty krewni zabitych bojowników. Główny powód takich zachowań jest tak samo prozaiczny jak niemal dwie dekady temu – brak środków do życia. Jednocześnie nierzadko terytoria odbite z rąk ekstremistów zajmują szyckie milicje Al-Haszd asz-Szabi, którym również przypisuje się porwania, morderstwa i kradzieże. Różnica polega na tym, że naturalnym celem tych struktur są właśnie sunnici.

Według waszyngtońskiego think tanku Center of Strategic and International Studies na terenie całego Lewantu może znajdować się od 20 do 25 tys. bojowników powiązanych z tzw. Państwem Islamskim. Do liczby tej należy dodać około 20 tys. bojowników działających z ramienia Al-Kaidy. Mimo że organizacje te oficjalnie pozostają w konflikcie, szybko może się to zmienić. Abu Bakr Al-Baghdadi w chwili śmierci przebywał w syryjskiej prowincji Idlib. Dokładniej, na



terytorium kontrolowanym przez Huras ad-Din, bojkówkę ściśle powiązaną z Al-Kaidą. Być może to schronienie było wynikiem kontaktów z przeszłości, ale nie można wykluczyć, że Baghdadi szukał sposobu na ponowne połączenie obu organizacji.

Jego śmierć nie przerwała także ciągłości funkcjonowania tzw. Państwa Islamskiego. Terrorysty niemal natychmiast ogłosili nowego lidera. Został nim Irakijczyk Abu Ibrahim al-Hashimi al-Qurashi, który w 2014 roku odegrał kluczową rolę w zdobyciu Mosulu. Był też odpowiedzialny za masakrę jazydów w Sindżarze. Choć Departament Stanów Zjednoczonych wyznaczył nagrodę 5 mln dolarów za pomoc w jego namierzeniu, al-Qurashi pozostaje nieuchwytny.

KUŹNIA EKSTREMISTÓW

W Iraku obecnie stacjonuje około 5,2 tys. amerykańskich żołnierzy, przy czym większość z nich służy w siłach specjalnych lub prowadzi programy treningowe. Kongres jednak od dłuższego czasu stawia pod znakiem zapytania potrzebę kontynuowania misji na taką skalę. Za tymi wątpliwościami stoją nie tylko kolejne ofiary (w marcu w wyniku ostrzału Camp Taji zginęło trzech żołnierzy koalicji, w tym dwóch Amerykanów, kolejnych 14 zostało rannych), ale także opinia Pentagonu, który twierdzi, że może realizować postawione zadania, dysponując połową tych sił. Zarazem pozostałe 29 państw koalicji, zastanawiając się m.in. pandemią, ograniczyło swoje zaangażowanie do 1,2 tys. żołnierzy.

Sami Irakijczycy wykazują się równie ambiwalentnym podejściem. Zabicie gen. Solejmaniego na początku roku wywołało gniew, który nie gaśnie do dziś. W czerwcu Muktada as-Sadr, wciąż jeden z najbardziej wpływowych przywódców szyickich w regionie, wezwał Amerykanów do zaprzestania agresywnych działań i szybkiego wycofania się z kraju. Z drugiej strony, iracki rząd nie uchwalił decyzji parlamentu o wycofaniu wojsk i przy gwarancji bezpieczeństwa jest skłonny do negocjacji.

Nie bez znaczenia pozostaje chęć Amerykanów do inwestycji w rozwój irackiego sektora energetycznego. Kraj ten jest na piątym miejscu, jeśli chodzi o wielkość rezerw ropy naftowej na świecie, ale zasoby prądu i gazu opiera na imporcie z Iranu. Waszyngton dąży do ograniczenia wpływów Teheranu w regionie, co ostatecznie może doprowadzić do otwartego konfliktu, którego znaczna część rozegra się na terytorium Iraku.



Z redukcją amerykańskich sił zmagają się także Kurdowie i Arabowie z północnej Syrii. Dowódcy Syryjskich Sił Demokratycznych mówią otwarcie, że bez wsparcia Waszyngtonu nie dadzą rady upilnować ponad 10 tys. ekstremistów znajdujących się w lokalnych więzieniach. To, jak poważna jest sytuacja, okazało się pod koniec marca, kiedy pod pretekstem zagrożenia pandemią terrorysty wszczęli bunt w więzieniu w Al-Hasace. Rewolta została szybko stłumiona, jednak sami strażnicy przyznają, że pracują w ekstremalnie trudnych warunkach. Pentagon obiecał zwiększenie wydatków na więzienia w Syrii z 10 do 20 mln dolarów rocznie, ale ze względu na pandemię rewizja miejsc mających otrzymać wsparcie może potrwać wiele miesięcy.

Wciąż nie znaleziono także rozwiązania kwestii obywateli państw Zachodu, którzy walczyli po stronie terrorystów. W syryjskich więzieniach przebywa około 2 tys. bojowników m.in. z Belgii, Wielkiej Brytanii, Francji oraz Niemiec, to jednak dopiero wierzchołek góry lodowej. Tylko w obozie Al-Hol mieszka ponad 66 tys. kobiet i dzieci, z czego większość to rodziny ekstremistów, także z Europy. Niektóre europejskie państwa



W Iraku stacjonuje około 5,2 tys. amerykańskich żołnierzy, z których większość służy w siłach specjalnych lub prowadzi programy treningowe. Na zdjęciu Camp Taji, w którym w wyniku ostrzału zginęło trzech żołnierzy koalicji, w tym dwóch Amerykanów, a 14 zostało rannych.

zdecydowały o odebraniu im obywatelstwa, co tylko pogłębia ich dramat. W zeszłym roku dziennikarze BBC dotarli do trójki rodzeństwa z Londynu, która po śmierci rodziców trafiła do jednego z syryjskich obozów. Bez szybkiego powrotu do kraju oraz profesjonalnej opieki setki podobnych dzieci stanowią idealnych kandydatów do zasilenia szeregów organizacji.

WSZYSCY JESTEŚMY BRAĆMI

Tymczasem w Europie przez cały czas tzw. Państwo Islamskie posiada aktywne komórki. W połowie kwietnia niemiecka policja aresztowała czterech mężczyzn, którzy planowali atak na amerykańskie bazy wojskowe. Takich sytuacji będzie więcej. Według danych Organizacji Narodów Zjednoczonych terroryści świetnie odnajdują się w chaosie wywołanym pandemią COVID-19. Do rekrutacji wykorzystują nie tylko większą niż zwykle aktywność młodzieży w internecie, lecz także narastający gniew wynikający z pogłębiającego się rozwarstwienia społecznego. Za przykład może posłużyć grafika, którą ekstremiści opublikowali jako wyraz poparcia dla protestów w Minneapolis. Przedstawia ona czterech uśmiechniętych bojowników o różnych kolorach skóry, których opatrzone hasłem „Wszyscy jesteśmy braćmi niezależnie od rasy. Nie ma znaczenia, czy jesteś białym, czarnym, brązowym czy zielonym muzułmaninem. Jesteśmy Państwem Islamskim”.




Fundacja

Fort III Pomiechówek

Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Fundacja Fort III Pomiechówek realizują projekt pod nazwą: „Zachowajmy w pamięci Fort III w Pomiechówku”. Fort III w Pomiechówku był w czasie II wojny światowej najstraszniejszą niemiecką katownią gestapo na Mazowszu.

Jeśli:

- posiadasz jakiegokolwiek informacje lub pamiątki dotyczące Fortu,
- ktoś z Twojej rodziny był więźniem Fortu lub posiadasz informacje o innych więźniach,
- chciałbyś odwiedzić Fort III, poznać jego historię i architekturę,
- chcesz sprawdzić kto był więźniem Fortu,
- chciałbyś dowiedzieć się więcej o bieżących wydarzeniach związanych z Fortem.

Skontaktuj się z nami:

- strona internetowa www.forttrzecipomiechówek.org,
- profil Fundacji na FB: <https://www.facebook.com/fundacjaforttrzecipomiechówek>
- mail: fundacja@forttrzecipomiechówek.org
- telefon: +48 22 828 08 94

Razem nie dopuścimy aby po więźniach Fortu zostały tylko napisy wyryte przez nich na ścianach celi śmierci.

Pomóżcie nam ocalić o nich pamięć.

Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Obrony Narodowej



PRÓBY ZARZĄDZANIA CHAOSEM

Wydarzenia ostatnich tygodni sprawiły, że układ sił w Libii zmienił się o 180 stopni. Wszystko za sprawą koronawirusa i intensywnych rozgrywek strategicznych.

TOMASZ OTŁOWSKI

Marszałek polny Chalifa Haftar już chyba stracił szansę na to, aby rok 2020 można było uznać za szczęśliwy dla jego sprawy. 18 maja, po wielotygodniowym oblężeniu przez siły wierne Rządowi Porozumienia Narodowego z Trypolisu, upadła baza lotnicza Al-Watija. Tego strategicznego punktu broniła dowodzona przez Haftara Libijska Armia Narodowa (LAN) podległa tzw. rządowi Izby Reprezentantów w Tobruku. Haftar wówczas utracił również cały obszar zachodniej Libii przy granicy z Tunezją. Później było już tylko gorzej: formacje podporządkowane rządowi w Trypolisie sukcesywnie zaczęły odbijać kolejne dzielnice południowych przedmieść stolicy kraju, w krwawym trudzie zdobywanych przez ludzi Haftara w poprzednich miesiącach. Na początku czerwca oddziały LAN ostatecznie wypchnięto poza stolicę, a także z kilku podstołecznych miasteczek.

WIRUS NA FRONCIE

Zaledwie rok temu wydawało się, że to właśnie Tobruk jest górami w wojnie domowej w Libii. Podległe Izbie Reprezentantów wojska zdołały na przełomie 2018 i 2019 roku zająć niemal całe pustynne południe kraju, a następnie wyprowadzić błyskawiczną ofensywę na Trypolis. Pod koniec 2019 roku front przebiegał już przez samą stolicę,

a wojska wierne rządowi w Tobruku znalazły się tylko kilka kilometrów od wybrzeża Morza Śródziemnego, gotowe do przecięcia Trypolisu na pół i zajęcia jego symbolicznego serca: historycznego starego miasta. Kiedy wydawało się, że upragniony przez Haftara cel wojny jest już niemal w jego zasięgu – dały o sobie znać... koronawirus i twarda geopolityka.

Epidemia COVID-19 uderzyła w tym kraju szczególnie boleśnie. Przyczynił się do tego chaos wynikający z trwającego już niemal dekadę wewnętrznego konfliktu w Libii oraz związanych z tym problemów z funkcjonowaniem podstawowych służb i instytucji dbających o zdrowie obywateli. Choć oficjalne statystyki dotyczące pandemii nie wyglądają tragicznie (głównie ze względu na znikomą skalę testowania osób podejrzanych o zakażenie), wiadomo, że od kwietnia zaraza gwałtownie się tam rozprzestrzeniła. Wirus przedostaje się do Libii głównie za sprawą rzeszy najemników ściąganych przez obie strony konfliktu.

Według części źródeł to właśnie żywiołowe szerzenie się choroby przyczyniło się do klęski LAN w zachodniej Libii. Epidemia miała też poważnie osłabić walczącą po stronie sił z Tobruku kompanię Wagnera, co ostatecznie doprowadziło do jej wycofania z pierwszej linii frontu. Po drugiej stronie walczących też nie jest pod tym względem lepiej – wśród ściąganych do walki w Trypolisie



Bojownicy wierni Rządowi Porozumienia Narodowego Libii wiwatują po wyparciu sił gen. Chalify Haftara z miasta Tarhouna. 5 czerwca 2020 roku

WOJNA W LIBII OD DAWNA JEST JUŻ KLASYCZNYM KON- FLIKTEM ZASTĘP- CZYM MOCARSTW I TO, W KTÓRĄ STRO- NĘ BĘDZIE ZMIERZA- ŁA, ZALEŻY WPROST OD SKALI ICH ZAA- GAŻOWANIA

najemników syryjskich około 20–25% przylatuje do Afryki z objawami choroby.

SŁONA ZAPŁATA

Konflikt ten od samego początku (czyli w istocie od chwili obalenia w 2011 roku dyktatury Muammara Kaddafiego) jest sterowany przez siły zewnętrzne, których przeciwstawne interesy podtrzymują chaos w tym kraju. Jest to zatem niemal identyczna sytuacja jak ta, którą można zaobserwować w Syrii i Jemenie.

Jako pierwsi, jeszcze pod koniec 2019 roku, do akcji wkroczyli Turcy. Ankara od kilku lat konsekwentnie intensyfikuje działania na rzecz stopniowej odbudowy wpływów w regionach związanych historycznie z dawnym imperium osmańskim. Jednym z ważniejszych obszarów, gdzie Turcy realizują tę strategię, jest Afryka Północna. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że wynika to tylko z historycznych resentymentów. W istocie jest to długofalowe planowanie, mające na celu przekształcenie tego kraju w regionalne mocarstwo, ze wszystkimi jego atrybutami: siłą militarną, mocną pozycją ekonomiczną oraz elementami typu soft power, czyli oddziaływaniem na kontrolowanym przez siebie terenie w wymiarze

kulturowo-cywilizacyjnym i duchowo-religijnym.

Nie powinno zatem dziwić, że Turcy upatrują w Libii szanse na zbudowanie strategicznego przyczółka. Interwencja turecka po stronie Rządu Porozumienia Narodowego rozpoczęła się już w listopadzie 2019 roku – najpierw odbyły się dostawy sprzętu, wyposażenia i amunicji oraz wysłano setki wojskowych do-

radców i instruktorów. Wraz z nimi do Trypolisu trafiło też zaawansowane uzbrojenie, głównie drony latające, transportery opancerzone, środki walki przeciwpancernej, przeciwlotniczej i radioelektronicznej. W kontekście dalszego rozwoju sytuacji w tej wojnie przełomowe okazało się jednak zwerbowanie przez Turków tysięcy najemników z Syrii i skierowanie ich do walk w Trypolisie.

Ci „ochotnicy” to bojownicy protureckiej Wolnej Armii Syrii z okupowanych przez Turcję prowincji Idlib i Aleppo w północnej Syrii. W czerwcu 2020 roku szacowano, że po stronie rządu z Trypolisu działało nawet do 10 tys. Syryjczyków, którzy w istocie przejęli główny ciężar walk z siłami LAN. To właśnie oni – mając wsparcie tureckich dronów – zatrzymali postępy formacji marszałka Haftara w Trypolisie, a następnie odepchnęli jego wojska od stolicy. Turecki plan pod względem



militarnym okazał się genialny, Ankara słono jednak za ten sukces zapłaciła. Nie tylko w sensie finansowym – choć każdy z syryjskich bojowników walczących w Libii dostaje obietnicę tureckiego paszportu oraz comiesięczny żołd w wysokości około 2 tys. dolarów, a kiedy polegnie, jego rodzina otrzymuje jako odszkodowanie blisko 50 tys. dolarów. Znacznie bardziej bolesne dla Turcji mogą się jednak okazać koszty polityczne i wizerunkowe, wynikające z tak jawnego i zakrojonego na dużą skalę poparcia dla rządu w Trypolisie. Tu chodzi już nie tylko o skłócenie się Turków ze wszystkimi dotychczasowymi sojusznikami i partnerami z regionu oraz kryzys zaufania między nimi, ale też coraz większe tarcia w relacjach Ankary z nowymi przyjaciółmi, zwłaszcza z Moskwą.

Radykalne i bezkompromisowe działania Turcji wobec Libii sprawiły, że Rosjanie – dotychczas działający w tym kraju dyskretnie i nieoficjalnie, m.in. za pomocą tradycyjnych narzędzi hybrydowych, zaczynają pomagać rządowi w Tobruku i armii Haftara już coraz bardziej otwarcie. Po klęsce poniesionej przez LAN w maju 2020 roku wspierający ją wagnerowcy zostali wycofani z frontu, przegrupowani i najpewniej wzmocnieni ciężkim sprzętem. Do Libii trafiły również nieoznakowane samoloty bojowe z Rosji (sześć MiG-29 i dwa Su-24). Maszyny te stacjonują w bazie Al-Dżufra, która już wkrótce może stać się libijskim odpowiednikiem rosyjskiej instalacji w Humajmim w Syrii. Nie można wykluczyć, że kolejnym krokiem Rosjan będzie próba budowy w Libii systemu izolowania pola walki A2/AD (Anti-Access/Area Denial). Taki scenariusz rodziłby bardzo poważne wyzwania dla bezpieczeństwa militarnego całej południowej flanki NATO i UE.

Moskwa sięga po takie same środki jak Ankara i werbuje do walki po stronie tzw. rządu Izby Reprezentantów najemników z Syrii. Chodzi o członków paramilitarnych sunnickich formacji islamskich, o dziwo walczących po stronie reżimu z Damaszku. Do tej pory Rosja miała wysłać do Libii około 600 Syryjczyków, głównie z prowincji Homs. Jak sarkastycznie skomentował tę skomplikowaną rzeczywistość jeden z regionalnych ekspertów: „dla wielu syryjskich umiarkowanych islamistów droga do Jerozolimy najwyraźniej wiedzie albo przez Ankarę, albo przez Moskwę – a wszyscy i tak spotkają się w Libii, choć po różnych stronach frontu”.

NOWI STARZY GRACZE

Szybko zmieniająca się sytuacja w Libii sprawia, że nasila się także zaangażowanie innych państw w ten konflikt. Na początku czerwca 2020 roku Egipt zintensyfikował działania mające na celu powołanie nieformalnego sojuszu antytur-



Marszałek polny Chalifa Haftara nie ma powodów do zadowolenia. Jeszcze rok temu był w ofensywie, teraz jego zwolennicy muszą wycofywać się pod naporem bojowników wiernych rządowi w Trypolisie.

kiego. Pierwsze plany pojawiły się pod koniec 2019 roku, kiedy Turcja i rząd w Trypolisie podpisały – kuriozalną z prawnomiędzynarodowego punktu widzenia – umowę o delimitacji „wspólnych granic morskich” na Morzu Śródziemnym, przyznającą Ankarze prawo do eksploracji podmorskich złóż surowców energetycznych na południe od Krety. Nic zatem dziwnego, że zainteresowanie udziałem w egipskiej inicjatywie wyraziły już nie tylko Grecja i Cypr – tradycyjni oponenci Turcji w regionie – ale także Francja oraz Zjednoczone

Emiraty Arabskie, czyli główny sponsor rządu w Tobruku. Sojusz ten z pewnością cieszy się także poparciem Arabii Saudyjskiej, również tradycyjnego geopolitycznego rywala Turcji na Bliskim Wschodzie. Rijad w kontekście konfliktu w Libii jest niemal niewidoczny, ale tajemniczą poliszynełą jest finansowe wsparcie dla armii marszałka Haftara.

NIEPOKOJĄCA PRZYSZŁOŚĆ

Bez względu na to, jakie będą ostateczne efekty ofensywy sił Rządu Porozumienia Narodowego w zachodniej Libii i jak niszcząca dla obu stron konfliktu okaże się epidemia koronawirusa, wojna w tym kraju z pewnością nie zakończy się szybko. Dynamika konfliktu wyklucza także jakiegokolwiek realne szanse na powodzenie rokowań pokojowych i działań dyplomatycznych. Co więcej, ze względu na stawkę konfliktu i uwarunkowania geopolityczne należy oczekiwać dalszej eskalacji. Dotyczy to obu stron: siły rządu trypolitańskiego będą dążyć do wykorzystania dogodnego momentu strategicznego wywołanego majowo-czerwcową klęską LAN i zwiększenia zdobyczy terytorialnych, z kolei armia Haftara – do odbicia choćby części utraconych regionów w zachodniej Libii. Możliwości operacyjne obu stron ogranicza jednak, po pierwsze, skala epidemii COVID-19, po drugie zaś – zakres pomocy materiałowej i finansowej od zagranicznych sponsorów i patronów.

Wojna w Libii od dawna jest już klasycznym konfliktem zastępczym mocarstw i to, w którą stronę będzie zmierzała, zależy wprost od skali ich zaangażowania. A ono nie może przekroczyć subtelnej granicy, za którą jest już formalny i otwarty konflikt pomiędzy tymi krajami. Najbliższe tygodnie pokażą więc, jakiej odpowiedzi na postawę Turcji udzieli sojusznicy rządu w Tobruku. Kluczowe będzie tu zarówno działanie Rosji, jak też Stanów Zjednoczonych (dotychczas przyjmujących rolę biernego obserwatora i komentatora wydarzeń w Libii) oraz kluczowych graczy europejskich – Francji (wspierającej Tobruk) i Włoch (aktywnych po stronie Trypolisu). To wypadkowa działań tych państw zadecyduje o przyszłości milionów Libijczyków.

Wielowymiarowa ekspansja

Nigeria stała się dla Chin poligonem doświadczalnym, na którym testują metody przydatne do tego, aby odnieść sukces w innych, mniej im przychylnych państwach regionu.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Prawie cała Afryka jest obszarem intensywnej ekspansji Chin, ale najważniejszym partnerem tego kraju na kontynencie pozostaje Nigeria. Relacje między oboma państwami jednak nie zawsze były przyjazne. W latach 1967–1970 Pekin wspierał secesjonistów z regionu Biafra, podczas gdy Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zgodnie stanęli po stronie federalnego rządu. Po zakończeniu wojny domowej Nigeria i Chiny nawiązały stosunki dyplomatyczne. Obecne bliskie relacje są zaś efektem ustanowionego w 2005 roku partnerstwa strategicznego.

ROPA NA WAGĘ ZŁOTA

Jednym z powodów chińskiej aktywności w Nigerii są zasoby ropy naftowej. W sierpniu 2019 roku państwowy koncern Nigerian National Petroleum Corporation (NNPC) poinformował, że chińskie inwestycje w tamtejszym sektorze naftowym sięgnęły już 16 mld dolarów.

Nigeria nie ma nic przeciwko takiej ekspansji, ponieważ ropa naftowa jest główną siłą napędową jej gospodarki. Stanowi ponad 75% eksportu (wraz z uzyskiwanym z niej gazem przekracza 90%), a przychody z sektora naftowego pokrywają do 75% budżetu federalnego. Dlatego Nigeryjczycy bardzo odczuwają wahania na rynku ropy. W tym roku władze w Abudży musiały dokonać rewizji budżetu, bo założono, że cena rynkowa wyniesie 57 dolarów za baryłkę, co okazało się nierealne. Jej obniżka wraz ze zmniejszeniem dziennego wydobycia spowoduje spadek dochodów ze sprzeda-

ży ropy o ponad 80%. Tymczasem przed pandemią Nigeria zamierzała zwiększyć do 2023 roku wydobycie tego surowca do 3 mln baryłek dziennie, co byłoby niemożliwe bez wsparcia chociażby China National Offshore Oil Corporation, największego chińskiego inwestora w tym kraju.

Co ciekawe, według danych za 2019 rok, Nigerii nie było w gronie 15 największych dostawców ropy naftowej do Chin. Ich celem jest bowiem zapewnienie sobie dostępu do jej złóż w przyszłości, a nie bieżący import. Teraz ze względu na koszty transportu wolą sprowadzać ropę z Rosji i Bliskiego Wschodu, bo sprzedają ją do takich państw, jak Indie, Hiszpania, Holandia czy Francja.

Chińczycy uczestniczą też w projektach związanych z przetwarzaniem ropy, bo Nigeria, chociaż jest wielkim eksporterem tego surowca, to jednocześnie musi sprowadzać benzynę z zagranicy. W 2019 roku przetworzona ropa była głównym importowanym towarem, na który wydano ponad 7 mld dolarów. Dlatego w maju 2010 roku NNPC podpisała umowę z China State Construction Engineering Corporation (CSCEC) o wartości 23 mld dolarów na budowę trzech rafinerii, które mogłyby przetwarzać 750 tys. baryłek ropy dziennie.

STRATEGICZNE PODEJŚCIE

Aktywność Chin w Nigerii nie ogranicza się jednak do sektora naftowego. Chińczycy są skłonni angażować się w wielkie projekty infrastrukturalne, na które rząd w Abudży nie ma pieniędzy. Dobrym tego przykładem jest kolej.



AFRYKAŃSKIE CHINY



Nigeria jest teraz najludniejszym krajem Afryki. Z populacją 200 mln mieszkańców zajmuje siódme miejsce na świecie. Jeśli ta tendencja demograficzna się utrzyma, za 30 lat w tym kraju będzie żyło więcej ludzi niż w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec obecnego stulecia może on mieć trzecią co do wielkości populację na świecie, po Chinach i Indiach. Według szacunków Organizacji Narodów Zjednoczonych Nigeria będzie wówczas liczyła 733 mln mieszkańców. Nie zatem dziwnego, że Sam Hill w artykule opublikowanym w magazynie „Newsweek” użył wobec tego państwa określenia „Czarne Chiny”. ■

W kraju o powierzchni 924 tys. km² jest tylko około 4 tys. km linii kolejowych (3,5 tys. km to szlaki wąskotorowe) łączących ośrodki z północy z portami w Lagos i Port Harcourt. Na dodatek są one w opłakanym stanie.

Pierwszym efektem rozpoczętej we współpracy z Chińczykami rewitalizacji kolei jest oddana do użytku w lipcu 2016 roku linia między Abudżą a miastem Kaduna na północy kraju. W marcu 2017 roku rozpoczęto modernizację trasy między Lagos a Ibadanem, trzecim co do wielkości miastem w Nigerii. Jest ona częścią linii ciągnącej się do Kano, której remont powierzono firmie China Civil Engineering Construction Corporation (CCECC).

W planach jest rozbudowa transportu szynowego. 1 lipca 2016 roku minister transportu Chibuike Rotimi Amaechi podpisał z CCECC protokół ustaleń w sprawie budowy 1400-kilometrowej nadbrzeżnej linii kolejowej łączącej Lagos z Calabar, miejscowością w pobliżu granicy z Kamerunem. Wartość inwestycji oszacowano na 12 mld dolarów. Byłaby to pierwsza duża linia kolejowa łącząca wschód i zachód kraju. Rząd federalny podpisał też umowę z China Railway Construction Corp International (CRCCI) na budowę odcinka łączącego Ajaokuta i Itakpe.

Chiński biznes jest też aktywny w takich dziedzinach, jak hydroenergetyka i energetyka gazowa. W październiku 2017 roku nigeryjski rząd ogłosił, że przyznał konsorcjum stworzonemu przez chińskie państwowe firmy budowlane kontrakt na budowę największej w kraju hydroelektrowni Mambila, która będzie miała moc 3050 MW. To było drugie podejście do tego projektu, bo w 2007 roku została zawarta umowa z dwoma chińskimi firmami dotycząca hydroelektrowni o mocy 2600 MW, ale nie została zrealizowana.

Chińczycy włączyli się też w takie projekty, jak budowa zbiorników wodnych oraz sieci telefonii stacjonarnej i komórkowej. Kluczem do powierzenia realizacji projektów infrastrukturalnych chińskim firmom są zarówno pieniądze stanowiące ich własny wkład, jak i kredyty na bardzo dogodnych warunkach (oprocentowania nawet trzy razy niższe niż na rynku komercyjnym). Te ostatnie zapewnia głównie Eksport-Import Bank of China (Exim Bank). Na przykład koszt budowy hydroelektrowni Mambili wyliczono na 5,8 mld dolarów. Exim Bank wyłożył 85% tej kwoty, a resztę funduszy zapewni rząd w Abudży. Konsekwencje są takie, że bank ten jest największym indywidualnym zagranicznym wierzycielem Nigerii. Inwestycje budowane na kredyt wiążą się z ryzykiem, że jeśli Nigeryjczycy nie będą w stanie oddać pożyczek, to Chiny je przejmą.



GEORGE OSODI / AP / EAST NEWS

Dlaczego Pekin tak intensywnie zwiększa swoją obecność w tym afrykańskim kraju? Nigeria z ponad 200 mln mieszkańców to wielki rynek zbytu dla chińskich towarów. W 2018 roku wartość bilateralnej wymiany handlowej wyniosła 15,3 mld dolarów i była o prawie 11% większa niż przed rokiem. Większość powyższych kwot przynosi import, toteż ten bilans jest niekorzystny dla Abudży. Pojawiają się głosy, że zalew rynku chińskimi towarami niszczy rodzimą produkcję i przeszkadza w dywersyfikacji gospodarki.

POLITYCZNE KORZYŚCI

Nigeria jest też dla Chin dobrym klientem w przypadku handlu bronią. Dużą dostawę od

Nigeryjscy biznesmeni alarmują, że zalew rynku chińskimi towarami niszczy rodzimą produkcję i przeszkadza w dywersyfikacji gospodarki.



JEDNYM Z POWODÓW CHIŃSKIEJ AKTYWNOŚCI W NIGERII SĄ ZASOBY ROPY NAFTOWEJ. KRAJ TEN NALEŻY DO GRONA NAJWIĘKSZYCH JEJ PRODUCENTÓW I EKSPORTERÓW

firmy China North Industries Corporation (NORINCO) wyładowano 8 kwietnia 2020 roku ze statku „Kota Bistari” w kompleksie portowym Apapa. Była to pierwsza transza kontraktu o wartości 152 mln dolarów, który został podpisany w 2019 roku. W tym transporcie wśród 17 pojazdów znalazły się czołgi trzeciej generacji VT-4, kołowe niszczyciele czołgów ST-1 uzbrojone w armatę kalibru 105 mm, które mogą być używane jako wozy bezpośredniego wsparcia ogniowego. Szef departamentu polityki i planowania nigeryjskiej armii gen. por. Lamidi Adeosun podał, że kontrakt obejmuje dwa typy uzbrojenia artyleryjskiego. Jednym z nich jest samobieżna haubica SH-5 kalibru 105 mm na podwoziu sześciokołowym. Największy jak dotąd kontrakt nigeryjsko-chiński na dostawy broni dotyczył jednak samolotów myśliwskich F-7M – 12 bojowych F-7NI i trzech

szkolno-bojowych FT-7NI – za około 250 mln dolarów. Nigeryjczycy kupili również kilka uzbrojonych bezzałogowych statków powietrznych Czang Hong CH-3.

Dlaczego Nigeryjczycy tak chętnie kupują chińską broń? Otóż Pekin oferuje państwom, które są dla niego ważne strategicznie, atrakcyjne warunki transakcji – podobnie jak w inwestycjach w infrastrukturę – niższe ceny i preferencyjne kredyty. Co więcej, wykazuje też elastyczność co do metod płatności, akceptując rozliczenia barterowe lub koncesje wydobywcze.

Wielopłaszczyznowa współpraca przynosi obu stronom korzyści polityczne. Abudża na przykład wspiera na arenie międzynarodowej stanowisko Pekinu dotyczące przynależności Tajwanu do Chin. Te z kolei popierają Nigerię w zabiegach

o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych jako przedstawiciela Afryki. Niemniej jednak pomimo bliskich relacji z Chinami kraj ten nie jest ich satelitą i utrzymuje dobre relacje z Zachodem. Jeżeli chodzi o strategiczne zakupy, nie ogranicza się też wyłącznie do oferty chińskiej, dla wojska kupił m.in. polskie beryle czy czeskie czołgi T-72.

SPOŁECZNY POLIGON DOŚWIADCZALNY

Umacnianiu pozycji Pekinu w Nigerii służą też rozmaite projekty edukacyjne i kulturalne. Nie bez znaczenia jest to, że nigeryjskie media kreują pozytywny wizerunek Państwa Środka. Do tego celu zostanie z pewnością wykorzystane również wsparcie udzielone Nigerii w walce z koronawirusem. Niemniej jednak przy okazji pandemii wróciła kwestia złego traktowania mieszkańców w Chinach Nigeryjczyków. Już wcześniej pojawiały się bowiem zarzuty o rasistowskie zachowania wobec obywateli afrykańskiego państwa. Mimo to przytłaczająca większość mieszkańców Nigerii (według badań sprzed kilku lat 85%) jest nastawiona prochińsko. Eksperci uważają, że kraj ten stał się dla Pekinu poligonem doświadczalnym w sferze społecznej. Sprawdzone tam metody w przyszłości mogą być wykorzystane w państwach Afryki, takich jak Etiopia, których mieszkańcy nie są tak entuzjastycznie nastawieni do Chin. ■



Siły szybkiego rażenia

KRZYSZTOF WILEWSKI

Do 2030 roku w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych nastąpi rewolucja. Siły przeznaczone do prowadzenia niemal każdego rodzaju operacji militarnych zostaną przekształcone w lekką formację na potrzeby wielodomenowych działań w Azji i na Pacyfiku.

Kiedy amerykański Kongres w ogniu wojny o niepodległość podejmował decyzję o utworzeniu nowej formacji wojskowej, precyzyjnie nakreślił jej zadania. Piechota morska miała służyć przede wszystkim do obrony okrętów wojennych w czasie abordażu oraz do działań bojowych na wybrzeżach. Szybko okazało się jednak, że nowa formacja doskonale nadaje się do roli pierwszorzutowego wojska, idealnego do użycia wszędzie tam, gdzie Stany Zjednoczone postanowiły zaangażować się militarnie.

W PIERWSZEJ LINII

To oni jako pierwsi Amerykańscy żołnierze poszli na front w czasie I wojny światowej. Podczas kolejnego globalnego konfliktu Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych (US Marine Corps – USMC) razem z marynarką wojenną (US Navy) oraz siłami powietrznymi (US Air Force) toczył na Pacyfiku walki z Japończykami. To była krwawa danina poświęcenia i odwagi. Z 600 tys. walczących w II wojnie światowej marines zginęło prawie 20 tys., a rannych zo-

stało niemal 70 tys. Potem były wojny koreańska i wietnamska, operacje w Grenadzie i Panamie, przeprowadzone właściwie wyłącznie ich siłami, następnie wojny w rejonie Zatoki Perskiej, operacje w Iraku i Afganistanie.

To, że od czasów II wojny światowej Korpus Piechoty Morskiej był traktowany jak siły szybkiego reagowania, porównywalne pod względem zdolności operacyjnych z wojskami lądowymi (US Army), znalazło odzwierciedlenie w ich strukturze, wyposażeniu i uzbrojeniu. Teraz ten rodzaj sił zbrojnych ma do dyspozycji własne lotnictwo – bojowe i transportowe (śmigłowcowe i samolotowe), a także jednostki pancerne, zmechanizowane, artyleryjskie, inżynierskie, logistyczne i medyczne. Jednym słowem, osiągnął pełną, interoperacyjną niezależność od wojsk lądowych i sił powietrznych.

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Wkrótce to się jednak zmieni. „Powstał już projekt modernizacji struktur US Marine Corps uwzględniający nowe technologie, tak aby do 2030 roku Korpus od-

powiadał na potrzeby narodowe”, twierdzi mjr Joshua Benson, rzecznik Marine Corps Combat Development Command. W najbliższej dekadzie piechotę morską czeka prawdziwa rewolucja doktrynalno-sprzętowa. Z rodzaju sił zbrojnych, będącego w stanie działać właściwie samodzielnie i w każdym zakątku globu, mają stać się lekką formacją przeznaczoną głównie do działań na Pacyfiku i w Azji, z nastawieniem na operacje prowadzone na wodach przybrzeżnych.

Najważniejszą strukturą operacyjną Korpusu są jednostki ekspedycyjne Marine Expeditionary Force (MEF, czyli odpowiednik dywizji, która w maksymalnym rozwinięciu może liczyć 90 tys. żołnierzy). Dowództwo ma do dyspozycji trzy takie formacje: I MEF z Camp Pendleton w Kalifornii, II MEF z Camp Lejeune w Północnej Karolinie oraz III MEF z Camp Courtney na japońskiej Okinawie. Teoretycznie jest jeszcze Marine Force Reserve z Nowego Orleanu, ale jej wyekspediowanie byłoby mocno utrudnione, ponieważ ma ona bardzo okrojone struktury w porównaniu do pozostałych MEF. Na bazie tych jednostek

PIERWSZE KROKI



Decyzję o utworzeniu nowej formacji wojskowej – Continental Marines – Kongres Konfederacji, w którym zasiadali ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych, podjął 10 listopada 1775 roku. Piechota morska swój chrzest bojowy przeszła w marcu 1776 roku, kiedy 220 żołnierzy tej formacji pod dowództwem kpt. Samuela Nicholasa (na zdjęciu) dokonało desantu na kon-



trolowaną przez Brytyjczyków wyspę New Providence na Bahamach i zdobyło leżące na niej miasto Nassau. W kwietniu 1783 roku Continental Marines zostali rozwiązani, a ich miejsce w lipcu 1798 roku zajął Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych (United States Marine Corps). Jego pierwszą operacją zamorską był desant w Trypolisie. W marcu 1805 roku kilkudziesięciu

żołnierzy dowodzonych przez por. Presleya O'Bannona wylądowało 50 km od miasta Darna (leżącego na terenie dzisiejszej Libii) i zdobyło je po wyczerpującym marszu przez pustynię. Za bohaterstwo porucznik otrzymał od Hameta Karamanli, walczącego o tron Sułtanatu Trypolisu, jego osobistą szablę. Na jego cześć od 1825 roku każdy żołnierz US Marine Corps otrzymuje mamelukową szablę, gdy zostaje mianowany na oficera. ■

można tworzyć powietrzno-lądowe zespoły zadaniowe Marine Air-Ground Task Force (MAGTF).

Program reformy Korpusu Piechoty Morskiej zakłada kompleksowe i bardzo głębokie odchudzanie wszystkich MEF, nie wyłączając struktur rezerw. „Do 2030 roku Korpus zlikwiduje wszystkie bataliony policji wojskowej, czołgów i powiązane z nimi jednostki wsparcia oraz mostowe. Zredukuje też liczbę batalionów piechoty z 24 do 21, artylerii lufowej z 21 do pięciu, kompanii amfibii z sześciu do czterech”, zapowiada gen. David H. Berger, dowódca US Marine Corps.

Oprócz wojsk pancernych, które zupełnie znikną ze struktur Korpusu, oraz jednostek zmechanizowanych i artylerii lufowej, reforma najbardziej dotknie lotnictwo samolotowe i śmigłowcowe. Choć nie zmieni się liczba tzw. eskadr operacyjnych, czyli Primary Aircraft Authorized (PAA), przezbrajanych teraz w samoloty F-35B Lightning II i F-35C Lightning II, to każda będzie miała dziesięć samolotów zamiast 16. Zlikwidowane zostaną trzy (z 17) eskadry przemiennopłatów MV-22B Osprey, dwie (z siedmiu) śmigłowców AH-1Z Viper i UH-1Y Venom oraz trzy ciężkich śmigłowców transportowych. Wszystko to, w połączeniu z decyzją o zmianie etatów batalionów piechoty z 850 żołnierzy na 720, sprawi, że siły US Marines Corps skurczą się z 182 tys. do około 170 tys. żołnierzy.

EKSPERCI NIE MAJĄ WĄTPLIWOŚCI CO DO TEGO, JAKI JEST POWÓD GŁĘBOKIEJ REFORMY JEDNEGO Z NAJSILNIEJSZYCH RODZAJÓW AMERYKAŃSKICH WOJSK

Jak podkreślają przedstawiciele amerykańskiej armii, program modernizacji piechoty morskiej to nie tylko redukcja, lecz przede wszystkim nakłady na zbudowanie nowych struktur i wyposażenie. „Korpus będzie inwestował w zwiększenie liczby systemów precyzyjnego rażenia dalekiego zasięgu, zaawansowane zdolności rozpoznawcze, systemy bezzałogowe i sieci łączności”, zapowiada mjr Joshua Benson.

Według deklaracji dowództwa US Marines w najbliższym czasie mają powstać trzy (po jednym dla każdego MEF) Marine Littoral Regiment (MLR), czyli pułki przybrzeżne, które mają pełnić rolę pierwszorzutowych sił szybkiego reagowania na Pacyfiku. W zadaniach mają wspierać je trzy nowe zadaniowe grupy bojowe – Marine Expeditionary Units (MEU), czyli morskie jednostki ekspedycyjne (teraz

jest ich siedem), które powstaną na bazie nowo utworzonych 14 baterii artylerii raketowej (w miejsce likwidowanych baterii artylerii lufowej), trzech eskadr bezzałogowców (są już trzy) oraz jednej eskadry (oprócz trzech istniejących) samolotów transportowych C-130 Hercules.

NAJWAŻNIEJSZE WYZWANIE

Ekspertci nie mają wątpliwości co do tego, jaki jest powód decyzji Pentagonu, który zarządził głęboką reformę jednego z najsilniejszych rodzajów amerykańskich wojsk. To coraz większa aktywność polityczno-wojskowa Chin na Pacyfiku. Rozbudowa floty wojennej, w tym lotniskowców i okrętów desantowych, rozwijanie struktur piechoty morskiej, inwestycje w lotnictwo, szczególnie myśliwskie – te wszystkie działania mają jeden cel: przygotowanie się do potencjalnego konfliktu wojskowego między Chinami a Stanami Zjednoczonymi.

Zreformowani US Marine Corps są pomysłem na jego powstrzymanie. Lekkie, zdolne do błyskawicznego przetrzutu siły mają sprawić, by Pekin musiał się liczyć z tym, że USA będą w stanie stawić militarny opór w każdym zakątku Pacyfiku w ciągu kilku godzin. Czas pokaże, czy był to dobry pomysł na powstrzymanie ambicji Chin, aby stać się pacyficznym supermocarstwem. ■

Pociski NSM mają zasięg około 180 km. Mogą zatem służyć do obrony wysp, ale nie ma możliwości utworzenia tzw. obszarów kontestowanych, wewnątrz których okręty przeciwnika znajdowałyby się w sytuacji ciągłego zagrożenia.

KONGSBERG



WALKA O ZASIĘG

Przy okazji reformy Korpusu Piechoty Morskiej Amerykanie chcą wyposażyć marines w pociski umożliwiające atakowanie okrętów przeciwnika na możliwie największym dystansie.

RAFAŁ CIASTOŃ

Zaplanowany na rok 2021 amerykański budżet obronny uwzględnia zakup dla Korpusu Piechoty Morskiej (United States Marine Corps – USMC) 48 pocisków Tomahawk. Opracowanie nowej wersji rakiety stało się możliwe po wycofaniu się przez USA z traktatu o całkowitej likwidacji pocisków pośredniego i średniego zasięgu (Intermediate-range Nuclear Forces – INF). Coraz wyraźniej zatem widać, że dla Waszyngtonu wyjście z układu było raczej podyktowane rywalizacją z Chinami niż działaniami oskarżanej o jego naruszanie Rosji.

ZMIANA KRAJOBRAZU

Przez lata wojen w Afganistanie i Iraku marines byli traktowani jako naturalne wzmocnienie armii, a nie typowa piechota morska. Wraz ze stopniowym wycofywaniem się USA z tych konfliktów, a przede wszystkim z coraz wyraźniej rysującą się na horyzoncie rywalizacją z Chinami, zaczęła się

zmieniać również rola Korpusu. Choć tak naprawdę trzeba by mówić raczej o powrocie do korzeni – sił ekspedycyjnych, często rozlokowanych w wysuniętych bazach, w pełni autonomicznych, bo dysponujących nawet własnym lotnictwem, a przy tym częściej operujących na poziomie oddziału niż związku taktycznego. Jednak marines brakuje dziś jednej zdolności, która w działaniach na zachodnim Pacyfiku jest kluczowa. Chodzi o możliwość atakowania okrętów przeciwnika na jak największym dystansie.

Gdy mowa jest o modernizacji chińskich sił morskich, jak mantra powraca pojęcie strategii i zdolności antydostępowych (Anti-Access/Area Denial Capabilities – A2/AD). Choć terminy te używane są łącznie, różnią się nieco znaczeniem – pierwszy oznacza zdolność do zaatakowania na dalekim dystansie sił, które mogą zostać rozmieszczone na danym teatrze działań, drugi natomiast uniemożliwienie operowania siłami już tam

Coraz wyraźniej widać, że dla Waszyngtonu wyjście z traktatu INF było raczej podyktowane rywalizacją z Chinami niż działaniami oskarżanej o jego naruszanie Rosji.

rozmieszczonymi. Dla amerykańskich planistów wojskowych konieczność zmierzenia się z systemami A2/AD stanowi poważne wyzwanie. Pekin dysponuje dziś zintegrowaną, rozciągniętą wzdłuż wybrzeży siecią obrony powietrznej, pociskami balistycznymi zdolnymi do atakowania celów ruchomych, flotą ponad 200 okrętów nawodnych i podwodnych uzbrojonych w pociski przeciwokrętowe, pociskami balistycznymi i manewrującymi czy wreszcie silnym i całkiem nowoczesnym lotnictwem, które ma w wyposażeniu pociski klasy powietrze–ziemia i powietrze–woda o dużym zasięgu.

Dzięki umieszczeniu instalacji wojskowych najpierw na Wyspach Paracelskich, a następnie na sztucznych wysepkach zbudowanych na bazie raf archipelagu Spratly, Chińczycy znacząco rozciągnęli zarówno sieć sensorów, jak i efektorów, dokonując przy tym, jak określił to kilka lat temu adm. Harry Harris, zmiany krajobrazu operacyjnego regionu. Amerykanie muszą znaleźć odpowiedź na chińskie działania.

Układ INF, gdy jeszcze obowiązywał (do sierpnia 2019 roku), zabraniał stronom, czyli Stanom Zjednoczonym i Związkowi Radzieckiemu, a następnie Rosji, posiadania pocisków balistycznych i manewrujących o zasięgu mieszczącym się w przedziale od 500 do 5500 km. Już w 2011 roku administracja prezydenta Baracka Obamy informowała Kongres o możliwych naruszeniach układu przez stronę rosyjską. Trzy lata później dane na ten temat upubliczniono, a do 2019 roku podejmowano działania mające nakłonić Moskwę, żeby przestrzegała zapisów traktatu. Ta oczywiście nigdy nie przyznała się do jakichkolwiek naruszeń. Przy czym na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat zarówno po stronie rosyjskiej, jak i amerykańskiej pojawiały się głosy o konieczności dostosowania porozumienia do nowych realiów międzynarodowych. Stanom Zjednoczonym coraz bardziej doskwierały traktatowe ograniczenia właśnie na azjatyckim teatrze działań, a nie europejskim.

CO BARDZIEJ SIĘ OPLACA

Rozmieszczenie lądowych pocisków średniego i pośredniego zasięgu na terenie zachodniego Pacyfiku zmieniłoby tamtejszą sytuację operacyjną na korzyść USA. Oczywiście można argumentować, że układ nie dotyczył pocisków odpalanych z pokładów okrętów czy z powietrza, które mogły zastąpić pociski lądowe, ale nie jest tak do końca.

Przede wszystkim, liczba dostępnych w danym miejscu i czasie okrętów amerykańskiej marynarki wojennej (US Navy) jest ograniczona. Podobnie zresztą jak wysłanie z tą misją samolotów, które dodatkowo charakteryzują się mniejszą ładownością i nie mogą przecież pozostawać w przestrzeni powietrznej w nieskończoność. Utrata w wyniku uszkodzenia bądź zatopienia niszczyciela typu Arleigh Burke oznacza stra-

tę blisko miliarda dolarów, a np. myśliwca typu F-22 – około 200 mln dolarów. Umieszczenie pocisku na wyrzutni lądowej, wartej kilka czy kilkanaście milionów dolarów, którą przeciwnik w celu zneutralizowania musiałby najpierw wysłedzić, daje zatem wiele korzyści. W przeciwieństwie do okrętu czy samolotu taka wyrzutnia jest dostępna w zasadzie od ręki w każdej sytuacji kryzysowej i stwarza permanentne zagrożenie zarówno dla okrętów, jak i infrastruktury lądowej przeciwnika.

Marines chcą jak najszybciej pozyskać dwa typy pocisków zdolnych do zwalczania okrętów. Pierwszy z nich to używany

zresztą również przez polskie siły zbrojne NSM. Amerykanie dozbrajają w te rakiety okręty klasy LCS, nie będzie to więc dla nich nowa konstrukcja. Co ciekawe, piechota morska planuje stworzenie bezałogowych wyrzutni na podwoziu pojazdu JLTV (Joint Light Tactical Vehicle). Ewentualne zniszczenie wyrzutni typu ROGUE (Remotely Operated Ground Unit Expeditionary) nie wiązałoby się zatem z utratą obsługujących ją żołnierzy. Pociski NSM mają jednak zasięg około 100 Mm (180 km). Mogą zatem służyć do obrony wysp, ale nie ma możliwości utworzenia tzw. obszarów kontestowanych, wewnątrz których okręty przeciwnika znajdowałyby

się w sytuacji ciągłego zagrożenia. Aby stworzyć takie zagrożenie, a jednocześnie zapewnić wsparcie pozostałym rodzajom sił zbrojnych, amerykańskie systemy uzbrojenia muszą mieć zasięg co najmniej zbliżony do systemów przeciwnika. Jeśli przyjąć, że w chińskim arsenale pocisk balistyczny DF-21D ma największy zasięg, bo aż 900 Mm, to dziś ten warunek spełnia jedynie pocisk Tomahawk.

KANDYDAT IDEALNY?

Tomahawki służyły już kiedyś jako pociski manewrujące odpalane z lądu (Ground Launched Cruise Missile – GLCM) – funkcjonowały wówczas pod nazwą Gryphon. Wyrzutnie te zostały jednak zniszczone zgodnie z postanowieniami traktatu INF i od 30 lat są używane wyłącznie morskie wersje pocisku. Opracowywany teraz wariant Maritime Strike Tomahawk (MST) będzie mógł służyć do atakowania celów ruchomych, co jest nowością dla tego systemu. Co więcej, nowe pociski o znacznie większym zasięgu wyposażone są w głowice o dużej masie (454 kg ładunku), będą więc one mogły wyłączyć z walki okręt takiej klasy jak fregata czy niszczyciel.

Czy jednak marines dostaną MST, okaże się dopiero za jakiś czas. Przed podjęciem ostatecznej decyzji konieczne jest przeprowadzenie odpowiednich testów. Jedno jest pewne: Amerykanie nie zamierzają zasypiać gruszek w popiele i korzystając z niedostępnych dotychczas możliwości, będą starać się jak najszybciej rozmieścić systemy rakietowe średniego i pośredniego zasięgu na terenie zachodniego Pacyfiku. ■

ROZMIESZCZENIE LĄDOWYCH POCISKÓW ŚREDNIEGO I POŚREDNIEGO ZASIĘGU NA TERENIE ZACHODNIEGO PACYFIKU ZMIENIAŁOBY TAMTEJSZĄ SYTUACJĘ OPERACYJNĄ NA KORZYŚĆ USA



Przymierze bez zaufania

Dużym wyzwaniem dla władz Sudanu Południowego stało się m.in. uregulowanie sprawy grup zbrojnych. Pomysł zjednoczenia sił zainteresowanych stron w ramach jednej, narodowej armii okazał się trudny do realizacji.

ROBERT CZULDA

Chociaż ostatecznie udało się powołać w Sudanie Południowym rząd koalicyjny, to sytuacja pozostaje napięta. Wznowienie walk w tym kraju wydaje się jedynie kwestią czasu.

Republika Sudanu Południowego od początku swojej krótkiej historii – uzyskania niepodległości od Republiki Sudanu w 2011 roku – stanowi przykład państwa pogrążonego w chaosie. Odłączenie się od północnego sąsiada nie przyniosło bezpieczeństwa, lecz kolejną wojnę. Konflikt toczy się tam z przerwami od 2013 roku, kiedy to prezydent Salva Kiir Mayardit zdymisjonował swojego zastępcę Rieka Machara, który miał planować przewrót. W afrykańskich realiach oznacza to wojnę.

Machar stanął na czele Opozycyjnej Ludowej Armii Wyzwolenia Sudanu (Sudan People's Liberation Army-In Opposition – SPLA-IO) i przystąpił do walki zbrojnej. Ostatecznie wrócił do stołecznej Dżuby i odzyskał stanowisko w kwietniu 2016 roku, ale szybko doszło do wznowienia starć między jego siłami a oddziałami wiernymi Kiirowi. Działania zbrojne zostały wstrzymane dopiero we wrześniu 2018 roku, wraz z kolejnym zawieszeniem broni. Szacuje się, że ten spór o władzę kosztował życie około 400 tys. ludzi. To również nie-

zliczona liczba uchodźców i ofiar przemocy seksualnej. Gwałty oraz utrudnianie dostępu do wody pitnej i żywności stanowią istotny element południowosudańskiego konfliktu. Nakładają się na to różnice etniczne – Kiir należy do plemienia Dinka, a Machar do Nuerów.

NOWA NADZIEJA?

Dopiero w lutym 2020 roku, po kilkukrotnym przekładaniu terminów, z wielkimi trudami powstał koalicyjny rząd. Na jego czele stoi prezydent Salva Kiir Mayardit, którego interesy chroni Ludowa Armia Wyzwolenia Sudanu (Sudan People's Liberation Army – SPLA), podczas gdy Machar został jednym z wiceprezydentów. W tym czasie w Dżubie do porozumienia pokojowego, wynegocjowanego przez katolicką wspólnotę Sant'Egidio, przystąpił Sojusz Ruchów Opozycyjnych Sudanu Południowego (South Sudan Opposition Movements Alliance – SSOMA). Chociaż można odbierać je jako przełom, nie oznacza to końca problemów, bo już w kwietniu 2020 roku Kiir i Machar starli się w kwestii nominacji gubernato-

rów poszczególnych stanów. Mało kto wierzy w to, że w pełni wolne i demokratyczne wybory odbędą się zgodnie z planem, czyli w 2022 roku.

„Pomiędzy obu przywódcami nie ma zaufania”, wyjaśnił w rozmowie z „Polską Zbrojną” mieszkający w Dżubie politolog, z powodów bezpieczeństwa chcący zachować anonimowość. „Idea powołania wspólnego rządu została na nich wymuszona przez społeczność międzynarodową, w tym państwa regionu. Sami z siebie nigdy nie zrobiliby takiego kroku. Zapewniam, że między grupami Dinka i Nuer nie ma sporu – to przywódcy wykorzystują kwestię etniczną do wciągania kraju w konflikt. Są powody, aby uznać, że wojna niedługo do nas powróci”.

Jak zawsze, diabeł tkwi w szczegółach. Chociaż obie strony zgodziły się na wspólny rząd, to sporne pozostają inne aspekty. Dotyczą przede wszystkim praktycznego podziału władzy, co sprowadza się do uzyskania kontroli nad poszczególnymi stanami wyniszczonego państwa. W 2015 roku prezydent Kiir zwiększył ich liczbę z dziesięciu do 28,



PAUL BANKS/UN

ISAAC BILLY/UN

MCNEISH/VOA

Konflikt w Sudanie Południowym toczy się z przerwami od 2013 roku, kiedy to prezydent Salva Kiir Mayardit (na zdjęciu po lewej) zdymisjonował swojego zastępcę Rieka Machara (na zdjęciu po prawej), który miał planować przewrót. W afrykańskich realiach oznacza to wojnę.

a w 2017 – do 32, co było niezgodne z postulatem opozycji, optującej za 21 stanami. W lutym 2020 roku – na mocy porozumienia pokojowego – przywrócono natomiast pierwotny podział kraju na dziesięć stanów oraz na trzy specjalne. Na początku maja Kiir ogłosił, że sześć z nich ma przypaść jego frakcji, trzy Macharowi, a jeden koalicji trzeciej frakcji. Na taki podział nie przystał wiceprezydent, bo uważa, że nie oddaje on faktycznego rozkładu sił w kraju. Jak stwierdził, przystąpi do rządu dopiero po rozwiązaniu tej spornej kwestii.

Dużym wyzwaniem okazuje się również uregulowanie sprawy grup zbrojnych. Pomysł zjednoczenia sił zainteresowanych stron w ramach jednej, narodowej armii (South Sudan People's Defense Forces – SSPDF) okazał się trudny do realizacji. Jak w swej analizie pisali eksperci ośrodka International Crisis Group (ICG), z powodu niedoboru żywności, wody oraz leków, „żołnierze opuścili kwatery. Pierwszym krokiem musi być więc upewnienie się, że fundusze, które obiecał Kiir, faktycznie przydzielono na proces zjednoczenia. Byłby to akt dobrej woli. Jednocześnie Machar będzie musiał dać rządowi więcej czasu, także na proces weryfikacji jego sił, oraz zgodzić się na redukcję liczby żołnierzy, którzy trafiliby do armii”. Proces jednoczenia zbrojnych grup w armię rządową został wstrzymany już w marcu z powo-

du koronawirusa. Jednak integracja, jak nadmieniał anonimowy ekspert z Dżuby, i tak jest fikcyjna, bo „rząd utrzymuje różne frakcje z własnymi, niezależnymi dowództwami. Wykorzystywane są one do popełniania zbrodni”.

PROBLEMY NA HORYZONCIE

Pokój jest niezbędny, aby Sudan Południowy mógł myśleć chociażby o zaspokojeniu podstawowych potrzeb mieszkańców. Szacuje się, że ponad połowa z 12-milionowej populacji kraju boryka się z brakiem żywności. W maju prezydent przyznał, że uzyskanie samowystarczalności w tej dziedzinie to jeden z długofalowych celów jego administracji.

Niestety, nawet utrzymanie pokoju między Kiirem a zwolennikami Machara nie oznacza rozwiązania problemów, bo koalicyjne władze Sudanu Południowego są zbyt słabe, aby wprowadzić rządy prawa. Oprócz bolączek związanych z biedą, brakiem odpowiednich kadr, zasadniczym wyzwaniem jest istnienie wspomnianych bojówek. Jedną z nich jest powołany w 2017 roku Front Zbawienia Narodowego (National Salvation Front – NAS), który podpisał porozumienie pokojowe z rządem w Dżubie w 2019 roku i w nowym rządzie ma swojego wiceprezydenta. Nie oznaczało to jednak końca przemocy w tym kraju. W kwietniu 2020 roku siły NAS starły się z oddziałami SPLA-IO, wiernymi

Macharowi, oraz armią rządową prezydenta Kiira. Jakby tego było mało, często dochodzi do walk między ludem Dinka i arabskim plemieniem nomadów Messiria w spornej strefie przygranicznej Sudanu i Sudanu Południowego.

Jednocześnie Sudan Południowy będzie musiał stawić czoła kolejnemu, nadchodzącemu wyzwaniu. Chodzi o trudności z wprowadzeniem w życie przyjętego w lutym 2020 roku programu odbudowy gospodarczej kraju, w tym dróg oraz ujęć wody, oraz wypłaceniem odszkodowań ofiarom wojny ze względu na kryzys, będący efektem zarówno pandemii SARS CoV-2, jak i drastycznego spadku cen ropy naftowej na światowych rynkach. Szczupły budżet Sudanu Południowego nawet w 98% opiera się na wpływach ze sprzedaży tego surowca.

Te problemy będą miały także wpływ na proces pokojowy. Alan Boswell, analityk ICG, w jednym z prasowych wywiadów stwierdził, że brak funduszy „negatywnie odbije się na możliwościach rządu, jeśli chodzi o opłacanie żołdu żołnierzom, a także na integracji wszystkich funkcjonujących w kraju frakcji politycznych”. Utrzymanie kruchego pokoju może wymagać finansowego wsparcia ze strony międzynarodowych organizacji, ale te mogą mieć inne priorytety niż ratowanie Sudanu Południowego. ■



JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



Republika niebananowa

W sąsiedztwie państw o silnych tradycjach dyktatury wojskowej od kilkudziesięciu lat funkcjonuje kraj bez własnej armii.

ROBERT SENDEK

Na wojskowej mapie świata licząca prawie 5 mln mieszkańców Kostaryka stanowi prawdziwy ewenement. Jest najludniejszym krajem na naszym globie, który nie posiada własnej armii. To o tyle niezwykle, że własne siły zbrojne mają państwa znacznie od niej mniejsze, jak Malta, Czarnogóra czy Luksemburg. Nawet te nieuznawane na arenie międzynarodowej, jak Abchazja, Somaliland czy Turecka Republika Cypru Północnego stawiają sobie za punkt honoru utrzymywanie własnych oddziałów wojskowych – dla bezpieczeństwa czy prestiżu. Tymczasem Kostaryka świadomie i konsekwentnie zrezygnowała z własnej armii ponad 70 lat temu.

ARMIA, KTÓRA NIE ISTNIEJE

Miejsce stałego wojska zajmują w Kostaryce rozbudowane służby mundurowe, których zadaniem jest pilnowanie porządku i bezpieczeństwa kraju. Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego (Ministerio de Seguridad Pública – MBP) są podporządkowane Siły Publiczne (Fuerza Pública), których podstawę stanowią lekko uzbrojone jednostki o charakterze policyjnym. Ich obowiązkiem jest stanie na straży prawa, pilnowanie porządku wewnętrznego, granic i integralności terytorialnej kraju oraz walka z przestępczością zorganizowaną. Ponieważ Kostaryka leży na trasie przemytu narkotyków z Ameryki Południowej na północ, ważną rolę w całym systemie bezpieczeństwa kraju odgrywają policyjne oddziały antynarkotykowe. W ramach MBP istnieje ponadto kilka wyspecjalizowanych służb do wykonywania konkretnych zadań, np. Grupa Wsparcia Operacyjnego (Grupo de

Apoyo Operacional – GAP) zajmuje się trudniejszymi sprawami, dotyczącymi zwalczania przestępczości zorganizowanej (zatrzymania przemytników czy przejmowanie kontrabandy).

Kostaryka nie ma lotnictwa wojskowego, w ramach Sił Publicznych działa zaś niewielka jednostka lotnicza wykonująca zadania obserwacyjne, transportowe oraz na rzecz misji humanitarnych. Istnieje ponadto straż przybrzeżna, dysponująca kilkoma jednostkami patrolowymi, pościgowymi i ratowniczymi. Strukturę odrębną od MBP tworzy Departament Informacji i Bezpieczeństwa Państwowego (Dirección de Inteligencia y Seguridad – DIS), podporządkowany bezpośrednio prezydentowi kraju. W gestii Departamentu pozostają wywiad i kontrwywiad. Nadzoruje on również Jednostkę do Zadań Specjalnych (Unidad Especial de Intervención – UEI), przeznaczoną do tzw. operacji wysokiego ryzyka (terroryzm, gangi, handel narkotykami).

OFICJALNIE NEUTRALNA

Władze Kostaryki od lat konsekwentnie prowadzą politykę, w której silna jest idea pacyfizmu. W tak niespokojnym regionie, jakim jest Ameryka Centralna, nie jest to łatwe, ponieważ przez długie lata istniały po sąsiedzku – w Panamie i Nikaragui – agresywne reżimy wojskowe. Chcąc uchronić swój kraj przed wciągnięciem w awanturę międzynarodową, kostarykańscy politycy jesienią 1983 roku proklamowali, jak to sformułowano, „wieczystą aktywną i niewojskową neutralność”.

Ta decyzja przekłada się na sposób prowadzenia polityki międzynarodowej: gdy w 2003 roku



W 1948 roku prezydent kraju José Figueres Ferrer rozwiązał armię i od tej pory Kostaryka utrzymuje jedynie paramilitarną policję.



prezydent Abel Pacheco ogłosił, że jego kraj występuje przeciwko terroryzmowi, administracja prezydenta USA George'a W. Busha zinterpretowała to jako opowiadanie się po stronie tzw. koalicji chętnych, wspierających Stany Zjednoczone podczas inwazji na Irak. Kostarykański sąd konstytucyjny nakazał prezydentowi Pacheco wycofać swoje poparcie, które zostało uznane za złamanie neutralności kraju.

Zatargi z sąsiadami władze Kostaryki również próbują rozwiązywać na drodze pokojowej. Tak było np. w 2010 roku podczas konfliktu granicznego z Nikaraguą o przebieg rzeki San Juan. Żołnierze nikaraguańscy zajęli wówczas niewielki, pograniczny teren. Do wojny jednak nie doszło, ponieważ władze kostarykańskie postawiły sprawę na forum międzynarodowym. Nikaraguańczycy ulegli presji i wycofali swoje wojska, a spór załagodzone.

RAJ DLA DYKTATORÓW

Powody, dla których Kostaryka zrezygnowała z własnej armii, mają ścisły związek z przeszłością regionu. Ameryka Centralna to wąski przesmyk łączący Amerykę Północną i Południową. Oprócz Kostaryki lądową część regionu tworzą Gwatemala,



Miejsce stałej armii zajmują w Kostaryce rozbudowane służby mundurowe, których zadaniem jest pilnowanie porządku i bezpieczeństwa kraju.

Belize, Salvador, Honduras, Nikaragua i Panama. Żadnego z tych krajów historia nie rozpieszczała: to właśnie do nich przyłgnęła w początkach XX wieku etykieta republik bananowych, czyli kiepsko zarządzanych, skorumpowanych i niestabilnych politycznie państw, których podstawą gospodarki są uprawa i eksport owoców.

Korzystając z nieudolności i uległości lokalnych władz, obce koncerny w przeszłości wielokrotnie dyktowały rządowi tych krajów korzystne dla siebie rozwiązania prawne kosztem zwykłych mieszkańców. Z kolei przedstawiciele władzy nie potrafili lub nie chcieli się zająć narastającymi problemami społecznymi, walczyć z biedą, bezrobociem i analfabetyzmem wśród swoich obywateli. Wszystko to prowadziło do ostrych sporów społecznych, rewolt, buntów, rozrostu zorganizowanej przestępczości, a nawet brutalnych wojen domowych. Efektem były częste zmiany władzy, nierzadko w wyniku zamachu stanu.

Historia pokazała, że w państwach, w których struktury władzy są słabe, demokratyczne rozwiązania kwestionowane przez wszystkich, a wybory niekoniecznie uczciwe, nieproporcjonalnie dużą rolę odgrywało wojsko, jako stabilna i dobrze zorgani-



INSPIRUJĄCE SĄSIEDZTWO

Drogą wytyczoną przez Kostarykę postanowiły pójść elity Panamy. Krajem tym do 1989 roku rządził gen. Manuel Noriega. Początkowo blisko współpracował ze Stanami Zjednoczonymi, z czasem zaczął korzystać z władzy na własny użytek. Oskarżano go o pranie brudnych pieniędzy, przemyt broni, potem także o to, że czerpie zyski z przerzutu narkotyków w porozumieniu z kolumbijskimi kartelami. Jego obalenie podczas amerykańskiej interwencji stało się dla panamskich elit okazją do nowego startu. Ustalono, że wzorem kostarykańskim armia zostanie rozwiązana, a w jej miejsce powołano do życia służby publiczne. ■

Departament Informacji i Bezpieczeństwa Publicznego jest podporządkowany bezpośrednio prezydentowi kraju. W ramach Departamentu działa Unidad Especial de Intervencion (UEI), niewielki, elitarny oddział sił specjalnych. Na zdjęciu: członkowie UEI podczas szkolenia

zowana instytucja. To właśnie armia kierowana przez ludzi mających polityczne aspiracje nadawała ton wydarzeniom w poszczególnych krajach regionu. W dużej mierze wynika to również z lokalnego mitu caudillo, czyli silnego, charyzmatycznego przywódcy, zwykle wywodzącego się z kręgów wojskowych. Nowi dyktatorzy wcale nie radzili sobie lepiej od poprzednich, w poszczególnych krajach regionu dochodziło do utrwalenia negatywnych mechanizmów rządzenia, a w wyniku niezadowolenia społecznego i rewolt regularnie na scenie politycznej zmieniały się kolejne władze.

SPÓR NA 44 DNI

Ta lokalna, fatalna tradycja mieszania się wojskowych w rządy cywilne dotknęła w pierwszej połowie XX wieku również Kostarykę. Także i tutaj dochodziło do zamachów stanu, a w 1948 roku doszło nawet do krótkiej wojny domowej. Po trwających 44 dni walkach, które kosztowały życie 2 tys. osób, buntownicy dowodzeni przez José Figueres Ferrera zajęli stołeczne San José. Ferrer objął władzę jako tymczasowy prezydent. Stał na czele junty, która proklamała utworzenie II Republiki Kostaryki oraz przeprowadziła serię reform, m.in. rozwiązała armię, co nastąpiło 1 grudnia 1948 roku. W art. 12 konstytucji umieszczono zapis, który wprost zakazywał formowania stałej armii. Prezydent José Figueres Ferrer wyjaśniał to w ten sposób: „Jeśli ktoś w rodzi-

nie zachoruje, trzeba wezwać lekarza. To jednak wcale nie znaczy, że lekarz ma mieszkać z wami w domu przez całe wasze życie”. Teoretycznie zatem w Kostaryce w razie wojny możliwe jest utworzenie stałej armii. Czas jednak pokazał, że w ciągu 70 lat nie było takiej potrzeby. Fundusze, które dotychczas pochłaniało wojsko, władze kostarykańskie przeznaczyły na szkolnictwo i służby porządkowe.

INWESTYCJA W SPOKÓJ

Kostaryka wydaje się oazą spokoju: od 1948 roku nie doszło tam do żadnego zamachu stanu, kolejne rządy przekazują sobie władzę w bezkonfliktowy sposób. Pod tym względem to zdecydowanie najbardziej stabilne i przewidywalne politycznie państwo regionu. Pokazują to również statystyki międzynarodowe: według wskaźnika demokracji, Kostaryka zajmowała w 2019 roku wysoką, 19. pozycję w świecie, wyprzedzając m.in. Francję, Stany Zjednoczone czy Czechy. Inne kraje Ameryki Centralnej lokują się zdecydowanie niżej.

Nie oznacza to jednak, że Kostaryka to raj na ziemi. I ten kraj ma swoje problemy – nierzadkie są zawirowania polityczne, afery gospodarcze, protesty wyborcze. Jednak miejscowa elita polityczna potrafiła uporać się z kwestią, która trapiła właściwie cały region: z niestabilnością polityczną. Nie ma tam bowiem silnego środowiska wojskowych, które byłoby zainteresowane mieszaniami się w politykę. ■

DISNEYLAND DLA SPECJALISÓW

Wystarczy zaledwie kilkanaście minut, aby z centrum Ammanu dotrzeć samochodem do nowoczesnego ośrodka szkolenia, gdzie trenują żołnierze sił specjalnych z całego świata. Mnie udało się zajrzeć do środka.

JAROSŁAW RYBAK

Na powierzchni 25 km² powstało miasteczko z domami mieszkalnymi, lokalami gastronomicznymi, warsztatami, biurami, urzędami państwowymi, a nawet lotniskiem. Zamontowano w nim urządzenia do symulacji i obserwacji pola walki. To jordański KASOTC, King Abdullah II Special Forces Operations Training Center. Najśłynniejszy ośrodek szkolenia sił specjalnych na świecie.

POMYSŁ NA POLIGON

„Pewnego razu król Abdullah leciał śmigłowcem nad tą doliną. Stwierdził, że to idealne miejsce na ośrodek szkolenia sił specjalnych. No i tak powstał KASOTC. Teraz mamy tu Disneyland dla specjalistów z całego świata. Jesteś z sił specjalnych? Postaw sobie zadanie, a my stworzymy ci warunki, żebyś się do niego przygotował. Tylko nasz król mógł coś takiego wymyśleć!”, z entuzjazmem opowiada Naser Arabyat, szef szkolenia ośrodka. Podobnie jak zdecydowana większość z około 2 tys. pracujących tu osób, jest byłym żołnierzem sił specjalnych. Obowiązuje zasada, że ludzie zatrudnieni na stałe muszą mieć doświadczenie bojowe i posiadać obywatelstwo jordańskie. Oczywiście w ośrodku korzysta się również z wiedzy obcokrajowców. „Współpracujemy z instruktorami wywodzącymi się z najbardziej elitarnych jednostek specjalnych z całego świata i ze szkoleniowcami, którzy mają wiedzę dotyczącą najpoważniejszych operacji antyterrorystycznych, jakie w ciągu ostatnich 35 lat prowadzono w każdym zakątku globu”, przekonuje Naser Arabyat.

Gospodarze z wielkim i autentycznym szacunkiem opowiadają o swoim królu, który bywa częstym gościem w ośrodku. Na każdym kroku pod-

kreślają rolę monarchy w tworzeniu i rozwoju centrum treningowego. KASOTC nie powstałby jednak, gdyby nie olbrzymie wsparcie USA. Faktycznie to Amerykanie wybudowali ten obiekt i go wyposażyli. Oczywiście mieli w tym interes, bo zainwestowali w miejsce, w którym wymieniają się doświadczeniami siły specjalne z państw z najbardziej zapalnego regionu świata. Jest to zbieżne z intencjami króla Jordanii „On uważa, że Jordania powinna dzielić się wszystkim, co wie o walce z terroryzmem, z naszymi sojusznikami na całym Środkowym Wschodzie, a także poza nim. W ostatecznym rozrachunku będzie bowiem tak, że jak twoi partnerzy okażą się silni, to wspólnie wygracie. Jeśli ty będziesz silny, a twoi sojusznicy słabi, to sam terrorystów nie pokonasz”, kontynuuje Naser Arabyat. Dlatego w ośrodku szkołą żołnierzy, policjantów, funkcjonariuszy różnych służb porządku publicznego, ale również pracowników organizacji pomocowych, którzy wykonują zadania w rejonach podwyższonego ryzyka. Szczególny nacisk kładzie się na wymianę doświadczeń między formacjami z różnych państw.

SZLIFOWANIE OSTRZA WŁÓCZNI

Ośrodek przypomina zadbane bliskowschodnie miasteczko. Nie ma żadnych śladów użytkowania, obiektu



NASER ARABYAT, SZEF SZKOLENIA OŚRODKA: „NASZ KRÓL UWAŻA, ŻE JORDANIA POWINNA DZIELIĆ SIĘ WSZYSTKIM, CO WIE O WALCE Z TERRORYZMEM, Z NASZYMI SOJUSZNIKAMI NA CAŁYM ŚRODKOWYM WSCHODZIE”

wyglądają, jakby zostały oddane przed kilkoma dniami. Ale gdy zobaczyłem pierwszy ostrzelany wrak samochodu, uświadomiłem sobie, że tutaj w czasie zajęć prawie wszędzie można używać amunicji bojowej.

Przed budynkiem komendy ustawiono kilkumetrowy monument, na którego szczycie zamontowano rzeźbę nawiązującą do antycznego hełmu z grzebieniem. Obserwator szybko kojarzy, że ten region to kolebka cywilizacji, tutaj pradawni wojownicy toczyli legendarne bitwy. „Nawiązujecie do tradycji starożytnych wojowników walczących kiedyś na tym terenie?”, pytam i dostaję odpowiedź od szefa szkolenia KASOTC: „Nie. Fajny jest ten hełm, wszystkim się spodobał, więc na jego bazie stworzyliśmy symbol ośrodka”.

Gospodarze są bardzo uprzejmi, chętnie odpowiadają na pytania, ale też jasno wyznaczają granice. O detalach mogą rozmawiać z zainteresowanymi szkoleniem, publicznie zaś chętniej opowiedzą o idei funkcjonowania ośrodka niż o jego parametrach taktyczno-technicznych.

KASOTC znajduje się w skalistej, głębokiej na kilkadziesiąt metrów dolinie, kształtem przypominającej literę S. Skalne ściany i ciągnące się za nimi kilometry pustyni gwarantują ćwiczącym dyskrecję, a jednocześnie zwiększają bezpieczeństwo prowadzonych szkoleń. Ośrodek zlokalizowano zaledwie kilkanaście minut jazdy samochodem od centrum Ammanu, stolicy Jordanii. To samowystarczalne miasteczko, w którym jednocześnie można zakwaterować do 1100 kursantów. Mają oni do dyspozycji zaplecze sportowe, ośrodek zdrowia, pralnię, kantinę, sklepy, basen, kino czy meczet. Tutejsza kuchnia uwzględnia zwyczaje żywieniowe, wynikające np. z nakazów religijnych.

„Jeśli jednostki specjalne porównamy do ostrza włóczni, to my mamy narzędzia, żeby te ostrza wyszlifować”, przekonuje Naser Bataineh,

U S NAVY →



Miasteczko poligonowe to 52 obiekty różnej wielkości. Można prowadzić jednocześnie cztery ćwiczenia w różnych częściach ośrodka.



JAROSŁAW RYBAK



Nad ośrodkiem góruje ośmipiętrowa tzw. wieża komandos. To betonowa konstrukcja do doskonalenia technik linowych czy wspinaczki.

odpowiadający za rozwój KASOTC. Obwozi mnie po terenie, po drodze mijamy dwupiętrowe budynki mieszkalne i parterowe obiekty z klasami lekcyjnymi do prowadzenia zajęć teoretycznych. Kursanci mogą tu przyjechać bez jakiegokolwiek wyposażenia. W ośrodku zaopatrzą się w mundury, wypożyczą broń, psy bojowe, kupią amunicję i materiały wybuchowe. „To tylko zależy od umowy, jaką zawrzemy”, wyjaśniają gospodarze. KASOTC jest bowiem podmiotem, którego status w Polsce określilibyśmy jako publiczno-prywatny. Na czele stoi żołnierz zawodowy w stopniu generała. Natomiast większość jego podwładnych to cywile. Ośrodek musi się utrzymać ze świadczenia usług komercyjnych. „Nie jesteśmy na garnuszku armii, sami się finansujemy”, podkreśla Naser Arabyat.

Wszystkie obiekty setkami kilometrów światłowodów są połączone z mózgiem systemu – systemem wspomagania komputerowego. To dzięki niemu instruktorzy pracujący w taktycznym centrum operacyjnym (TOC) mogą zaprogramować i dynamicznie modyfikować różnorakie scenariusze działań. Elektronika steruje symulatorami, generatorami i głośnikami oraz dokumentuje obraz i dźwięk z setek dziennych i nocnych kamer, którymi naszpikowano ten cyfrowy poligon. „Dzięki temu możemy odtworzyć każdą minutę szkolenia, każdy ruch żołnierza, często nie tylko z jednej kamery. Nasz TOC umożliwia jednocześnie prowadzenie czterech różnych ćwiczeń w różnych częściach ośrodka”, wyjaśnia szkoleniowiec.

ZAPACHY WOJNY

Miasteczko poligonowe to 52 obiekty różnej wielkości i przeznaczenia. Są więc budynek ambasady, rezydencja, sklep, restauracja, warsztaty, urzędy, spory plac otoczony budynkami, stacja paliw czy ujęcie wody pitnej, obiekty mieszkalne o różnym statusie: od willi do typowych zabudowań małomiasteczkowych czy gospodarstw wiejskich. Teren naszpikowano generatorami mgły, dymu i ognia, symulatorami broni maszynowej, snajperskiej, odgłosów funkcjonującego miasta oraz zapachów wojny: prochu strzelniczego, zdetonowanego ajdika, a nawet spalonego ciała. Udział w takim treningu pozwala żołnierzowi nauczyć się rozpoznawać rodzaj broni używanej przez przeciwnika czy określać wielkość zdetonowanego ładunku wybuchowego. Oswojenie się



Teren naszpikowano generatorami dymu i ognia, symulatorami broni maszynowej. Udział w treningu pozwala żołnierzowi nauczyć się rozpoznawać rodzaj broni używanej przez przeciwnika czy określać wielkość zdetonowanego ładunku wybuchowego.

POD AMMANEM GOŚCILI ŻOŁNIERZE SIŁ SPECJALNYCH ZE WSZYSTKICH KONTYMENTÓW, TAKŻE POLACY

np. z zapachami wojny zmniejsza prawdopodobieństwo wystąpienia stresu pourazowego.

W centrum ośrodka, na olbrzymiej betonowej tafli lotniska ustawiono samolot Airbus 300. W pobliżu znajduje się wieża kontroli lotów. Tam można przeprowadzić szkolenie oparte np. na scenariuszu operacji ratowania zakładników. „Ratownicy mogą wykonywać zadanie pieszo, z pojazdów, śmigłowców lub w systemie kombinowanym. Zajęcia prowadzimy z wykorzystaniem ostrej amunicji. Scenariusze przewidują też pożar maszyny”, wyjaśnia Naser Bataineh. Symulatory imitujące porwaczkę mogą się poruszać: wstawać z foteli lub wychylać zza oparcia.

Kilkaset metrów od samolotu znajdują się obiekty wykorzystywane do doskonalenia taktyki wejść do budynków. To fragmenty ścian, w których można zamontować dowolny rodzaj drzwi czy okien. Jeśli jednak ktoś zażyczy sobie treningu z pokonywania przeszkód zrobionych z materiałów stosowanych w danym regionie, logistycy wybudują np. ścianę z cegieł suszonych.

SCENARIUSZE WALKI

Do zaawansowanego szkolenia z wejść do budynku służy dwupiętrowy obiekt. Konstrukcja umożliwia szturm z dachu, poziomu gruntu, drabin. Układ pomieszczeń odwzorowuje typową architekturę regionu. Można przetrenować wszelkie metody otwierania przeszkód: od najprostszych,

z wykorzystaniem łomów, przez piły mechaniczne, do różnego rodzaju ładunków detonujących. Konstrukcja budynku umożliwia stosowanie w nim ładunków wybuchowych o masie do 0,5 kg. „Obiekt został tak skonstruowany, żeby zagwarantować maksimum bezpieczeństwa ćwiczącym. Tym bardziej że budynek nie służy do szkolenia z pojedynczych epizodów, takich jak pokonywanie kolejnych drzwi czy okien, ale do pełnego scenariusza operacji specjalnej”, wyjaśnia instruktor.

Kolejny obiekt to pięciokondygnacyjny „dom CQB”, w którym szturm można rozpocząć z każdego poziomu. Ściany i stropy przystosowano do użycia broni długiej kalibru 5,56 mm oraz 7,62 mm. Rozbudowane scenariusze przewidują np. dynamiczną współpracę zespołów znajdujących się wewnątrz ze snajperami. Oprócz standardowej elektroniki gwarantującej realizm widoków, odgłosów i zapachów, symulatory wymuszają błyskawiczne podejmowanie decyzji, będących odpowiedzią na nowe zagrożenia w kolejnych pomieszczeniach. Symulator terrorysta może nawet podjąć próbę walki wręcz z ćwiczącym.

Nad ośrodkiem góruje ośmiopiętrowa tzw. wieża komandosa. To betonowa konstrukcja do doskonalenia technik linowych czy wspinaczki. Oczywiście trening można uzupełnić o scenariusze taktyczne z użyciem broni. Szkoleni mają do dyspozycji system sterowanych elektronicznie strzelnic i pasów strzeleckich, umożliwiających trening na wszelkich dystansach wykorzystywanych na współczesnym polu walki. Dla snajperów przygotowano naturalnie ukształtowany tor o długości 1300 m. Strzelcy wyborowi mogą też ćwiczyć strzelanie z wieży komandosa do celów odległych do 0,5 km.

Pod Ammanem gościli żołnierze sił specjalnych ze wszystkich kontynentów, także Polacy. Gospodarze analizują działania oddziałów operujących na Bliskim Wschodzie. Doceniają sukcesy bojowe naszych wojsk specjalnych oraz umiejętność partneringu, czyli szkolenia sił miejscowych. „Po kilkunastu latach pobytu na Bliskim Wschodzie macie bardzo ciekawe, często niedoceniane osiągnięcia. Myślę, że moglibyśmy wymienić się cenną wiedzą”, kończy Naser Arabayat. ■

JAROSŁAW RYBAK jest autorem wielu książek o współczesnych siłach specjalnych. Był rzecznikiem prasowym Ministerstwa Obrony Narodowej i Biura Bezpieczeństwa Narodowego.



HONGKONG

Jeden system

Władze chińskie pacyfikują protesty w obronie autonomii regionu.

Chiński parlament, Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych, przyjął pod koniec maja 2020 roku nowe regulacje prawne dotyczące bezpieczeństwa narodowego Hongkongu. Przekazują one Pekinowi część władzy w specjalnym regionie administracyjnym, zakazują działalności separatystycznej i wyrotowej, umożliwiają natomiast funkcjonowanie na jego terenie chińskich służb bezpieczeństwa i sądów.

Ta decyzja rozjuszyła mieszkańców Hongkongu, którzy zorganizowali wielkie manifestacje. Zdaniem protestujących nowe regulacje ograniczają ich prawa, co powoduje, że region staje się o wiele bardziej zależny od Pekinu. Co więcej, łamią

one obowiązujące dotychczas ustalenia, które przewidywały, że Hongkong do 2047 roku pozostanie terenem o szerokiej autonomii politycznej i gospodarczej, według zasady „jedno państwo, dwa systemy”. Szeroka autonomia Hongkongu była jednak dla władz w Pekinie bardzo niewygodna.

Manifestacje przeciw rosnącej ingerencji Chin z mniejszym lub większym natężeniem trwają w tym regionie od marca 2019 roku. Pekin próbuje je pacyfikować, rozpędza zgromadzenia, dokonuje aresztowań i nakłada grzywny, ale wśród protestujących narasta radykalizacja. Pojawiają się nawet hasła żądające niepodległości Hongkongu. RS

KYD PL KYODO/EAST NEWS

MALI

Podczas operacji przeprowadzonej 3 czerwca 2020 roku w północnym Mali francuskie jednostki specjalne zlikwidowały Abdelmaleka Droukdelę, zwierzchnika Al-Kaidy Islamskiego Maghrebu. Francuzi od kilku lat prowadzą w krajach Sahelu we współpracy z lokalnymi siłami szeroko zakrojoną operację antyterrorystyczną i antyislami- styczną. R



CHINY

Organizacja Secure World Foundation poinformowała, że pierwszy chiński system broni antysatelitarnej (ASAT) osiągnął już zdolność operacyjną. Z analiz specjalistów wynika jednak, że Chińczycy pracują co najmniej nad trzema różnymi rakietowymi systemami broni antysatelitarnej. S

WIELKA BRYTANIA

Obrona w sieci

Brytyjscy utworzyli pierwszy pułk swoich cyberwojsk w ramach programu restrukturyzacji i unowocześniania armii (Army 2020 Refine). 13 Pułk Łączności (13th Signals Regiment) jest częścią Królewskiego Korpusu Łączności (Royal Corps of Signals). Trzon nowej jednostki tworzy grupa około 250 specjalistów, których zadaniem jest zwalczanie zagrożeń w sieci podczas operacji prowadzonych przez brytyjską armię w kraju i za granicą. Dodatkowo pułk ma udzielać wsparcia technicznego przy testowaniu i wdrażaniu rozwiązań informacyjnych nowej generacji. Program „Army 2020 Refine” koncentruje się na tworzeniu jednostek prowadzących działania cybernetyczne, wojnę elektroniczną, wywiad, operacje informacyjne oraz niekonwencjonalne. DEK

STANY ZJEDNOCZONE

Zmień swoje hobby w zawód

Amerykanie jako pierwsi stworzyli jednostkę, która ma promować wojsko wśród nastolatków.

Siły zbrojne potrzebują ludzi o najróżniejszych zdolnościach, nie tylko sprawnych fizycznie i intelektualnie, lecz także doskonale zaznajomionych z nowoczesnymi technologiami, m.in. graczy komputerowych. Ich atutami są bardzo dobra koncentracja, lepsze możliwości przetwarzania in-

formacji wzrokowej i znakomita wyobraźnia przestrzenna.

W celu wyławiania ludzi o unikatowych zdolnościach nowoczesne armie świata zakładają własne drużyny e-sportowe. Pierwsi byli Amerykanie, którzy jesienią 2018 roku stworzyli **US Army Esports Team**. Zadaniem tego podod-

ziału Dowództwa Rekrutacji Armii Amerykańskiej (US Army Recruiting Command – USAREC) jest reprezentowanie wojska na turniejach e-sportowych oraz jego promowanie wśród nastolatków i studentów. W ślady Amerykanów idą inne armie zachodnie. W styczniu 2020 roku drużynę, która uczestniczy w turniejach Counter Strike, stworzyła holenderska marynarka wojenna. „Jedziemy na takie turnieje, aby rekrutować młodych ludzi. W ten sposób mogą zmienić swoje hobby w zawód”, mówi Peter van den Berg, jeden z oficerów marynarki. ROB



ROSJA

GROŹBA CZY PROPOZYCJA

Nowa doktryna odstraszania jądrowego.

Władimir Putin 2 czerwca 2020 roku podpisał dokument formułujący podstawy polityki państwa w sferze odstraszania jądrowego. Pada w nim stwierdzenie, że przyjęte zasady mają charakter obronny, służą ochronie suwerenności i integralności terytorialnej kraju. Z drugiej jednak strony nowa doktryna przewiduje utrzymywanie potencjału sił Federacji Rosyjskiej na poziomie zapewniającym odstraszanie jądrowe. Uzasadnieniem dla wprowa-

dzenia nowych zasad ma być m.in. wzmacnianie wschodniej flanki NATO. Zachodni komentatorzy zwrócili uwagę na jeden z zapisów w nowej doktrynie. Pada tam stwierdzenie, że rosyjski arsenał jądrowy może być wykorzystany w odpowiedzi także na atak z użyciem broni konwencjonalnej, o ile zagrozi on istnieniu państwa lub gdyby miał pozbawić Rosję zdolności do odwetowego uderzenia jądrowego. W odróżnieniu od poprzedniej rosyjskiej dok-

tryny obronnej, przyjętej w 2014 roku jako dokument niejawnny, obecne regulacje opublikowano na rządowym portalu informacji prawnej. Uważa się, że jest to sygnał dla partnerów zagranicznych. Chodzi o propozycję Moskwy podjęcia rozmów o międzynarodowych traktatach dotyczących kontroli zbrojeń. W szczególności może się to odnosić do przedłużenia wygasającego w lutym 2021 roku „Traktatu o redukcji zbrojeń strategicznych”. SEND ■

GRUZJA

POWRÓT FROGFOOTA

Resort obrony rozważa podjęcie produkcji zmodernizowanych samolotów Su-25.

Mamy wszystkie zasoby – techniczne, intelektualne, ludzkie – do tego, by remontować, ale także produkować nowe samoloty Su-25, a następnie sprzedawać je za granicę. Na świecie toczy się wiele konfliktów i są kraje bardzo zainteresowane samolotami tego rodzaju do celów

obronnych”, powiedział Irakli Garibaszwili, szef gruzińskiego resortu obrony, na antenie telewizji PalitraNews. Podkreślił on, że podjęcie produkcji Su-25 może służyć podniesieniu zdolności obronnych Gruzji.

Su-25 (Frogfoot) to samolot szturmowy zaprojektowany

i opracowany w biurze konstrukcyjnym Suchoja jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku. W Gruzji był wytwarzany w dawnych sowieckich Zakładach Lotniczych nr 31 w Tbilisi, później przekształconych w Tbilisi Aircraft Manufacture (TAM). Produkcję Su-25 TAM za-

kończył kilka lat temu, a ze służby w gruzińskich siłach zbrojnych maszyny wycofano w 2017 roku. Tbiliskie zakłady prowadzą teraz głównie prace remontowe, naprawcze i modernizacyjne samolotów MiG-21, Su-25 oraz śmigłowców Mi-8, Mi-17 i Mi-24. SR ■



MO FR

HISTORIA

/ ROZMOWA





„Bitwa pod Grunwaldem”, Wojciech Kossak, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie

PIERWSZA BITWA NARODÓW

*Z Janem Gancewskim
o wielkim sukcesie Władysława Jagiełły
oraz fortelach i błędach taktycznych
w bitwie pod Grunwaldem rozmawia
Tadeusz Wróbel.*

W

1409 roku rozpoczęła się wielka wojna między Królestwem Polskim sprzymierzonym z Wielkim Księstwem Litewskim a Zakonem Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jero-

zolimie. Dlaczego po kilkudziesięciu latach pokonaniu doszło do tego konfliktu?

Do wojny w latach 1409–1411 przyczyniło się zbliżenie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Królestwa Polski, gdy na polskim tronie zasiadł litewski książę Jogaila. Wiązało się to z chrztem Litwy, po którym pojawiły się wątpliwości co do sensu dalszego istnienia nad Bałtykiem zakonu mającego misję chrystianizacyjną. Dlatego Krzyżacy poddawali w wątpliwość nawrócenie Litwinów, ale jednocześnie próbowali doprowadzić do rozerwania sojuszu polsko-litewskiego. Gdy te zabiegi się nie powiodły, zaczęli szykować się do wojny z księciem Witoldem. Ulryk von Jungingen zwrócił się wtedy z prośbą do Władysława Jagiełły o zachowanie neutralności podczas tego konfliktu. Król zdecydowanie odmówił. Wielki mistrz się zdenerwował i postanowił najpierw rozprawić się z Polską. Na początku sierpnia 1409 roku rozpoczęły się działania wojenne. Krzyżacy zajęli ziemię dobrzyńską oraz najechali Kujawy i północno-wschodnią Wielkopolskę. Polakom udało się odzyskać Kujawy, ale wtedy jeszcze żadna ze stron nie była gotowa na walną bitwę.



Do wojny w latach 1409–1411 przyczyniło się zbliżenie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Królestwa Polski, gdy na polskim tronie zasiadł litewski książę Jogaila.

Wielka kampania wojenna rozpoczęła się latem następnego roku. Jak liczne były wojska, które starły się w bitwie pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku?

Obie strony wiedziały, że musi dojść do takiego starcia i zgromadziły potężne siły. Historycy i archeolodzy do dziś spierają się co do ich wielkości. Szacunki liczebności wojsk polsko-litewskich wahają się od 11 do 32 tys. Niemiecki historyk prof. Udo Arnold uważa, że siły obu stron były zbliżone i wynosiły po około 20 tys. ludzi. Inni badacze, jak chociażby Szwed prof. Sven Ekdahl,

twierdzą, że tylu walczących było po stronie polsko-litewskiej, ale armia zakonna liczyła 15–17 tys. osób, ze wskazaniem raczej na tę niższą wartość. Ja podzielam tę opinię.

Ilu samych rycerzy Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie przybyło pod Grunwald?

Od 250 do 300 rycerzy, czyli około 40% wszystkich braci zakonnych, którzy wówczas znajdowali się w konwentach zakonnych na terenie państwa zakonu krzyżackiego w Prusach. Pamiętajmy jednak, że istniały takie również w Europie Zachodniej, skąd także mogli przybyć rycerze pod Grunwald. Co ciekawe, do armii Ulryka von Jungingena nie dołączyli m.in. ci z zamków w Świeciu, Kłajpedzie, Bytowie i Lęborku. Powodem może być to, że Krzyżacy nie planowali walnej bitwy konkretnie pod Grunwaldem. Obie armie kluczyły i spotkały się tam przypadkowo. Część z pozostałych w zamkach rycerzy zakonnych mogła też stanowić odwody, a inni po prostu zwlekali z ruszeniem na wojnę.

Jak pan powiedział, armię zakonną zasilili rycerze z Europy Zachodniej. Czy w źródłach można znaleźć informacje o przybyszach z innych regionów?

Pod Grunwaldem po stronie Krzyżaków walczyło, według mojej oceny, około stu znamienitych rycerzy – gości z Anglii, Francji, Niderlandów, Luksemburga, a nawet z Węgier. Służyli w chorągwi świętego Jerzego, którą dowodził Christoph von Gersdorff. Niektórzy z nich przybyli ze swoimi wojskami, na przykład książę oleśnicki Konrad VII Biały przyprowadził około 700 rycerzy. Najliczniej jednak ściągnęło zubożałe rycerstwo, tzw. ministeriałowie, z terenów Rzeszy. Krzyżacy mieli też liczne wojska najemne.

Dlaczego tylu rycerzy pokonało taką drogę aż do Prus?

Przed wielką wojną i soborem w Konstancji w latach 1414–1418, na którym ostatecznie uznano Litwę za państwo chrześcijańskie, zadaniem zakonu krzyżackiego było krzewienie wiary na Wschodzie. Walka z niewiernymi miała zapewnić ryce-



TOMASZ WASZCZUK / PAP

KRZYŻACY NIE PLANOWALI WALNEJ BITWY KONKRETNIE POD GRUNWALDEM. OBIE ARMIE KLU- CZYŁY I SPOTKAŁY SIĘ TAM PRZYPAD- KOWO

rzom zbawienie. Ci biedniejsi liczyli z kolei, że po wojnie zostaną przyjęci w szeregi zakonu, otrzymają nadania ziemi bądź sami uwłaszczą się na terenach zdobytych w Polsce i na Litwie. Pamiętajmy, że w epoce feudalnej ziemia była najwyższym dobrem. Najemnicy natomiast walczyli za pieniądze.

Wspomniał pan o walczącym pod Grunwaldem w armii zakonnej księciu Konradzie VII Białym, który wywodził się z dynastii piastowskiej. Czy inni Polacy również walczyli po stronie Krzyżaków?

Tak, bo ówczesny świat funkcjonował na innych zasadach niż współczesny. W średniowiecznej Europie nie istniały państwa narodowe. W świecie feudalnym jedyny punkt odniesie-

nia to władca. Podlegli mu wasale w zamian za nadane ziemie byli zobowiązani do służby wojskowej i udziału w wyprawach wojennych. Oczywiście kalkulowali sobie, co mogą zyskać od konkretnego władcy. Dlatego na przykład część rodów pomorskich w 1309 roku wystąpiła razem z Krzyżakami przeciw księciu Władysławowi Łokietkowi, co przeszło do historii jako zdrada Święców. Zatem pod Grunwaldem Polacy mogli znaleźć się zarówno w szeregach wojsk feudalnych z terenów państwa krzyżackiego, jak i wśród rycerzy ze Śląska i Pomorza Zachodniego, których władcy sprzyjali Krzyżakom. Jednym z nich był Ścibor ze Ściborzyc. Trudno natomiast potwierdzić udział w bitwie Polaków należących do Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Oni głównie byli tzw. półbraćmi, którzy pełnili funkcje pomocnicze związane z handlem, gospodarką i logistyką w państwie krzyżackim nad Bałtykiem.

Wojska króla Władysława i wielkiego księcia Witolda również stanowiły mozaikę etniczną...

Poza Polakami i Litwinami w ich szeregach walczyli Rusini. Trzy pułki smoleńskie podlegały królowi Jagielle i dowodził nimi jego rodzony brat książę Lingwen Semen Olgerdowicz. W wojskach polskich byli Mołdawianie, najemni Ślązacy, Czesi i Morawianie. Z kolei w armii Witolda znaleźli się Tatarzy i oddziały halicko-włodzimierskie. Dlatego Grunwald można nazwać pierwszą bitwą narodów w historii Europy. Walczyli w niej przedstawiciele ludów żyjących od Pirenejów na zachodzie po Księstwo Moskiewskie i Krym na wschodzie, od Wału Hadriana na północy po tereny Włoch i Macedonii na południu.

Tatarzy walczący pod Grunwaldem byli zbiegami ze Złotej Ordy?

Nie. W wojskach księcia Witolda walczyli Tatarzy krymscy, którzy wówczas ciążyli politycznie ku Wielkiemu Księstwu Litewskiemu.

Główną siłą armii krzyżackiej było ciężkozbrojne i średniozbrojne rycerstwo, a jak wyglądały oddziały polsko-litewskie?

Podobnie było po stronie polskiej. Rycerstwo walczyło zorganizowane w chorągwie. Liczebność polskich chorągwi nie przekraczała 200 rycerzy. Krzyżackie były liczniejsze, do 250–300. Wojska litewsko-ruskie i tatarskie to natomiast lekkozbrojna jazda. Szacuje się, że bitwie wzięło udział 51 chorągwi polskich i 40 litewskich przeciw 51 krzyżackim.

Po lekturze powieści Henryka Sienkiewicza „Krzyżacy” można odnieść wrażenie, że pod Grunwaldem starli się zakuci w stal rycerze zakonu ze słabo wyposażonymi Polakami oraz ubranymi w skóry i uzbrojonymi w dzidy Litwinami. Jakie były różnice w zbrojach i broni używanych przez rycerzy walczących po obu stronach?

W wypadku Polaków, Krzyżaków, ich gości i rycerzy najemnych w zasadzie różnice było widać tylko w osłonach głó-



wy, bo Krzyżacy nosili hełmy typu psi pysk, a Polacy – garnckowe z przyłbicą. Rycerzy obu stron chroniły niemal takie same zbroje płytowe lub mieszane, bo często robili je nawet ci sami płatnerze z Gdańska, Bremy czy Hamburga. Dlatego Jagiełło polecił swoim nosić słomiane opaski, aby mogli rozpoznać się podczas bitwy. Główną bronią walczących po obu stronach rycerzy były kopie i obosieczne miecze. Wojska Witolda miały różne lekkie skórzano-rogowe lub metalowe pancerze. Litwini i Rusini używali krótszych mieczy, a Tatarzy łuków i szabel.

W czasie trwającej wówczas wojny między Anglią i Francją, po latach nazwanej stuletnią, o wynikach bitew decydowali piechurzy, łucznicy i kusznicy. Jaką rolę tego typu formacje odegrały pod Grunwaldem?

Niewielką. Piechurzy używający do walki mieczy lub halabard nie uczestniczyli w głównym starciu. Oni chronili obozowiska i tabory. Na polach Grunwaldu do dziś znajdowane są co prawda groty strzał i fragmenty bełtów do kuszy, ale prawdopodobnie łucznicy i kusznicy byli tylko w armii zakonnej, która czerpała wzorce wojenne z Zachodu. Według historyków to była głównie bitwa kawalerska.

Co do nowinek technicznych, to obie strony pod Grunwaldem używały artylerii. Jaki miała ona wpływ na przebieg i wynik bitwy?

Brakuje informacji na temat tego, jaką Polacy dysponowali wówczas artylerią. Prawdopodobnie były to używane do ostrzału murów podczas oblężeń bombardy. Krzyżacy natomiast mieli tzw. puszkę, czyli bombardy na łożach drewnianych strzelające kamiennymi kulami, czyli „steinbuchen”. W ich arsenale były też „lothebuchen” na pociski ołowiane z zapalnikiem siarkowo-prochowym i lekkie działa dwuręczne, tzw. handbuchen. Debiut artylerii na polu bitwy w tej części Europy nie wypadł najlepiej. Głównymi skutkami jej użycia pod Grunwaldem były huk i dym.

Kto w tej bitwie pierwszy ruszył do walki?

Pierwsze działania zaczepne podjęły wojska Witolda. Jagiełło natomiast nie spieszył się z wyjściem na pole bitwy. Jego postawa zaniepokoiła wielkiego mistrza, który zaczął się obawiać, że król może czekać na posiłki. Dlatego rzucił do pierwszego ataku dużą część swych sił. Przez pierwsze dwie godziny Krzyżacy mieli przewagę. Wojska Witolda zaczęły opuszczać pole bitwy, a siły zakonne ruszyły w pogoń. Na polskim skrzydle krytyczny moment nastąpił, gdy Krzyżacy na krótko zdobyli chorągiew królewską. W czasach średniowiecznych jej utrata symbolizowała klęskę. Wielki mistrz postanowił wykonać decydujące uderzenie i ruszył do ataku na czele 16 odwodowych chorągwi. To był błąd. Ulryk von Jungingen zginął i szala zwycięstwa



Rycerzy obu stron chroniły niemal takie same zbroje, dlatego Jagiełło polecił swoim nosić słomiane opaski, by mogli rozpoznać się podczas bitwy. Główną bronią walczących po obu stronach rycerzy były kopie i obosieczne miecze.



przechyliła się na stronę polsko-litewską. Epilogiem starcia było zdobycie krzyżackiego obozu.

Czy opuszczający pole bitwy Litwini po prostu stchórzyli, jak to opisał w swej kronice Jan Długosz, czy może jednak zastosowali sprytny fortel?

Historycy skłaniają się ku tezie, że to był zaplanowany manewr taktyczny. Niezależnie jednak od tego, jak było naprawdę, reakcja Krzyżaków okazała się dla nich samych katastrofalna. Rzucili się w pogoń i w ten sposób siły zakonne uległy rozproszению. Dlatego w decydującym momencie na polu bitwy zabrakło rycerzy armii zakonnej.

Jakie inne błędy taktyczne doprowadziły Krzyżaków do klęski?

Ich główne grzechy to zbyt duża pewność siebie i brak dalekowzroczności strategicznej dowódców. Wielki mistrz nie docenił nie tylko umiejętności dowódczych Władysława Jagiełły i Witolda, lecz także potencjału militarnego Polski i Litwy. Kierowany poczuciem wyższości wobec wroga prawdopodobnie dał się wciągnąć w pułapkę.

Henryk Sienkiewicz w „Krzyżakach” opisuje również pułapki, jakie przygotowali oni na wroga, takie chociażby jak wilcze doły.



POD GRUNWALDEM WALCZYLI PRZEDSTAWICIELE LUDÓW ŻYJĄCYCH OD PIRENEJÓW NA ZACHODZIE PO KSIĘSTWO MOSKIEWSKIE I KRYM NA WSCHODZIE, OD WAŁU HADRIANA NA PÓŁNOCY PO TERENY WŁOCH I MACEDONII NA POŁUDNIU

PIOTR PLACZKOWSKI / EAST NEWS

To tylko fantazja pisarza. Jak mówiłem, miejsce i dzień bitwy były przypadkowe, więc Krzyżacy nie mieli czasu na przygotowanie jakichkolwiek pułapek.

Na obrazie Jana Matejki król Jagiełło stoi gdzieś w oddali. Dlaczego nie zaangażował się w walkę jak wielki mistrz? Czy dzięki temu miał lepsze rozeznanie sytuacji?

W dużej mierze tak. Władysław Jagiełło uczył się sztuki walki według wschodniego rytu rycerskiego, który pewne rozwiązania taktyczne zapożyczył od Mongołów. Tam ważną rolę podczas bitwy odgrywał obóz dowodzenia. Król miał też doświadczenie z walk na Wschodzie.

Jakie straty poniosły walczące strony pod Grunwaldem?

Tu znowu możemy mówić tylko o danych szacunkowych. Wiadomo na pewno, że zginęli niemal wszyscy zakonnicy, z Ulrykiem von Jungingen na czele. Kroniki podają, że poległo 203 braci zakonnych i zapewne spora część znamienitych gości. Pełne straty strony krzyżackiej sięgały co najmniej kilku tysięcy

zabitych, ale do dziś nie udało się odnaleźć miejsc pochówku większości poległych. Wiadomo, że ciała najważniejszych rycerzy odesłano do Malborka. Półtora roku później odnaleziono szczątki zaledwie około 400 osób i złożono je w kaplicy ustawionej na polu bitwy. Jeśli chodzi o stronę polską, Długosz co prawda podaje, że pod Grunwaldem zginęło tylko 23 polskich rycerzy, ale ta liczba jest mało realna, biorąc chociażby pod uwagę przebieg pierwszych godzin bitwy.

Podobno Polacy nie brali jeńców w tym starciu. Czy to prawda?

Nie, schwytano ich wielu, ale są informacje o zabijaniu rycerzy zakonnych. Obie strony szykowały się do rozgrywki na śmierć i życie, mającej rozstrzygnąć, kto rządzi w tym regionie feudalnej Europy. Zabicie wielkiego mistrza i jak największej liczby rycerzy zakonnych było korzystniejsze niż wzięcie ich do niewoli. Pamiętajmy, że celem Jagiełły było złamanie potęgi Krzyżaków. I to mu się udało. Bitwa pod Grunwaldem należy do kilkunastu starć w dziejach świata, które miały wpływ na bieg historii.

Czy ten sukces był dla Jagiełły zaskoczeniem?

Nie sądzę. Skala podjętych przygotowań wojennych, zgromadzone siły, pokazują, że polski władca liczył na zwycięstwo.

Dlaczego zatem później nie udało się zdobyć Malborka?

Powolny marsz armii polsko-litewskiej na Malbork dał czas Krzyżakom na otrząśnięcie się z szoku po klęsce. Jagiełło mógł przerzucić wojska dwa razy szybciej, ale musiał uwzględnić to, że nie wszystkie siły krzyżackie zostały zniszczone pod Grunwaldem. Część rycerzy uszła z pola bitwy. Pozostały też silne załogi w zamkach. Poza tym malborski zamek miał potężne umocnienia i był przygotowany na długie oblężenie, więc polski król nie zamierzał go zdobyć szturmem. Zakładał, że jeśli oblężenie potrwa rok lub dwa, to Krzyżacy zgodzą się na pewne ustępstwa polityczne. Na przeszkodzie w realizacji tego pomysłu stanęły choroby zakaźne, które dopadły oblegających, pogarszająca się pogoda, a w końcu odejście wojsk Witolda. ■

Dr hab. JAN GANCEWSKI jest profesorem w Instytucie Historii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Zajmuje się historią gospodarczą zakonu krzyżackiego w Prusach.

Triumfator spod Ciechanowa

PRZED STU
LATY ODRODZONE
POLSKIE WOJSKO ODPAR-
ŁO BOLSZEWICKĄ NAWALĘ.
W CYKLU **BOLSZEWIKA GOŃ**
POKAZUJEMY MAŁO ZNA-
NYCH, ZAPOMNIANYCH BO-
HATERÓW TAMTYCH BO-
WYDARZEŃ.

Historia Aleksandra Karnickiego pokazuje, jak niespodziewany może być los. Ten dowódca najlepszej formacji kawaleryjskiej carskiej armii nie przypuszczał, że kiedyś przyjdzie mu się zmierzyć z własnym wachmistrzem.

PIOTR KORCZYŃSKI

W 1920 roku, kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka, Aleksander Karnicki miał już ponad 50 lat i cieszył się sławą kawalerzysty, którą zdobył w licznych konfliktach zbrojnych Imperium Rosyjskiego w Azji i na froncie wielkiej wojny. Karierę wojskową rozpoczął w Oficerskiej Szkole Kawalerii w Twerze. Pierwsze doświadczenia bojowe natomiast zdobywał w korpusie ekspedycyjnym tłumiącym powstanie bokserów w Chinach i na wojnie rosyjsko-japońskiej. Błyskawicznie awansował – po wybuchu I wojny światowej otrzymał dowództwo 2 Zaamurskiego Pułku Kawalerii, a na początku 1916 roku w stopniu generała majora stanął na czele elitarniej Kaukaskiej Dywizji Kawalerii.

Być może wówczas zwrócił uwagę na jednego z najlepszych jeźdźców dywizji – wachmistrza

Siemiona Budionnego... Ich drogi jednak szybko się rozeszły, bo w 1918 roku Budionny służył już bolszewikom, a Karnicki przeszedł do I Korpusu Polskiego w Rosji i został zastępcą jego dowódcy, gen. lejtnanta Józefa Dowbora-Muśnickiego. Kiedy korpus rozwiązano, Karnicki wrócił na krótko pod rosyjskie sztandary w Armii Ochotniczej Antona Denikina. W styczniu 1919 roku był już oficerem Wojska Polskiego, zweryfikowanym do stopnia generała porucznika, jednak znajomość z Denikinem początkowo mocno zaważyła na przebiegu jego służby w armii Józefa Piłsudskiego.

MISJA DYPLMATYCZNA?

W Wojsku Polskim Karnicki był najpierw inspektorem kawalerii, a następnie dowódcą Frontu Wołyńskiego. Szybko jednak w sztabie Piłsudskiego przy-

Kawalerzyści gen. Karnickiego dokonali śmiałego rajdu do Ciechanowa, w którym znajdował się sztab sowieckiej 4 Armii. Tam zdobyli szyfry radiostacji i plany operacyjne nieprzyjaciela.



pomniano sobie, że służył u Denikina. Latem 1919 roku wódz białych odniósł kilka spektakularnych zwycięstw nad Armią Czerwoną. Pojawiła się wtedy szansa, że kolejna ofensywa doprowadzi do wyrzucenia bolszewików z Moskwy. Taką nadzieję żywiono zwłaszcza na Zachodzie. Brytyjczycy razem z Francuzami zaczęli naciskać na Piłsudskiego, aby udzielił on wsparcia wojskom Denikina. Ten zaś, choć mocno zaangażowany w wojnę z bolszewikami, wcale się do tego nie palił.

Denikin uważał, że Rosja powinna zostać odbudowana w granicach od Kalisza do Władywostoku. Dla Polaków takie stanowisko było nie do przyjęcia. Piłsudski jednak, by nie drażnić zachodnich sojuszników, wysłał we wrześniu 1919 roku do sztabu Denikina w Taganrogu na Krymie misję wojskową. Na jej czele stanął właśnie gen. por. Karnicki. Denikin z atencją przyjął swego byłego podkomendnego. Również inni oficerowie witali go z wielką radością, bo pamiętano jego dokonania w Armii Ochotniczej.

Denikin nie chciał jednak odstąpić od swych imperialnych planów nawet wówczas, kiedy sytuacja na froncie zmieniła się na jego niekorzyść. Dlatego w kwietniu 1920 roku Karnicki wrócił do kraju, ale jego misji nie uznano za fiasko. Generał zdołał bowiem ocalić na Krymie tysiące Polaków – wyprosił u Denikina, by rodacy mogli zostać bezpłatnie ewakuowani drogą morską do Rumunii.

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY

Po misji na Krymie Karnicki szybko musiał z dyplomaty zmienić się znowu w kawalerzystę – i w maju został dowódcą Dywizji Jazdy na Ukrainie. Nastąpiło to w momencie, kiedy jego byłym podkomendnym, Siemion Budionny, jako wódz 1 Armii Konnej, przybył z Kaukazu na front zachodni. Na początku czerwca jego Kozacy zmusili polskie wojska do odwrotu z Ukrainy i ruszyli za nimi w niszczycielski pościg. Początkowo jednak niewiele wskazywało, że Konarmia, jak ją nazywano w sowieckiej nomenklaturze, zdoła pokonać Polaków. 31 maja czerwoni kawalerzyści bezskutecznie starali się zdobyć Lipowiec. Na domiar tego z 14 Dywizji Kawalerii na polską stronę przeszły trzy szwadrony Kozaków kubańskich, którzy wcześniej służyli w armii Denikina. Oddali się oni pod komendę gen. Karnickiego, którego pamiętali ze służby w kaukaskiej dywizji.

Budionny jednak już 2 czerwca odzyskał inicjatywę. Jego 14 i 4 Dywizja Kawalerii wyparły Dywizję Jazdy znad rzeki Berezanki, a trzy dni później 1 Armia Konna zmusiła do odwrotu główne siły polskie. Dla Karnickiego i innych polskich dowódców Konarmia była niemiłym zaskoczeniem. Budionny połączył w niej niszczycielską taktykę Czynigis-



Gen. Aleksander Karnicki w 1920 roku ocalił na Krymie tysiące Polaków – wyprosił u Denikina, by mogli zostać bezpłatnie ewakuowani drogą morską do Rumunii.

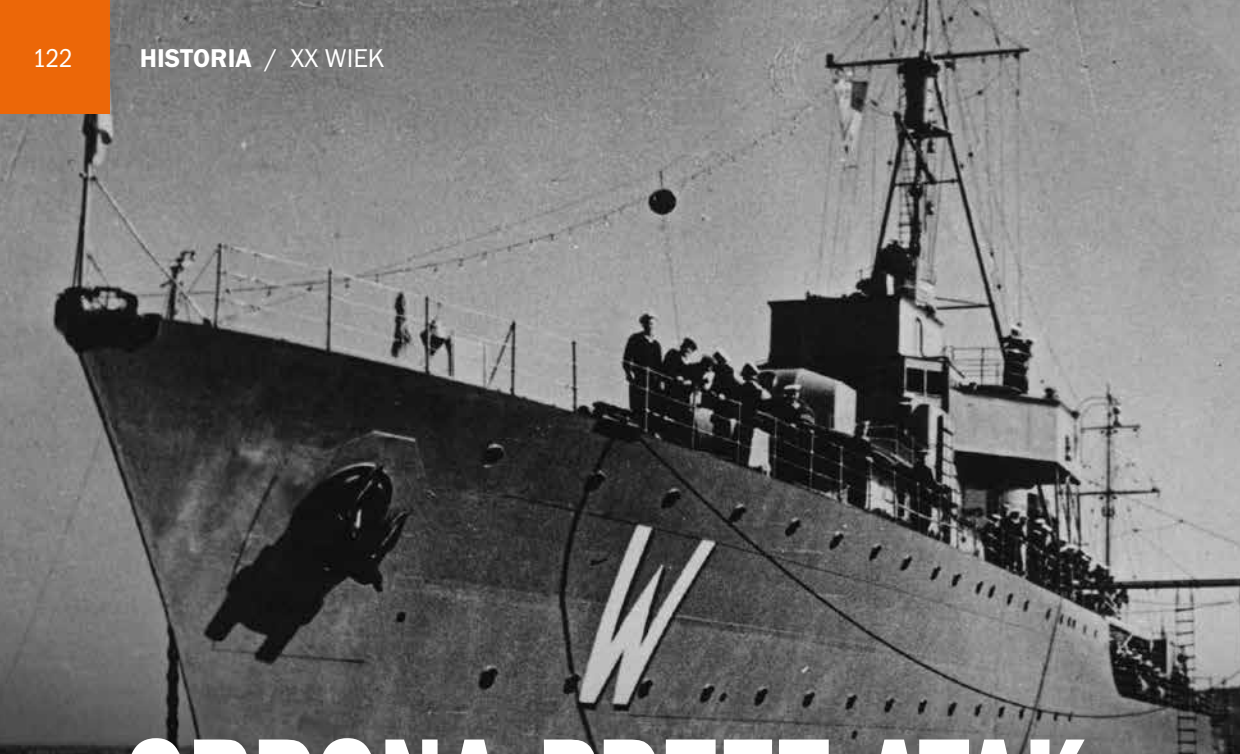
-chana z najnowszymi sposobami walki. Jego Kozacy siali spustoszenie na zajętych terenach. Wydawali się nie do powstrzymania na swych rącznych tatarskich koniach i taczankach z cekaemami. Jednak klasę dowódcy ocenia się nie tylko po jego zwycięstwach, lecz także po zdolności szybkiego podnoszenia się z porażek. Gen. Karnicki należał zaś do oficerów z klasą i szybko udowodnił, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Rewanż okazał się dla Sowietów wyjątkowo bolesny.

Latem 1920 roku gen. por. Aleksander Karnicki dowodził 8 Brygadą Jazdy, a następnie Grupą Jazdy, która obok 18 Dywizji Piechoty stała się trzonem 5 Armii. 14 sierpnia uderzyła ona na Sowietów nad Wkrą i na całej linii przeszła do ofensywy. Kolejny dzień należał do Karnickiego. Poprowadził on swoich kawalerzystów na śmiały rajd do Ciechanowa – 30 km za linię nieprzyjacielskie. Wtargnął do miasta, w którym znajdował się sztab sowieckiej 4 Armii, i zanim spanikowani sztabowcy zdążyli spalić radiostację, Polacy zdobyli jej szyfry i plany operacyjne armii. To był wielki sukces akcji, ale niejedyny. Niezwykle ważny był tutaj aspekt psychologiczny, bo Ciechanów był owiany legendą nadgranicznej twierdzy.

NIE SZCZĘDZĄC ŻYCIA

Po zakończeniu wojny Karnicki został odsunięty na boczny tor i w kwietniu 1921 roku przeszedł w stan spoczynku. Marszałek Piłsudski niezbyt lubił i cenił oficerów, którzy mieli za sobą służbę w armii carskiej, a już szczególnie byłych podkomendnych Dowbora-Muśnickiego. Karnicki jako zastępca dowódcy I Korpusu miał podobno prześladować jego przeciwników. Kiedy jednak nie znaleziono na to dowodów, zarzucono mu, że... jego żona w domu rozmawia tylko po rosyjsku. W 1922 roku Karnicki osiedli w Bydgoszczy i zajęli się edukacją dzieci: Jerzego, Borysa oraz bliźniaczek Nemi i Mary.

Obaj synowie wybrali karierę wojskową. Najstarszy, Jerzy, był pilotem oblatywaczem w 1 Pułku Lotniczym. Niestety, zginął 23 października 1930 roku. Jego samolot rozbił się na warszawskiej Woli. Borys natomiast wstąpił do Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu i został podwodniakiem – jednym z najlepszych. Tę opinię potwierdził jako dowódca ORP „Sokół”. Jego okręt był prawdziwym postrachem dla marynarzy państw Osi w czasie II wojny światowej. Kmdr por. Borys Karnicki musiał wziąć sobie do serca słowa z listu napisanego przez schorowanego ojca w sierpniu 1939 roku: „Co do Ciebie, kochany synu, jeżeli konflikt będzie rozstrzygnięty wojną, trzymaj się mocno, bądź na wysokości swego zadania, spełnij obywatelski obowiązek, nie szczczędaj siebie ani życia. Tak Ci dopomóż Bóg”.



OBRONA PRZEZ ATAK

Niewiele brakowało, by w 1933 roku doszło do wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Mieliśmy szansę ją wygrać. Wtedy prawdopodobnie doszłoby do upadku rządów Adolfa Hitlera. To jednak tylko jedna strona medalu.

MACIEJ NOWAK-KREYER

Wizyta niszczyciela ORP „Wicher” w Gdańsku w 1932 roku była manifestacją siły władz polskich i przyczyniła się do rozstrzygnięcia sporu o prawo stacjonowania okrętów Marynarki Wojennej RP w gdańskim porcie.

Granicy z Polską wyznaczonej po I wojnie światowej Niemcy nie akceptowali od początku. Uważali ją za narzuconą i krzywdzącą. Nie mogli się pogodzić ze stratą Wielkopolski, Gdańska wraz z częścią Pomorza oraz najcenniejszych rejonów Śląska. W 1925 roku, w ramach powojennej normalizacji stosunków, władze Niemiec podpisały w Locarno układy z państwami zachodnimi, gwarantując nienaruszalność tylko zachodniej granicy swojego kraju, co otwierało możliwość rewizji tej z Polską.

Rok 1932 to w Niemczech czas agresywnej walki Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, czyli NSDAP, o władzę. Na czele tej partii stał Adolf Hitler, który otwarcie negował postanowienia traktatu wersalskiego i domagał się przywrócenia dawnych granic Rzeszy. Marszałek Józef Piłsudski, de facto stojący wówczas na czele państwa polskiego, uznał, że najwyższa pora podjąć środki zaradcze. Najpierw należało jednak sprawdzić, w jakim stopniu Niemcy są skore do konfrontacji i czy uzyskamy wsparcie naszego głównego sojusznika, Francji.

KRYZYS GDAŃSKI

Okazja, aby sprawdzić nastawienie Niemców, nadarzyła się w czerwcu 1932 roku. Wolne Miasto Gdańsk było wówczas formalnie osobnym bytem, na którego terenie swoje prawa miały i Niemcy, i Polska. W 1931 roku władze Gdańska jedno-

stronnie wypowiedziały Polsce umowę pozwalającą na stacjonowanie w tamtejszym porcie (bez posiadania bazy) okrętów wojennych. Decyzję tę potwierdził Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze, odrzucając skargę Polski. Senat gdański postanowił, że polskie jednostki będą traktowane tak samo jak jednostki wszystkich innych państw.

Kiedy w połowie czerwca 1932 roku z wizytą do Gdańska wybrała się eskadra brytyjskich okrętów wojennych, Piłsudski zdecydował się na prowokację. Wysłał tam polski niszczyciel „Wicher”, żeby jako gospodarz przywitał Brytyjczyków. Załóżdże polecono, by na wszelkie możliwe utrudnienia ze strony niemieckiej reagowała ostro, z użyciem broni palnej włącznie. Gdyby doszło do obrazy polskiej bandery, okręt miał ostrzelać dowolnie wybrany budynek gdańskiej administracji. Władze gdańskie wówczas się ugięły i odnowiły umowę o używalności portu, a Rzesza powstrzymała się od zdecydowanej reakcji.

UDERZENIE WYPRZEDZAJĄCE

W styczniu 1933 roku kanclerzem Rzeszy został Adolf Hitler. W wywiadzie dla brytyjskiej gazety „Sunday Express” nowy niemiecki przywódca zdecydowanie negatywnie odniósł się do przebiegu wschodniej granicy Rzeszy i zapowiedział, że będzie dążył do jej zmiany. Co prawda, słowa te zostały wkrótce zdementowane, ale niepokój pozostał. Jeszcze bardziej zwiększyła go wysunięta w marcu przez Benita

AKT DRUGI

Do wojny przewencyjnej z Niemcami mogło dojść w 1936 roku, po tym jak 7 marca zremilitaryzowali oni Nadrenię. Minister spraw zagranicznych Józef Beck natychmiast poinformował swojego francuskiego odpowiednika, że w zaistniałych okolicznościach w razie rozpoczęcia przez Francję działań przeciwko Rzeszy Polska również zaatakuje Niemcy, wypełniając swoje zobowiązania sojusznicze. Sytuacja stała się tak napięta, że w Polsce spodziewano się rychłego ogłoszenia mobilizacji. Francja, za namową przeciwnych wojnie Brytyjczyków, postanowiła jednak nie ruszać na Hitlera. ■

Alfred Wysocki (na zdjęciu u góry), poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Polski w Niemczech, na początku maja 1933 roku z polecenia Józefa Piłsudskiego spotkał się z Adolfem Hitlerem, żądając, aby ten zaprzestał antypolskich działań i ingerencji w sprawę Gdańska. Po tej interwencji Hitler ustąpił.

W pierwszej połowie lat trzydziestych hitlerowskie Niemcy były jeszcze zbyt słabe, aby prowadzić wojnę, dlatego na drodze dyplomatycznej starały się załagodzić konflikt z Polską. Na zdjęciu od lewej: niemiecki ambasador w Polsce Hans Adolf von Moltke, marszałek Józef Piłsudski, minister propagandy i oświecenia publicznego III Rzeszy Joseph Goebbels oraz minister spraw zagranicznych RP Józef Beck na spotkaniu w Warszawie, 16 czerwca 1934 roku



Mussoliniego propozycja zawarcia paktu czterech, czyli ustanowienia grupy mocarstw złożonej z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji oraz Włoch, która rozstrzygałaby ważne kwestie polityki na kontynencie. Piłsudski, od początku przecistawiający się temu pomysłowi, uznał, że już najwyższy czas na samodzielne zabezpieczenie Polski przed Niemcami.

Skuteczną metodą mogła być wówczas wojna przewencyjna. Wobec militarnej dysproporcji między Rzeszą a Rzeczpospolitą taki konflikt stanowiłby w zasadzie tylko ekspedycję karną, do której przeprowadzenia wystarczyłyby same polskie siły. W 1933 roku, za sprawą ustaleń traktatu wersalskiego, niemiecka Reichswehra liczyła zaledwie 100 tys. żołnierzy. Nie miała broni pancernej, ciężkiej artylerii ani lotnictwa. Tymczasem Polska dysponowała 250 tys. żołnierzy, silnym lotnictwem, czołgami i pojazdami opancerzonymi, a do tego dużymi zapasami broni i amunicji. Polskie możliwości mobilizacyjne oceniano wówczas na 300 tys. rezerwistów.

TYLKO W DUECIE

Gdyby Hitler wówczas przegrał, doprowadziłoby to do utraty przez niego władzy. Jeśli jednak Polska samodzielnie zdecydowałaby się na taki krok, konflikt mógłby się skończyć izolacją Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej. Dlatego Piłsudski wojnę przewencyjną przeciwko Niemcom dopuszczał jedynie w duecie. Postanowił dyskretnie wyson-

dować francuskie stanowisko w tej sprawie, nieoficjalnie wysyłając do Paryża swoich ludzi. Bolesław Wieniawa-Długoszowski pojawił się tam w marcu 1933 roku, jako uczestnik zjazdu kombatanów I wojny światowej, żeby na gruncie towarzyskim dotrzeć do najwyższych rangą wojskowych i zbadać ich opinie. Senator Jerzy Potocki miał zaś złożyć wizytę francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych i nieoficjalnie przedstawić propozycję wspólnego ataku na Niemcy. Polska uderzyłaby na Prusy Wschodnie i Śląsk, Francja zaś miałaby wejść do Nadrenii. Obie misje dyplomatyczne zakończyły się niepowodzeniem.

Wspomnianym działaniom towarzyszyło tworzenie przez Polskę atmosfery zbliżającej się zbrojnej konfrontacji. Dzień po kolejnych wygranych przez NSDAP wyborach, 6 marca 1933 roku, obsadę polskiej placówki wojskowej na Westerplatte, liczącą 88 żołnierzy, zwiększono o kolejnych 120, bez pytania o zgodę Ligi Narodów oraz władz gdańskich. Była to kolejna pewnego rodzaju prowokacja, mająca sprawdzić gotowość Niemców do konfrontacji, a przede wszystkim możliwą reakcję państw zachodnich na starcie z Rzeszą. Oficjalny powód wzmocnienia garnizonu Westerplatte stanowiło zastąpienie policji portowej pozostającej pod kontrolą Polski przez gdańską policję miejską. W Europie władze Rzeczypospolitej zostały wówczas jednoznacznie potępione. Stwierdzono, że są agresywne i łamią





Józef Piłsudski dostrzegał narastający pacyfizm polityków francuskich i ich niechęć do podjęcia działań przewencyjnych przeciwko Hitlerowi. Na zdjęciu wizyta szefa dyplomacji francuskiej Louisa Barthou w Belwederze 22 kwietnia 1934 roku. Od lewej: ambasador Francji Jules Laroche, Piłsudski, Barthou, minister spraw zagranicznych Józef Beck oraz wiceminister Jan Szembek

umowy międzynarodowe. Ten kryzys zakończył się kompromisem – przywrócono w Gdańsku policję portową oraz wycofano dodatkowych żołnierzy z Westerplatte.

NIESPOKOJNA WIOSNA

Na Wielkanoc 1933 roku zaplanowano w Wilnie wielką rewię wojskową, sprowadzono tam więc 30 tys. żołnierzy. Wiele wskazywało na to, że taka koncentracja sił może służyć przygotowaniom do ataku. Pozostawało tylko pytanie, czy agresja zostanie skierowana przeciwko skonfliktowanej z Polską Litwie, czy też przeciwko Prusom Wschodnim. Być może ta demonstracja miała na celu wysondowanie stanowiska Związku Sowieckiego wobec ewentualnej akcji wojskowej przeciwko Niemcom.

Pod koniec kwietnia niemiecki poseł w Polsce Hans Adolf von Moltke alarmował Berlin o polskich działaniach wskazujących na przygotowywanie się do wojny. Donosił władzom o koncentracji wojsk w Wilnie, a także o przedłużeniu służby rezerwistów na terenach przyległych do granicy z Niemcami, koncentracji sił w rejonie Półwyspu Helskiego, powołaniu większej liczby roczników rezerwistów na ćwiczenia wojskowe oraz podwojeniu produkcji przemysłu zbrojeniowego. Na początku maja, z polecenia Józefa Piłsudskiego, polski poseł w Berlinie Alfred Wysocki spotkał się z Hitlerem, żeby przekazać mu żądanie zaprzestania mieszania się w sprawy Gdańska. Hitler ustąpił.

UDANY BLEF

Prawdopodobnie wówczas, po niepowodzeniu misji w Wiedniu i Pociągach, Piłsudski już tylko blefował, aby zastraszyć Hitlera. Groźba wojny przewencyjnej jednak poskutkowała – Niemcy zaczęli normalizować swoje stosunki ze wschodnim sąsiadem. Polski rząd, idąc za ciosem, nie usta-

wał jednak w naciskach. Na początku października 1933 roku, przy okazji obchodów rocznicy wiktoria wiedeńskiej, w Krakowie skoncentrowano znaczne siły kawalerii, postawiono również w stan gotowości wojsko w Wielkopolsce i na Śląsku.

Relacje między obu państwami dalekie były od przyjaznych. Gdy zatem 14 października Niemcy ogłosiły decyzję o wystąpieniu z Ligi Narodów, Piłsudski wysłał do Paryża z tajną misją Ludwika Hieronima Morstina, byłego współpracownika marszałka Ferdinanda Focha. Miał on tamtejszym władzom zadać dwa pytania: czy w razie zaatakowania Polski przez Niemcy Francja ogłosi mobilizację? I czy w takiej sytuacji skieruje całość swoich sił nad granicę niemiecką? Na oba Francuzi odpowiedzieli negatywnie, przez co Piłsudski zrezygnował z planów wojennych. Stwarzanie atmosfery zagrożenia atakiem na Niemcy doprowadziło jednak do upadku idei paktu czterech. Polski rząd ostatecznie postawił na uspokojenie stosunków z zachodnim sąsiadem, czego efektem był zawarty z Niemcami 26 stycznia 1934 roku pakt o nieagresji.

STRACONA SZANSA?

Wizja wojny przewencyjnej, która mogła doprowadzić do obalenia rządów Adolfa Hitlera, wydaje się kusząca, gdy ma się świadomość koszmaru lat 1939–1945. Trzeba jednak pamiętać, że z perspektywy ówczesnej społeczności międzynarodowej polską agresję na Niemcy zapewne oceniano by tak jak niemiecką inwazję z 1939 roku – jako bandycką napaść, zasługującą na jednoznaczne potępienie. Niemcy najpewniej poniosłyby klęskę, ale nawet upokorzone w końcu by się z niej podniosły. Możliwe, że i tak za cichą zgodą Zachodu zbudowałyby militarną potęgę i zacieśniły współpracę ze Związkiem Sowieckim. A kiedy napadłyby w końcu na Polskę, ich atak uznano by za odwet i nikt by się za nami nie ujął. ■

Jarosław Chrapek, specjalista ds. historycznych Domu Kultury Stare Babice, jednym tchem wymienia trzy flagowe projekty gospodarcze odradzającej się po latach zaborów Polski: port w Gdyni, Centralny Okręg Przemysłowy oraz Transatlantycka Radiotelegraficzna Centrala Nadawcza w Starych Babicach. Gdyby przetrwała do naszych czasów, zapewne trafiłaby na listę światowego dziedzictwa UNESCO, na którą wpisano podobną instalację w Grimeton w południowej Szwecji.

Dziś o unikatowym polskim obiekcie przypominają nazwy warszawskiej ulicy Radiowej, fortu i osiedla Radiowa, a także rozsiane po pobliskich lasach ruiny: resztki budynków, betonowe podstawy wież i budki wartownicze.

SZYBKIE ŁĄCZE PRZEZ ATLANTYK

Po odzyskaniu niepodległości Polska przejęła po zaborcach pracujące na falach długich i średnich stacje radiotelegraficzne. Były one jednak przestarzałe, dlatego w 1920 roku Ministerstwo Pocht i Telegrafów rozpoczęło budowę nowoczesnej sieci radiotelegraficznej. Stacje miały stanąć w Krakowie, Poznaniu i Grudziądzu, a w Warszawie zaplanowano centralę transatlantyckiej radiostacji. Jej wieże antenowe postanowiono wybudować kilka kilometrów na północny zachód od stolicy, między wsiami Wawrzyszew i Babice. Na tym terenie w XIX wieku znajdowały się poligon artyleryjsko-saperski oraz Fort II A Babice. W ciągu kilkunastu miesięcy naprzeciwko niego stanęły budynek nadajnika, elektrownia oraz dziesięć ogromnych wież antenowych, na których budowę zużyto 1770 t stali. Każda z nich miała blisko 130 m wysokości. Sercem radiostacji były dwa nowoczesne generatory maszynowe Alexandersona o mocy 200 kW każdy, zasilane 500-kilowatowym silnikiem Diesla. Sygnał nadawano alfabetem Morse'a.

„Polska uzyskała możliwość swobodnego komunikowania się z całym światem”, donosiła 18 listopada 1923 roku „Gazeta Poranna”. Dzień wcześniej prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski wymienił za pośrednictwem radiostacji oficjalne depesze z prezydentem Stanów Zjednoczonych Johnem Calvinem Coolidge'em Jr. Nadawano audycje radiowe dla Polonii oraz utrzymywano łączność z polskimi transatlantykami MS „Batory” i MS „Piłsudski”. Jak twierdzi Bartłomiej Kłęczar ze Stowarzyszenia Park Kulturowy Transatlantycka Radiotelegraficzna Centrala Nadawcza, aparatura



**Radiostacja
w Starych Babicach, cud
międzywojennej techniki,
stała się warszawskimi
Termopilami.**

radiostacji pozwalała na nadawanie do 30 słów na minutę latem oraz do 60 zimą. Po kilku latach przez nadajnik w Starych Babicach w eter szło 65% krajowej korespondencji.

BOHATERSKA OBRONA

„To dzięki radiostacji w Starych Babicach świat dowiedział się o wybuchu II wojny światowej. 1 września 1939 roku w świat wyszedł komunikat o napaści Niemiec na Polskę”, mówi Jarosław Chrapek. Komunikaty były nadawane do 8 września, kiedy to żołnierze niemieccy z 19 Dywizji Piechoty zajęli wsie leżące na zachód od Warszawy, m.in. Stare Babice, teren Boernerowa, fort II A oraz Transatlantycką Radiotelegraficzną Centralę Nadawczą. W kolejnych dniach toczyły się tam ciężkie walki.

13 września 1939 roku Naczelnny Wódz marszałek Edward Rydz-Śmigły wydał rozkaz, aby wysadzić w powietrze wieże i budynki techniczne nadajnika. Radiostacja nie została jednak zniszczona, bronili jej m.in. żołnierze III batalionu 26 Pułku Piechoty pod dowództwem mjr. Jacka Decowskiego, którzy mieli opóźnić wejście Niemców do

PRZERWANY SYGNAŁ

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Warszawy. Ponad 850 obrońców miało do dyspozycji: 751 karabinów, 19 ręcznych karabinów maszynowych i 12 ciężkich, 30 pistoletów, sześć granatników, dwa moździerze, trzy armaty przeciwpancerne i pięć raketnic. Przez kolejne dni batalion odparł zmasowane ataki artylerii niemieckiej i piechoty. Gen. dyw. Juliusz Rómmel, dowódca Armii „Warszawa”, we wspomnieniach „Za honor i ojczyznę” podkreślał wielką wolę walki polskich żołnierzy i ich brawurowe kontruderzenia.

27 września doszło do ostatecznej bitwy. Apoloniusz Zawilski w książce „Bitwy polskiego września” pisał: „Nieznany był los III batalionu 26 pp mjr. Jacka Decowskiego na wysuniętym ośrodku oporu Babice. Całe osiedle przykrywała gęsta chmura dymu i kurzu, a nieustanny grzmot potężnego ześrodkowania artyleryjskiego nasuwał obawę, że nikt żywy z tego piekła nie wyjdzie”.

Ranny mjr Decowski podjął decyzję o zaprzestaniu walki. Dowódcy Wehrmachtu nie chcieli wierzyć, że jeden polski batalion tak długo opierał się przeważającym siłom niemieckim. „Ci, którzy przeżyli, trafili do niewoli. Mieszkańcy opowiadali, że gdy polscy jeńcy maszerowali w kolumnie przez Babice, honory oddawali im żołnierze niemieccy”, opowiada Jarosław Chrapek. Żołnierze polegli w tych walkach spoczywają dziś na





Pomieszczenie z generatorami transatlantycznej stacji radionadawczej

Cmentarzu Wojennym w Starych Babicach, a bohaterska obrona radiostacji znana jest jako warszawskie Termopile (terminem tym określa się także obronę Bielan przez 30 Pułk Strzelców Kaniowskich). Co roku w ostatnią niedzielę września mieszkańcy upamiętniają żołnierzy, którzy zginęli w obronie radiostacji.

W OBCYCH RĘKACH

Ostatecznie Transatlantycka Radiotelegraficzna Centrala Nadawcza trafiła w ręce Niemców, którzy wykorzystywali ją do utrzymywania łączności z wojskami stacjonującymi w Europie Zachodniej oraz z jednostkami podwodnymi Kriegsmarine na Atlantyku. Podobno depeszowali nawet do Tokio w sprawie przystąpienia Cesarstwa Japonii do Paktu Trzech we wrześniu 1940 roku.

Gdy w sierpniu roku 1944 w Warszawie wybuchło powstanie, tereny wokół stacji zostały zaminiowane, wzmocniono motocyklowe patrole, a z jednej z wież antenowych okupanci obserwowali wojska Armii Czerwonej na wschodnim brzegu Wisły. „Był to najwyższy punkt w Warszawie, dlatego Niemcy utworzyli tu pancerne stanowisko obserwacyjne, żeby podawać koordynaty dla dział, które

ostrzeliwały walczącą stolicę”, mówi Jarosław Chrapek.

16 stycznia 1945 roku niemieccy saperzy wysadzili maszty antenowe oraz budynki techniczne nadajnika i generatora radiostacji w Babicach. „Poczynając od godziny drugiej po południu padały, przechylając się, wieże z długimi poprzeczkami, jak przewracane klocki”, wspominał inż. Edward Liberadzki, w latach 1928–1939 dyrektor Urzędu Radiotelegraficznego Boernerowo. Od walących się stalowych konstrukcji w promieniu kilku kilometrów drżała ziemia. Parę godzin później w tej okolicy pojawili się pierwsi żołnierze sowieccy.

RODZINNA HISTORIA

Najstarsi mieszkańcy gminy Stare Babice pamiętają blisko 130-metrowe wieże antenowe, które do 1945 roku górowały nad okolicą. Babcia Jarosława Chrapka Jadwiga Krejdener widziała, jak zostały one wysadzone. Wspominała, że dzień wcześniej Niemcy ostrzegli okoliczną ludność, aby zabezpieczyła szyby w oknach. Z babicką radiostacją związany był także Władysław Krejdener, pradziadek Jarosława Chrapka. W połowie lat dwudziestych ubiegłego stulecia był on konserwatorem tego



JAROSŁAW CHRAPEK, specjalista ds. historycznych Domu Kultury Stare Babice: „Historia radiostacji Babice nie jest zakończona. Dopisujemy jej kolejny rozdział. Dzięki staraniom naszego stowarzyszenia i życzliwości władz gminy przy Domu Kultury Stare Babice powstało Centrum Nauki – Radiostacja Transatlantycka”.



Moment podpisania umowy w sprawie budowy radiostacji. Od lewej: Hipolit Gliwic, Edwin P. Shattuck, książę Kazimierz Lubomirski, Stanisław Arct, Eugeniusz Stallinger, Edward J. Nally, Carl H. Ganter, David Sarnoff.

PO ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKA PRZEJĘŁA PO ZABORCACH PRACUJĄCE NA FALACH DŁUGICH I ŚREDNICH STACJE RADIOTELEGRAFICZNE. BYŁY ONE JEDNAK PRZESTARZAŁE, DLATEGO W 1920 ROKU **MINISTERSTWO POCZT I TELEGRAFÓW ROZPOCZĘŁO BUDOWĘ NOWOCZESNEJ SIECI RADIOTELEGRAFICZNEJ**

obiekty, pracował w ekipie, która malowała na białoczerwono wieże antenowe.

Jarosław należy do najmłodszego pokolenia Chrapków związanego z radiostacją. Stowarzyszenie, którego jest prezesem, dąży do tego, aby w miejscu, gdzie ona się znajdowała, założony został park kulturowy. W bemowskim lesie zachowały się fundamenty wież, cewek nadawczych czy wartownie z żelbetonu z napisem „Czuwaj”, a także systemy fortyfikacji polowych z walk we wrześniu 1939 roku oraz późniejsze niemieckie umocowania. „Takich obiektów jest około 70, można je wyeksponować jak te w Wilczym Szańcu”, uważa Jarosław Chrapek.

Dzięki działalności stowarzyszenia mazowiecki konserwator zabytków, prof. Jakub Lewicki, uznał, że pozostałości po babickiej radiostacji zasługują na ochronę. „Pozostają świadectwem światowej techniki radiotelegraficznej lat dwudziestych XX wieku i posiadają walor edukacyjny”, napisał w 2017 roku w decyzji o wpisie do rejestru zabytków. I dodał: „Dla mieszkańców Boernerowa i Starych Babic pamięć o roli stacji oraz zachowanie relikwów stanowi jedną z podstaw tożsamości”. Już dziś członkowie stowarzyszenia zabierają grupy turystów na dwukilometrowy spacer śladami radiostacji.

SPOŁECZNICY W AKCJI

„Historia radiostacji w Babicach nie jest zakończona. Dopuszczamy jej kolejny rozdział. Dzięki staraniom naszego stowa-

rzyszenia i życzliwości władz gminy przy Domu Kultury Stare Babice powstało Centrum Nauki – Radiostacja Transatlantyczna”, opowiada Jarosław Chrapek.

Członkowie stowarzyszenia mówią, że ich działalność opiera się na pięciu filarach: promocji, konserwacji, ekspozycji, ochronie i badaniach pozostałości po babickiej radiostacji. Wójt gminy Stare Babice Sławomir Sumka docenia rolę, jaką w dziele przywracania pamięci o radiostacji odgrywają stowarzyszenie, a także Związek Oficerów Rezerwy RP. „Chcemy pozyskać kolejnych partnerów – wojewodę, marszałka województwa, naszych sąsiadów z dzielnic Bemowo i Bielany. Podpisaliśmy już porozumienie o współpracy z Politechniką Warszawską, mamy nadzieję, że pozyskamy do Centrum Nauki wykładowców z Wojskowej Akademii Technicznej”, mówi Sławomir Sumka.

Społecznicy mają także w planach utworzenie muzeum, które pokazałoby nie tylko historię babickiej radiostacji, lecz także osiągnięcia polskiej techniki radiowej. Marzy im się przywrócenie radiostacji do życia, aby pojawiła się ona na falach eteru jako niekomercyjna rozgłośnia radiowa służąca do kształcenia młodzieży. „Chcemy zachować pamięć o jednym z najważniejszych symboli przedwojennej Polski, o budowniczych i pracownikach Transatlantycznej Radiotelegraficznej Centrali Nadawczej, a także o jej obrońcach z września 1939 roku”, podsumowuje Jarosław Chrapek. ■

Dzieci do wojska nie bierzemy

*Z Eugeniuszem Praczukiem
o trudnym dorastaniu w czasie wojny, początkach
służby w 1 Korpusie Pancernym 2 Armii Wojska
Polskiego i krwawej bitwie pod Budziszynem
rozmawia Piotr Korczyński.*

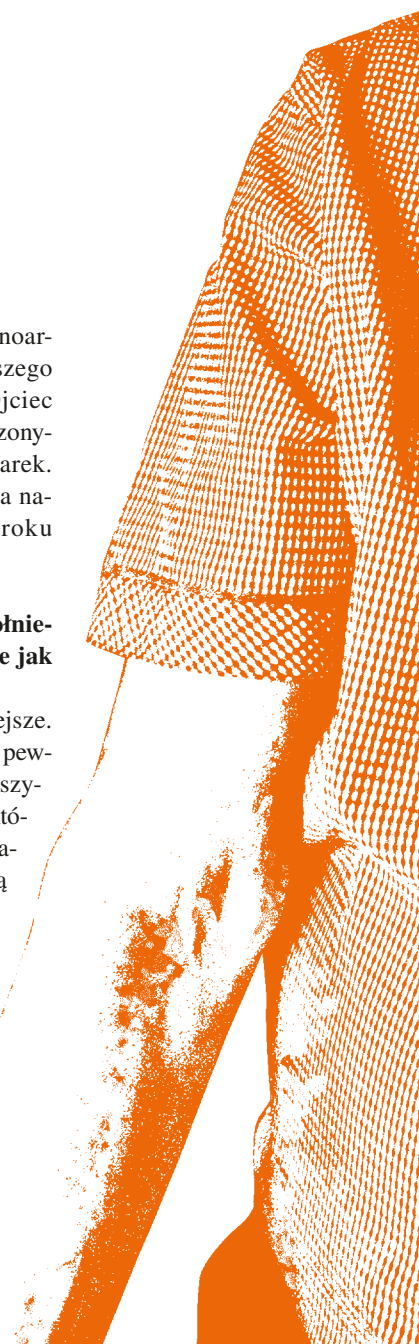
Jak pan się dowiedział, że wybuchła II wojna światowa?

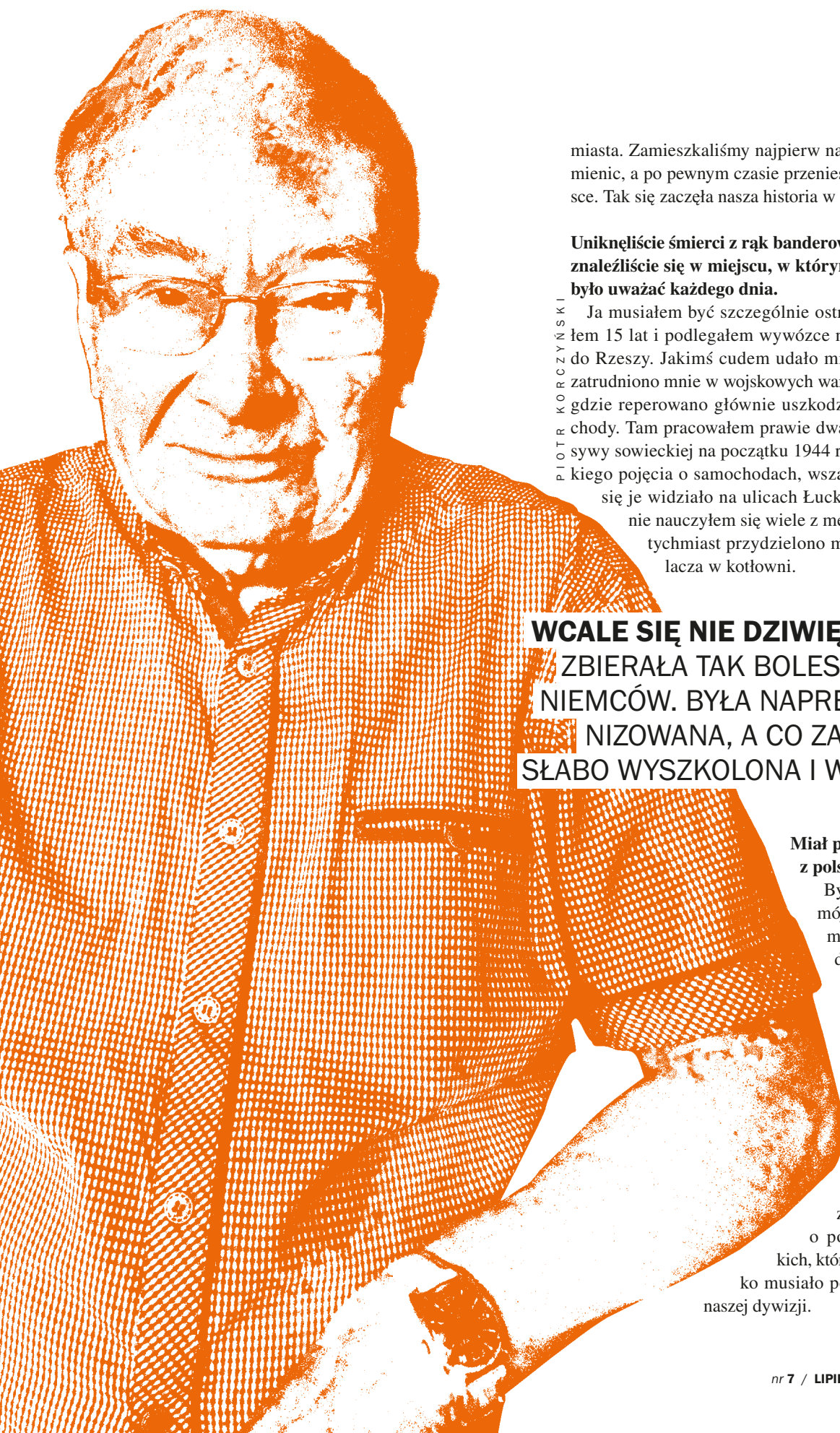
Mieszkaliśmy w Lelikowie w powiecie kobryńskim. Mieliśmy w domu radio, więc natychmiast dowiedzieliśmy się o niemieckiej agresji, zresztą bardzo szybko nad naszą okolicą pojawiły się samoloty Luftwaffe, które bombardowały niedaleki Łuck, gdzie stacjonowały oddziały polskiego wojska – 24 Pułk Piechoty. Celem dla tych bombardowców namierzał mój były nauczyciel niemieckiego, należący do mniejszości niemieckiej w Łucku. A robił to z wieży łódzkiej kirchy – świątyni ewangelickiej. Nadawał z radiostacji, którą otrzymał od Abwehry. Do nas jednak Wehrmacht wtedy nie dotarł. Po 17 września pojawili się natomiast Sowieci. Dobrze pamiętam wkroczenie Armii Czerwonej, a zwłaszcza jej dziadowski wygląd. Łachmaniarskie mundury, na głowach czapy z charakterystycznymi szpicami i naszytymi czerwonymi gwiazdami, długie karabiny na sznurkach lub powrozach. Konie – straszne chabety... Kontrast w porównaniu z naszym wojskiem był tym bardziej uderzający, że dobrze zapamiętaliśmy wielkie manewry z lata 1938 roku i przejazd kawalerii – żołnierze na pięknych koniach, w eleganckich mundurach i doskonałym oporządzeniu, i z lśniąco od czy-

stości bronią. Pamiętam, jak kilku czerwonoarmistów, wtedy we wrześniu, weszło do naszego mieszkania i zapytali, czy mamy broń. Ojciec zaprzeczył, więc wyszli, ale wraz z nieproszonymi gośćmi zniknął jego kieszonkowy zegarek. Jednak nic gorszego przed wkroczeniem na nasze tereny Niemców w czerwcu 1941 roku Sowieci nie zdążyli już nam zrobić.

Czy zajęcie waszej miejscowości przez żołnierzy niemieckich było równie błyskawiczne jak przez sowiecką kawalerię?

Jeszcze szybsze i znacznie dramatyczniejsze. Kiedy Niemcy zajmowali naszą wieś, to dla pewności najpierw ostrzelali ją z karabinów maszynowych. Wtedy zabili jedną z mieszkanek, która nieopatrznie wychyliła się z okna. Tak zaczęła się druga okupacja. Pod niemiecką władzą szybko uaktywnili się ukraińscy nacjonaliści. Rodzice zdecydowali się uciec do Łucka. To było po tym, jak mama poszła do ogrodu po pomidory i przypadkowo usłyszała, jak Ukraińcy śpiewali pod płotem: „Śmert, smert Łachom!”. Rzuciła te pomidory i przerażona przybiegła do domu. Prawie natychmiast wyjechaliśmy furmanką do





miasta. Zamieszkaliśmy najpierw na poddaszu jednej z kamienic, a po pewnym czasie przenieśliśmy się w inne miejsce. Tak się zaczęła nasza historia w Łucku.

Uniknęliście śmierci z rąk banderowców, ale jednocześnie znaleźliście się w miejscu, w którym na Niemców trzeba było uważać każdego dnia.

PIOTR KORCZYŃSKI Ja musiałem być szczególnie ostrożny, bo już skończyłem 15 lat i podlegałem wywózce na roboty przymusowe do Rzeszy. Jakimś cudem udało mi się tego uniknąć, ale zatrudniono mnie w wojskowych warsztatach naprawczych, gdzie reperowano głównie uszkodzone na froncie samochody. Tam pracowałem prawie dwa lata – do czasu ofensywy sowieckiej na początku 1944 roku. Nie miałem wielkiego pojęcia o samochodach, wszak przed wojną rzadko się je widziało na ulicach Łucka. I w warsztatach też nie nauczyłem się wiele z mechaniki, bo prawie natychmiast przydzielono mnie na pomocnika palacza w kotłowni.

WCALE SIĘ NIE DZIWIĘ, ŻE 2 ARMIA ZBIERAŁA TAK BOLESNE CIOSY OD NIEMCÓW. BYŁA NAPRĘDCE ZORGANIZOWANA, A CO ZA TYM IDZIE – SŁABO WYSZKOLONA I WYPOSAŻONA

Miał pan wówczas kontakty z polską konspiracją?

Byłem na to za młody, ale mój ojciec należał do Armii Krajowej. Pewnego dnia dostałem się do ekipy, którą Niemcy wysłali po drewno do lasów pod Kiwercami, gdzie stacjonowała 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK. Musiałem później ojcu zdać relację z całej drogi, interesowały go zwłaszcza informacje o posterunkach niemieckich, które mijaliśmy. To wszystko musiało później trafić do sztabu naszej dywizji.



Jak wyglądało ponowne zajęcie Łucka przez Armię Czerwoną?

Nawet tego nie zauważyliśmy. Niemcy błyskawicznie się wycofali, nie organizując żadnej obrony miasta. Wprawdzie gonili nas do okopania rowów przeciwczołgowych, ale one nie zostały wykorzystane. Kiedy wrócili tutaj Sowieci, to na wiosnę pod Kiwercami pojawiły się oddziały 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Wtedy postanowiłem zaciągnąć się do polskiego wojska. Wyruszyliśmy do Kiwerc we trzech. Po dotarciu na miejsce natknęliśmy się w lesie na dwóch polskich żołnierzy. Podeszliśmy do nich i mówimy: „Panie, my chcemy do polskiego wojska. Do kogo się zgłosić?”. Oni popatrzyli na nas i ze śmiechem odpowiedzieli: „No co wy, chłopcy, dzieci do wojska nie bierzemy. Wracajcie do domu”.

Drogo was kosztowała ta odmowa żołnierzy...

Wtedy przekonaliśmy się, jak doskonale Sowieci mieli zorganizowaną sieć konfidentów. Jeszcze dobrze nie wysiedliśmy z pociągu w Łucku, gdy podeszło do nas dwóch mundurów milicjantów i zakomenderowało: „Pójdziecie z nami”. Na posterunku bez pardonu wrzucili nas do piwnicy, jak worki. Kiedy przyzwyczaiłem się do ciemności, zauważyłem, że w tym areszcie siedziało więcej takich chłopaków jak my. Na przesłuchaniu usłyszałem pytania: „Gdzie byłeś? Zachciało ci się polskiego wojska? I co, wzięli cię do wojska?”. Śledczy wyraźnie kpił sobie ze mnie. Nie bił, ale te kpiny były boleśniejsze od ciosów. Z tego aresztu wyszedłem dzięki rodzicom, którzy bardzo dobrze znali język rosyjski i poruszyli niebo i ziemię, żeby mnie wyciągnąć.

Przecież teoretycznie było to wojsko tworzone za pozwoleniem Stalina. Mimo to za chęć włożenia polskiego munduru znalazł się pan na celowniku NKWD!

I na tym się nie skończyło. Pewnego dnia cała łucka młodzież otrzymała polecenie stawienia się na dworcu kolejowym z zapasem jedzenia na miesiąc. Załadowano wszystkich w bydłowe wagony i pociąg ruszył na wschód. Do Charkowa jechaliśmy prawie miesiąc, tylko nocami, bo w dzień trzeba było uważać na niemieckie naloty, a pierwszeństwo miały transporty wojskowe. W Charkowie nasz pociąg ze wszystkich stron obstawili kordon uzbrojonych żołdatów. Na dworcu odryglowa-

no drzwi wagonów, żebyśmy nabrali sobie wody na dalszą drogę i w tym momencie zauważyłem w oddali dwóch albo trzech żołnierzy w polskich mundurach! Nie zastanawiając się nawet, powiedziałem do najbliższych stojących dwóch kolegów: „Bierzemy menażki i kiedy będziemy przy pompie, uciekamy do naszych żołnierzy, ale nie w kupie, bo nas wtedy wystrzelają”. Rzeczywiście konwojenci zaczęli do nas strzelać, ale na szczęście niecelnie. Dobiegliśmy do tych żołnierzy z krzykiem: „Ratujcie, wiozą nas na Syberię!”. Oni zabrali nas do swojego wagonu. Okazało się, że jechała w nim drużyna polskich żołnierzy do Sum. Kazali nam szybko wskoczyć na prycze, nakryć się wojskowymi płaszczami i udawać śpiących żołnierzy. Po chwili usłyszeliśmy szum. Ściągający nas konwojenci zastukali do wagonu, ale nie odważyli się żądać rewizji. Tak ruszyliśmy w drogę powrotną do polskiego obozu wojskowego w Sumach.

Gdy tam dotarliście, powtórzyła się historia z obozu w Kiwercach?

Niemalże tak. Wprawdzie ja i moi koledzy byliśmy parę miesięcy starsi, ale i tak nie kwalifikowaliśmy się jeszcze do poboru. Kiedy w Sumach wyszliśmy na plac apelowy, tam czekali już komisja poborowa i tzw. kupcy, czyli oficerowie szukający rekrutów do różnych rodzajów broni. Kiedy stanęliśmy przed obliczem wasatego, starszego mężczyzny w stopniu sierżanta, on tylko na nas spojrzał i powtórzył to, co słyszałem parę miesięcy wcześniej: „Dzieci do wojska nie bierzemy”. Odeszliśmy prawie z płaczem. Co z nami będzie?! Jak wyjdziemy za bramę, od razu aresztuje nas NKWD. W tym momencie podszedł do nas młody podporucznik i powiedział: „Chłopcy, może szczęście wam dopisze, bo jutro przyjeżdża tutaj Zygmunt Berling z Wandą Wasilewską. Idźcie do niej i powiedzcie jej całą prawdę, nic nie kręćcie”. Tak też zrobiliśmy. Wasilewska wysłuchała nas uważnie i obiecała porozmawiać z dowódcą. Przekonała Berlinga i znaleźliśmy się w Wojsku Polskim zamiast w sowieckim łagrze!”.

W końcu włożył pan upragniony polski mundur.

O, munduru to jeszcze przez dłuższy czas nie widziałem. Odesłano nas do szkół podoficerskich. Mnie i jednego kolegę do łącznościowej, a trzeci trafił do piechoty. Kwatery mieliśmy



ARCH. PRYWATNE (2)



W ŻAGANIU NA CMENTARZU WOJSKOWYM SPOCZYWA 3 TYS. ŻOŁNIERZY 2 ARMII, W TYM TYSIĄC PANCERNIAKÓW! SAMI MŁODZI LUDZIE! A NA ILUŻ MOGIŁACH JEST TYLKO NN. WIELU Z NAS NIE MIAŁO NAWET NIEŚMIERTELNIKÓW...



**Kapral Eugeniusz Praczuk, 1944 rok.
Z lewej: na przepustce u rodziców, 1945 rok**

u kołchoźników, a nasza szkoła polegała przede wszystkim na musztrowaniu nas przez dwóch kaprali z przedwojennego Wojska Polskiego. Wszystko to robiliśmy w swoich cywilnych ubraniach. Dopiero po pewnym czasie przystąpili nam sorty mundurowe – jak się okazało, sowieckie. Po naszych protestach zmieniono je na bluzy polskiego kroju z pagonami. Pamiętam, jak przyszywałem do nich swe kapraleskie belki, które wyciąłem sobie... z troczków od kalesonów. Kiedy skończyłem szkołę podoficerską, wysłano mnie do szkoły oficerskiej.

Jaki był pański pierwszy przydział oficerski?

Pluton łączności w kompanii dowodzenia w 4 Brygadzie Pancernej 1 Korpusu Pancernego, który wówczas stał pod Chełmem. W jej szeregach ruszyłem na front i przeszedłem cały szlak bojowy, aż do Drezna w maju 1945 roku.

2 Armia Wojska Polskiego, do której należał 1 Korpus Pancerny, walczyła m.in. w jednej z najtragiczniejszych i krwawych bitew końca II wojny światowej – pod Budziszynem. Jak pan ocenia tę bitwę?

Wcale się nie dziwię, że 2 Armia zbierała tak bolesne ciosy od Niemców. Była naprędce zorganizowana, a co za tym idzie – słabo wyszkolona i wyposażona. Formacje niemieckie, które się z nią starły, rekrutowały się z zaprawionych w bojach regularnych żołnierzy. Przecież nasza 2 Armia do walki na froncie przygotowywała się jedynie kilka tygodni! Tym bardziej trzeba więc w pełni zobaczyć i docenić bohaterstwo jej żołnierzy. W Żaganiu na tamtejszym cmentarzu wojskowym leżą ich 3 tys., w tym tysiąc pancerniaków! Sami młodzi ludzie tworzą tę największą w Europie nekropolię żołnierza polskiego! A na iluż mogiłach jest tylko NN. Wielu z nas w 2 Armii nie miało nawet nieśmiertelników...

W walce zdarzało się, że czołgi naszej 4 Brygady nie miały wsparcia piechoty, co dla pancerniaków jest śmiertelnym zagrożeniem. Pewnego dnia wdarła się w pozycje brygady kompania fizylierów SS i zagroziła samemu jej sztabowi. Niemcy dotarli lasem aż do naszych dwóch sztabowych czołgów – jeden z nich należał do dowódcy brygady. Pierwszy ich zauważył chorąży o mickiewiczowskim nazwisku Robak i wszczął alarm. Wszyscy otworzyliśmy ogień ze swych automatów w kierunku fizylierów, a oni w naszym. Powstała jedna ściana ołowiu, ale w końcu odparliśmy ten atak. Nie wiem, ilu nieprzyjaciół wtedy trafiłem, może któregoś śmiertelnie? Nie znaleźliśmy później ani jednego zabitego żołnierza niemieckiego. Ci, którzy przeżyli, zabrali z sobą wszystkich martwych lub ciężko rannych towarzyszy. ■

PIK EUGENIUSZ PRACZUK w latach 1944–1945 służył w plutonie łączności kompanii dowodzenia 4 Brygady Pancernej I Drezdeńskiego Korpusu Pancernego 2 Armii Wojska Polskiego.



Von Janowski służył w armii niemieckiej i walczył pod Dieppe, ale też wstąpił w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

BOBBI, ANTYMISTRZ KAMUFLAŻU

To była najkrótsza misja szpiegowska II wojny światowej. Niemieckiego agenta w ciągu kilku godzin zdekonspirowali cywile.

ROBERT SENDEK

James Bond, najślynniejszy szpieg świata, jest przystojny, elegancki, sprawny fizycznie, a do tego potrafi wywieść w pole nawet najbystrzejszego przeciwnika. Ma gest, rzuca celne riposty i cieszy się powodzeniem u płci przeciwnej. Ian Fleming, autor serii książek o przygodach agenta Jej Królewskiej Mości, wyposażył swojego bohatera w cały zestaw cech i zachowań, które podejrzwał u kilku agentów brytyjskiego wywiadu z czasów II wojny światowej. Nie zapomniał przy tym o największej wartości każdego fachowca z tej branży: skuteczności. Agent 007 robi absolutnie wszystko, aby wykonać misję. Podobną dewizą kierowali się tacy mistrzowie wywiadu, jak Mata Hari, Oleg Gordijewski, Kim Philby, Duško Popov czy Krystyna Skarbek. W ich cieniu pozostają zaś ludzie, którzy nie zapisali na swoim koncie wielkich sukcesów, mogą za to „pochwalić się” mniej lub bardziej spektakularną porażką.

KANDYDAT TEORETYCZNIE IDEALNY

Na liście najgorszych szpiegów II wojny światowej wysokie, lecz mało zaszczytne miejsce zajmuje Werner von Janowski, niemiecki agent, którego w 1942 roku Abwehra skierowała do Kanady. Jego zadaniem było zbieranie informacji o alianckich konwojach odprawianych wówczas do Europy. Poważna sprawa: z Nowego Świata na Stary Kontynent płynęły liczne okręty przewożące sprzęt, broń, amunicję do europejskich sojuszników – Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego (w ramach programu „Lend-Lease”). W tym łańcuchu dostaw niemałą rolę odgrywała Kanada. Informacje na ten temat były dla nazistów niezwykle cenne, bo na ich podstawie wilcze stada U-Bootów miały przeprowadzać ataki na płynące do Europy okręty. Dodatkowym zadaniem von Janowskiego okazało się nawiązanie kontaktów ze środowiskiem kanadyjskich faszystów, skupionych wokół Adriana Arcanda, który sam siebie ogłosił kanadyjskim Führerem.

Do tak odpowiedzialnego zadania Abwehra wytypowała kandydata, który wydawał się idealny. Werner von Janowski urodził się w Olsztynie w 1904 roku w pomorskiej rodzinie niemieckiej. Pod koniec lat dwudziestych ubiegłego stulecia wyjechał do Kanady. Przez pewien czas mieszkał w Toronto i pracował na farmie w nieodległej miejscowości London. Ożenił się, podobno raczej dla majątku niż z miłości, z 19 lat starszą od siebie Olive Blanche Quance. Gdy małżonka skończyły się fundusze, rzucił ją i wrócił do Europy. Służył w armii niemieckiej i walczył pod Dieppe, ale też wstąpił w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Do misji w Kanadzie nadawał się zatem jak mało kto: znał kraj, mówił po francusku, sprawdził się jako żołnierz, na dodatek służył w bardzo wymagającej jednostce. Nikt nie wątpił, że da sobie radę we Quebecu. Przeszedł szkolenie w ośrodku Abwehry, gdzie otrzymał pseudonim „Bobbi”. Zaopatrzone go

W KANADZIE PANO- WAŁA PSYCHOZA STRACHU. WŁADZE UCZUŁAŁY MIESZ- KAŃCÓW WYBRZEŻA, BY ZWRACALI ONI UWAGĘ NA NAJMNIEJSZE SZCZEGÓŁY ODBIE- GAJĄCE OD NORMY

w kanadyjskie pieniądze, radiostację do przekazywania raportów i zapakowano na okręt podwodny, który miał dostarczyć tego niemieckiego agenta do brzegów Kanady.

REJS U-BOOTEM

Werner von Janowski wypłynął z Kilonii 26 września 1942 roku na pokładzie U-518. Walter Wittig, jeden z marynarzy na tym okręcie, wspominał później, że załoga U-Boota – nie znając celu misji – uważała von Janowskiego za oficera od zadań specjalnych. Zapamiętał jednak, że ten przy każdej możliwej okazji, których na okręcie nie było dużo,

z upodobaniem palił papierosy.

Załodze, zanim dostarczyła agenta na miejsce, udało się zatopić dwie alianckie jednostki, brytyjską i kanadyjską. Wreszcie 9 listopada 1942 roku nad ranem von Janowski postawił stopę na ziemi kanadyjskiej. Wylądował na półwyspie Gaspé, kilka kilometrów na zachód od rybackiego miasteczka New Carlisle. Dźwigał ze sobą dwie walizki: jedną z rzeczami osobistymi, a drugą z przenośną radiostacją, za której pomocą miał nawiązać kontakt z Berlinem, żeby przekazywać raporty. Po wyjściu na brzeg przebrał się, a mundur zakopał. Musiał teraz dotrzeć do najbliższej stacji kolejowej, kupić bilet i wsiąść w pierwszy pociąg jadący do Montrealu. Ruszył piechotą, ale po chwili zatrzymał się przy nim samochód: osobliwym zbiegiem okoliczności przejeżdżał tamtędy James E. Coull, konduktor kolejowy. Von Janowski przedstawił mu się jako obwoźny sprzedawca, pracownik North Electric Company, i wskazując na walizkę z radiostacją, wyjaśnił, że sprzedaje odbiorniki radiowe. Od Coulla dowiedział się, że pociąg odjeżdża dopiero po południu, więc miał dla siebie kilka godzin. Ponieważ sześć tygodni spędzonych na pokładzie okrętu podwodnego dało mu się we znaki, postanowił skorzystać z okazji i doprowadzić się do porządku. Dlatego konduktor wysadził go przed hotelem Carlisle, prowadzonym przez rodzinę Annett.

ZAPACH SMARU O PORANKU

W recepcji siedział Earle J. Annett, syn właściciela, chłopak młody i obrotny, a przy tym będący na bieżąco z tym, co się działo na świecie. Von Janowski przedstawił się, wyjaśnił, że przyjechał porannym autobusem, i poprosił o pokój na kilka godzin. Zamierzał się wykapać i zjeść śniadanie. Kiedy Earle relacjonował potem tę sytuację kanadyjskiej policji, zaznaczał, że właściwie wszystko wydało mu się w tym gościu dziwne.

O ile latem do New Carlisle zjeżdżało się sporo ludzi, o tyle w listopadzie wizyta każdej osoby stanowiła prawdziwe wydarzenie. W dodatku mężczyzna, choć przedstawił się jako Kanadyjczyk, mówił po francusku z osobliwym akcentem. Miał na sobie garnitur w stylu europejskim. Twierdził, że przyjechał porannym autobusem, tymczasem Earle widział, że przed hotelem wysiadł z samochodu. Poza tym wszyscy w miasteczku





ARCHIWUM NARODOWE KANADY

ABWEHRA SKIEROWAŁA WERNERA VON JANOWSKIEGO DO KANADY W 1942 ROKU, ABY ZBIERAŁ INFORMACJE O ALIANKICH KONWOJACH ODPRAWIANYCH WÓWCZAS DO EUROPY

Nieporadny szpieg został pierwszym podwójnym agentem w dziejach kanadyjskiego wywiadu.

dokładnie znali rozkład jazdy autobusów i wiedzieli, że porannego kursu po prostu nie ma. Ponadto wokół nieznanego unosił się osobliwy zapach smaru, który mógł się kojarzyć ze statkiem rybackim. Dla Earle'a, chłopaka, który całe życie spędził w nadmorskiej miejscowości, nie była to woń obca. A żeby tego było mało, nieznanemu za pobyt w hotelu zapłacił kanadyjskimi dolarami, które kilka lat wcześniej wycofano z obrotu.

To wszystko razem było na tyle podejrzane, że Earle opowiedział o wszystkim ojcu. Kiedy rodzina obejrzała zwolniony przez von Janowskiego pokój, odkryła jeszcze jeden zastanawiający detal: obcy zostawił w pokoju puste pudełko po papierosach. Nie było na nim kanadyjskiej banderoli, tylko napis: „Wyprodukowano w Belgii”.

PIERWSZY PODWÓJNY

Władze kanadyjskie uczuwały mieszkańców wybrzeża, by w związku z trwającą wojną zwracali oni uwagę na najmniejsze szczegóły odbiegające od normy. W kraju panowała więc psychoza strachu. Właściciele hotelu postanowili zatem na wszelki wypadek powiadomić policję o wizycie osobliwego gościa. Konstabl Alphonse Duchesneau z lokalnego

posterunku przyjął zgłoszenie, po czym błyskawicznie udał się na stację kolejową. W ostatniej chwili wsiadł do odjeżdżającego pociągu, w którym znalazł mężczyznę wyglądającego jak gość opisany przez Earle'a. Po krótkiej wymianie zdań poprosił go o pokazanie bagażu. Von Janowski już wiedział, co się święci, więc krótko odpowiedział: „To nie będzie konieczne. Jestem niemieckim oficerem”.

W ten sposób zakończyła się jedna z najkrótszych misji szpiegowskich, jakie przeprowadzono w czasie II wojny światowej. Od zejścia von Janowskiego z pokładu okrętu podwodnego na ląd do aresztowania minęło mniej niż 12 godzin. Pojmanym zajęli się najpierw policjanci w New Carlisle. W bagażu agenta oprócz radiostacji śledczy znaleźli m.in. pistolet, kastet oraz 6 tys. dolarów, wszystkie fałszywe albo wycofane z użytku.

Schwytanie von Janowskiego okazało się wielką gratką dla kanadyjskich służb bezpieczeństwa. Szybko przejął go kontrwywiad. Po przesłuchaniach złożono mu propozycję nie do odrzucenia: miał przejść na stronę Kanadyjczyków i przekazywać do Niemiec sfabrykowane informacje. Von Janowski został w ten sposób pierwszym podwójnym agentem w dziejach kanadyjskiego wywiadu. ■



ARCH. WITOLDA KRUCZKA

Kawaleria na letnisku

W albumie rodzinnym
powstańca warszawskiego
Witolda Kruczka
*ta fotografia
szczególnie
wywołuje jego
uśmiech.*

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Ułani byli wielką atrakcją
Niewachłowa z powodu
pewnego dość osobliwego
rytuału.

Podpis pod nią informuje: „Inka z żołnierzami stryja Józefa, 1932 r., Niewachłów”. Rozszyfrujmy go od tyłu. Niewachłów dziś jest częścią Kielc, a wtedy był urokliwą wsią, dość często odwiedzaną służbowo i pozasłużbowo przez żołnierzy kieleckiego garnizonu. Stryj Józef to kpt. Józef Kruczek, który w Kielcach pełnił służbę, a na wakacje zapraszał rodzinę do swego domku letniskowego w Niewachłowie. W czasie wojny polsko-bolszewickiej kapitan był dowódcą stacji radiowej, czyli radiostacji polowej, i jego bratanek Witold podejrzewał, że stryj był też oficerem wywiadu. Coś musiało być na rzeczy, bo po wybuchu II wojny światowej kapitan szybko znalazł się

w Wielkiej Brytanii i służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Po 1945 roku nie chciał wracać do kraju, tylko wyemigrował do Kanady. Ale nim to wszystko nastąpiło, nastoletni Witold prawie co rok przyjeżdżał z Częstochowy do stryja i kuzynki Inki.

W Niewachłowie pełno było wojska, jednak tradycyjnie największe zainteresowanie budzili zarówno wśród miejscowych, jak i letników kawalerzyści. To właśnie ułani pozują razem z Inką na zdjęciu. Dzięki nim też we wsi panował swoisty letni rytuał, który niewątpliwie przyciągał znacznie więcej wczasowiczów, a zwłaszcza wczasowiczek, niżby się można było po tych przedmieściach Kielc spodziewać. Witold Kruczek wspomina, że w pięk-

ne letnie dni, kiedy przepływający w pobliżu potok był oblegany przez letników, ułani przyjeżdżali poić w nim swe konie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że czynili to nago. Wypadali nagle z lasu i przejeżdżali galopem wzdłuż potoku, powodując pisk żeńskiej publiczności i okrzyki zgorszenia, jeśli akurat nad potokiem stała jakaś pruderyjna dama. Wówczas na złość jej powtarzali taki rajd kolejny raz, a nawet razy kilka... Oczywiście nigdy nie zdołano sprawców schwytać i pociągnąć do odpowiedzialności służbowej. Niewątpliwie trafne było szekspirowskie stwierdzenie jakiegoś żartownisia, że dzięki ułanom pod Kielcami kobiety mają najpiękniejsze sny nocy letniej. PK ■

WSPARCIE Z PARYŻA

Do Polski w 1919 roku przybyła Francuska Misja Wojskowa. W jej sztabie było ponad 400 oficerów, którzy dzielili się swoim doświadczeniem z polskimi żołnierzami.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Państwo polskie po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku musiało zmierzyć się z wieloma trudnościami związanymi z budowaniem niemal wszystkich struktur – od administracji, przez szkolnictwo, aż po wojsko – od podstaw. Jednym z głównych problemów na etapie tworzenia własnej armii było niejednolite wyszkolenie kadry, wcześniej służącej w trzech zaborczych armiach. Żeby przyspieszyć ten proces, dostaliśmy wsparcie z Paryża. W połowie kwietnia 1919 roku zaczęła bowiem u nas funkcjonować Francuska Misja Wojskowa (FMW).

BRATERSTWO BRONI

Polska i Francja od wieków utrzymywały ze sobą przyjazne stosunki. Od wstąpienia na tron w Polsce Henryka Waleczusza, a także potem oba kraje złączyły sprawy dyplomatyczne i dy-

nastyczne. Braterstwo broni stało się faktem w epoce napoleońskiej, kiedy to legiony gen. Jana Henryka Dąbrowskiego walczyły w interesie obu państw. Po upadku Księstwa Warszawskiego Polacy dalej bohatersko bili się m.in. w bitwie narodów pod Lipskiem. Francuzi uznali nas za najwierniejszych sprzymierzeńców, a nazwiska ośmiu najwybitniejszych polskich generałów uwiecznili na sklepieniach Łuku Triumfalnego w Paryżu. Wreszcie w 1917 roku – z inicjatywy Romana Dmowskiego i Komitetu Narodowego Polskiego oraz na mocy dekretu prezydenta Francji Raymonda Poincarégo – powstała Błękitna Armia gen. Józefa Hallera.

Dwa lata później Francja znów potwierdziła, że należy do nielicznych państw w Europie, które sprzyjają Polsce – wysłała do naszego kraju specjalną misję wojskową. Zgodnie z umową zawartą między rządami dwóch państw, jej celem



Minister lotnictwa Francji Laurent Eynac (czwarty z prawej) w towarzystwie dyrektorów fabryki, szefa Departamentu Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych płk. Ludomiła Rayskiego (drugi z prawej), szefa Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce Victora Denaina (w jasnym mundurze) oraz polskich i francuskich oficerów na terenie hali produkcyjnej Polskich Zakładów Skody SA na Okęciu. Warszawa, 1930 rok



MECZ RUGBY NA AGRYKOLI

Francuzi mieli duży udział w rozpowszechnianiu w Polsce rugby – dyscypliny sportu bardzo popularnej we Francji. Kpt. rez. Louis Amblard, który wraz z Francuską Misją Wojskową (FMW) przeniósł się do Warszawy, w czasie swej służby w armii był kierownikiem wydziału sportowego. 17 października 1920 roku z okazji powitania w Warszawie gen. Henriego Niessela zorganizował na boisku Agrykoli dwa mecze pokazowe rugby. Wzięli w nich udział francuscy oficerowie. Amblard zamierzał też zorganizować drużynę rugby w klubie Orzeł Biały. Zainteresował się nią mjr Charles Roucaud z FMW, który został grającym trenerem. W 1922 roku na misję do Polski przyjechał por. Maurice Baquet, zawodowy trener rugby. Również trafił do drużyny Orła Białego, w której grało coraz więcej francuskich żołnierzy. Potem trenował też zawodników z Akademickiego Związku Sportowego. ■



Pierwszym szefem Francuskiej Misji Wojskowej był gen. dyw. Paul Henrys, który dowodził nią od kwietnia 1919 roku do października 1920.

była współpraca z Naczelnym Wodzem w dziedzinie organizacji i wyszkolenia Wojska Polskiego oraz dowodzenia nim. Oficerowie reprezentujący wszystkie rodzaje broni mieli być doradcami technicznymi. Grupa specjalistów francuskich przejściowo liczyła nawet ponad tysiąc osób. Francuzi nie podlegali rozkazom polskich oficerów i sami również nie mogli ich wydawać.

W sierpniu 1920 roku oficerowie francuscy ściśle współpracowali z polskimi w przygotowaniach do obrony Warszawy przed wojskami bolszewików. Żołnierze znad Sekwany m.in. doradzali, w których miejscach i w jaki sposób budować fortyfikacje polowe oraz jak wykorzystywać przeszkody naturalne. Mieli również spory udział w planowaniu

obrony artyleryjskiej. Przy tej okazji, dzięki współpracy oficerów obu armii, powstało kilka instrukcji dla artylerzystów.

W ostatnich dniach przed bitwą gen. dyw. Paul Henrys, szef misji, wyznaczył swoich oficerów na technicznych doradców poszczególnych dowództw. Francuzi podzielili się wtedy swoją wiedzą np. na temat stanu gotowości bojowej artylerii – ostrzegali, że nie jest ona dostatecznie zaopatrzona w amunicję. Proponowali także wystawić na pozycjach artylerii dywizje odwodowe. Poza tym warto wspomnieć, że jeśli chodzi o zasługi w zwycięstwie nad bolszewikami, to Polacy doceniali gen. armii Maxime'a Weyganda, wojskowego delegata Francji w specjalnej misji angielsko-francuskiej ➔



Wiceminister spraw wojskowych gen. dyw. Kazimierz Fabrycy odznacza oficerów i podoficerów Francuskiej Misji Wojskowej lądowej i morskiej w Polsce.
Warszawa, 13 lipca 1932 rok

FRANCUSCY ŁĄCZNIICY ZAKOŃCZYLI SWOJĄ MISJĘ NAD WISŁĄ W LIPCU 1932 ROKU

obserwującej Bitwę Warszawską. Generał, który w swoim kraju był szefem sztabu generalnego, wykorzystał wówczas FMW jako organ wykonujący jego polecenia. Po triumfie nad bolszewikami przeciwnicy polityczni marszałka Józefa Piłsudskiego próbowali nawet przecenić rolę francuskiego wojskowego, mówiąc, że za tym zwycięstwem stoi właśnie on. Sam Weygand zaprzeczył temu w rozmowie z korespondentem znad Sekwany, którą cytowała „Gazeta Warszawska” z 21 sierpnia 1920 roku: „To zwycięstwo, które jest powodem wielkiego święta w Warszawie, jest zwycięstwem polskim. Przewidujące operacje wojskowe zostały wykonane przez generałów polskich na zasadzie polskiego planu operacyjnego”. Niemniej jednak polscy żołnierze nawet w prostych gestach doceniali pomoc, którą wówczas udzielili im Francuzi. Zdarzało się, że maszerujące pododdziały na widok francuskiego oficera śpiewały „Marsylianke”.

ODDZIELANIE TEORII OD PRAKTYKI

Początki wspólnej pracy nie były jednak łatwe. O trudnościach z wdrażaniem w życie zapisów umowy przypominała „Polska Zbrojna” z 14 lipca 1932 roku. W numerze poświęconym w większości polsko-francuskiej współpracy mjr dypl. Adam Przybylski w jednym z tekstów zauważył: „Rzecz zrozumiała, iż w praktyce – współpraca potoczyła się w pierwszym rzędzie łóżykiem prac nad organizacją i nad wyszkoleniem. Pod tym względem agendy Ministerstwa Spraw Wojskowych bardziej sprzyjały zadziernięciu zrozumienia i współdziałania. Natomiast praca wojenna polskiego Naczelnego Dowództwa biegła podówczas torem, znacznym przez zjawiska dla przybyszów z zachodu obce i częstokroć niezrozumiałe. Improvizowane w ogniu walki nieliczne dywizje polskie operowały na froncie o rozciągłości nie pozostającej w żadnym stosunku do ich siły liczebnej, mając naprzeciw siebie wroga, również o szczególnej organizacyjnie i psychicznie fizjognomii”. Lata wspólnej pracy przyniosły jednak efekty i udało się ustalić jednolite metody działania. Jak zauważył w tym samym numerze „Polski Zbrojnej” gen. Fonville, „metody wyszkolenia wreszcie scilały się w zupełnie określonej doktrynie; jest ona podyktowana doświadczeniem wielkiej wojny i zbliża się bardzo do doktryny przyswojonej przez wojsko francuskie”.

Francuzi od 1923 roku wspierali również rozwój polskiej marynarki wojennej. A pomocą naszym marynarzom służyła

Francuska Misja Morska. Jej pierwszy szef, kadm. Eugène Charles Jolivet, przyczynił się do organizacji broni podwodnej i administracji okrętowej. Po jego śmierci w 1926 roku francuskimi marynarzami dowodziło dwóch komandorów. Pomogli oni m.in. kupić okręty podwodne dla polskiej marynarki i wyszkolić podwodniackie załogi. Dzięki staraniom Francuzów polscy oficerowie mieli też ułatwiony dostęp do uczelni morskich nad Sekwaną oraz mogli odbywać staże w tamtejszej marynarce.

Podsumowując pracę francuskich oficerów na terenie naszego kraju, gen. Fonville dostrzegł wiele dobrych zmian w polskim wojsku od 1923 roku, o czym napisał w „Polsce Zbrojnej” z 14 lipca 1932 roku: „Od tego czasu rozwijało się ono stale. Udoskonalilo ono swego ducha, ujednolajnilo metody wyszkolenia, przyswoilo sobie wzorowa dyscyplinę. Jego żołnierz jest doskonały, śmiały, wytrzymały na próby i głód, zdolny do pokonywania największych przeszkód i ożywiony najlepszym duchem. Kadry są dobre. Odsetek podoficerów zawodowych zupełnie wystarczający, zaś oficerowie łączą zajmowanie swego zawodu z dumą z własnego munduru”.

IDEA WSPÓŁDZIAŁANIA

„Pracując dla Polski, pracujemy jednocześnie i dla Francji”, mówił płk Louis Faury, jeden z 13 francuskich wykładowców otwartej 15 czerwca 1919 roku Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego. Uczelnia powstała dzięki dużemu wsparciu FMW, która pomagała również Polakom rozwijać szkolnictwo wojskowe. Od 1921 roku do jesieni 1928 funkcję dyrektora nauk na uczelni piastował Faury, autor pierwszego w Polsce podręcznika taktyki ogólnej. Wychował on wielu polskich dowódców, a jeden z nich tak wspominał go w „Polsce Zbrojnej” w lipcu 1932 roku: „Nasiąkł już do krwi troskami Polaka. I dlatego, ilekroć w rządzie zasłużonych dla Polski cudzoziemców wymieniać ktoś będzie nazwisko płk. Faury’ego, w sercu słuchacza, oprócz podziwu, uznania i szacunku budzić się będzie jeszcze jedno uczucie, nierównie cieplejsze: uczucie braterstwa i koleżeństwa. Pułkownik, dzisiaj generał Faury, umiał zawiązać w Polsce węzły szczerzego koleżeństwa. Czy można się wydatniej przysłużyć idei współdziałania Polski i Francji?”.

Francuscy łącznicy zakończyli swoją misję nad Wisłą w lipcu 1932 roku. Uroczyste pożegnano ich 21 lipca w Hotelu Europejskim w Warszawie. ■



KRZYSZTOF KUBIAK

Śmiercionośna przesyłka

W 1964 roku Portugalczycy stanęli w obliczu wybuchu zbrojnej rebelii w trzeciej z ich afrykańskich prowincji zamorskich. Po Angoli i Gwinei płomienie wojny partyzanckiej ogarnęły północnomozambickie regiony Niassa i Cabo Delgado. Na czele największej, operującej z Tanzanii, organizacji partyzanckiej, noszącej nazwę Frontu Wyzwolenia Mozambiku (Frente de Libertação de Moçambique – FRELIMO), stał Eduardo Chivambo Mondlane. Ciekawa to postać. Był synem wodza szczepu z grupy plemiennej Tsonga. W wieku 12 lat wysłano go do szkoły misyjnej prowadzonej przez szwajcarskich prezbiterianów. Później uczęszczał do szkoły średniej w południowoafrykańskim Transwalu. Studia rozpoczął w University of the Witwatersrand w Johannesburgu, ale w 1949 roku został relegowany z uczelni i wydalony ze Związku Południowej Afryki, co wynikało z wprowadzanej wówczas polityki apartheidu.

Po powrocie do Mozambiku był już ukształtowany pogładowo w duchu antykolonialnym. Policja polityczna szybko wciągnęła go na listę niebezpiecznych wywrotowców i ostatecznie został deportowany do Portugalii. Prezbiteriańscy protektorzy umożliwili mu jednak przenosiny do Stanów Zjednoczonych i rozpoczęcie studiów w Oberlin College w Ohio. Tam uzyskał licencjat z antropologii oraz socjologii. Studia w Northwestern University w Evanston zaowocowały doktoratem. W 1956 roku ożenił się z poznaną pięć lat wcześniej Janet Rae Johnson. W późniejszej karierze biała amerykańska żona stała się pretekstem oskarżania go o zdradę czarnych ideałów, zaprzędanie się kolonizatorom, a nawet o współpracę z CIA.

W 1962 roku Mondlane wyjechał do Tanzanii, gdzie prezydent Julius Nyerere, patron FRELIMO, zaproponował mu stanowisko przewodniczącego frontu. Według niego był dobrym kandydatem jako człowiek z zewnątrz, rozpoznawalny na arenie międzynarodowej, ale bez powiązań plemiennych i miejscowego zaplecza politycznego. Kariera socjologa jako partyzanckiego przywódcy nie była długa. Zginął 3 lutego 1969 roku na skutek eksplozji przesyłki od amerykańskiej przyjaciółki Betty King. Paczka miała zawierać długo wyczekiwane książki. Najbardziej oczywista teoria zakłada, że za zamachem stała portugalska policja ochrony państwa (Polícia Internacional e de Defesa do Estado – PIDE). Nie jest to jednak oczywiste. Mondlane był bowiem centralną postacią kilku innych konfliktów. W samym FRELIMO trwała walka frakcyjna, w wyniku której część aktywistów przeszła nawet na stronę portugalską. Co więcej, o wpływy w Afryce wyjątkowo brutalnie rywalizowali wówczas Sowieci i Chińczycy. Jak widać, na tej arenie wielu było rozgrywających, którym mogło zależeć na śmierci Mondlanego. Jeżeli zabili go Portugalczycy, to finalnie obróciło się to przeciwko nim. Z chaosu, który zapanował w FRELIMO po stracie przewodniczącego, wyłoniło się bowiem nowe, znacznie bardziej zdeterminowane i nieprzejednane kierownictwo tego ruchu. Selektywna eliminacja nie po raz pierwszy w historii przyniosła rezultat skrajnie odmienny od zamierzonego. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK jest pracownikiem naukowym Katedry Nauk o Bezpieczeństwie na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ POWRÓT DO
PRZESZŁOŚCI

4

Kobylany

TROPEM MAŁYCH HISTORII

Można tam poczuć ducha walk partyzanckich, przejechać się czołgiem czy sprawdzić swoje umiejętności strzeleckie lub też choć na chwilę przenieść się w czasy zimnej wojny. Oto nasz historyczno-militarny przewodnik po Polsce.

PIOTR RASZEWSKI



PIOTR RASZEWSKI



B

ez tłumów, kolejek, za to z ekspozycjami skrywającymi wiele ciekawych historii. Te muzea najczęściej tworzą ludzie, którzy pielęgnują lokalne historie. Wybraliśmy kilka miejsc w Polsce, gdzie można się udać w wyjątkową podróż militarno-historyczną.

NA BIESZCZADZKICH POŁONINACH

Historyczno-militarną eskapadę rozpoczynamy na Podkarpaciu. Rejonie, który na przestrzeni lat był miejscem wielu działań wojennych. Rozgrywały się tam krwawe bitwy I wojny światowej, dochodziło do licznych starć z wojskami niemieckimi, oddziałami słowackimi, Armią Czerwoną, Ukraińską Armią Powstańczą, oraz akcji polskich partyzantów w czasie II wojny światowej i po niej.

Podróż przez wojenną historię tej krainy najlepiej rozpocząć w Krośnie, gdzie działa Prywatne Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych. Warto spędzić tam kilka godzin, żeby posłuchać niesamowitych podkarpackich historii, bo nikt tak pięknie nie opowiada o wojennych dziejach regionu jak twórcy krośnieńskiego muzeum. Każdy z 2 tys. eksponatów, od 30 lat gromadzonych przez Dorotę i Piotra Kiełtyków oraz Lesława Wilka, to odrębna historia. „Dokumentujemy w zasadzie każdy wątek historyczny pojawiający się w kontekście Podkarpacia. Jesteśmy jedynym muzeum w kraju, które ma na przykład ekspozycję poświęconą agresji Słowaków na Polskę czy funkcjonującej w Krośnie tylko rok przed wybuchem II wojny światowej Szkole Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich, jednemu z największych i najbardziej nowoczesnych ośrodków wojskowego szkolenia lotniczego w Europie i na świecie”, opowiada Lesław Wilk.

Wyeksponowanym wątkiem w krośnieńskim muzeum jest historia lotnictwa. Okazuje się bowiem, że miejscowa ziemia kryje wiele tajemnic związanych ze statkami powietrznymi z czasów II wojny światowej. „Liczba zniszczonych samolotów, m.in. w wyniku katastrof lotniczych, które się tu wydarzyły, jest wręcz porażająca. Wiele z tych maszyn można zobaczyć w naszej placówce”, zapewnia współtwórca krośnieńskiego muzeum i zaznacza, że oprócz tego w muzeum znajduje się kilkaset uni-

katowych pamiątek. „Mamy jedyny w Polsce w stałej ekspozycji muzealnej pojazd półgąsienicowy Kettenkrad, oryginalne drewniane tablice z obozu pracy przymusowej w Szebniach oraz komendantury sowieckiej tajnego kontrwywiadu Smiersz, a także skrzynkę pocztową z 1939 roku czy suknię ślubną uszytą ze spadochronu zrzutowego”, wymienia Lesław Wilk.

Współtwórca muzeum to również badacz historii oddziałów partyzanckich drugiej konspiracji na Podkarpaciu. W zbiorach znalazło się więc sporo wyjątkowych pamiątek z tego okresu. „To oryginalny ryngraf mjr. Antoniego Żubryda »Zucha«, dowódcy batalionu Narodowych Sił Zbrojnych, i odnalezione na miejscu zbrodni łuski rosyjskich naboju systemu TT kalibru 7,62 mm, które są śladem podwójnego zabójstwa dokonanego przez komunistycznego agenta Jerzego Vaulina na Antonim i Janinie Żubrydach”, przyznaje Lesław Wilk. Co ciekawe, część muzealnych zbiorów mieści się w oryginalnym schronie przeciwlotniczym z czasów II wojny światowej.

PARTYZANCKIM SZLAKIEM

Z Bieszczad wędrujemy na północ, na przepiękne tereny Roztocza. W tym regionie w czasie II wojny światowej partyzanci stawiali opór armii niemieckiej. Możemy zatem spotkać świadków tamtych czasów, którzy o nich opowiedzą, ale też tych, którzy dbają o to, by o wyjątkowych wydarzeniach dowiadywało się coraz więcej osób. Jeśli lubimy leśne wypady, warto wybrać się w głąb Puszczy Solskiej. Choć w gęstym lesie niełatwo się odnaleźć, drogowskazy wprost z Aleksandrowa doprowadzą nas do wyjątkowego miejsca.

W samym sercu puszczy znajduje się odbudowana przez pasjonatów historii ziemianka „Wira”, legendarnego dowódcy oddziału Armii Krajowej, por. Konrada Bartoszewskiego. Można tam zobaczyć, jak doskonale zorganizowany był tutaj ruch oporu, znany pod nazwą Rzeczpospolita Józefowska. Zresztą najlepszy tego dowód znajdziemy półtora kilometra dalej. W gęstwinie odtworzony został szpital leśny 665. Dzięki staraniom pasjonatów z Grupy Rekonstrukcyjnej „Wir” udało się odbudować fasadę wyjątkowego obiektu, który



Krosno



Na wizytę w krośnieńskim muzeum warto zarezerwować sobie kilka godzin, żeby wysłuchać wszystkich historii dotyczących wojennych dziejów regionu.

2

Aleksandrów

W Puszczy Solskiej odtworzony został szpital leśny 665, który w czasie wojny służył partyzantom Armii Krajowej.

NIEKTÓRE PLACÓWKI MUZEALNE, CHOĆ POŁOŻONE NA UBOCZU,

MAJĄ NIEPOWHTARZALNY UROK, CO CZĘSTO JEST ZASŁUGĄ SAMYCH WŁAŚCICIELI

mieścił salę operacyjną, salę chorych i pokój lekarski. Są tam też inne ślady partyzanckiej działalności oraz tablice historyczne i informacyjne, dzięki którym dowiemy się wszystkiego o losach oddziałów walczących pod osłoną lasu. Jeśli dodatkowo spotkamy miłośników historii, co nie jest czymś wyjątkowym, uraczą nas niesamowitymi opowieściami związanymi z tym miejscem.

Wiedzę o zamojskiej partyzancie można zgłębić też w nieodległym Muzeum Historycznym Inspektoratu Armii Krajowej w Bondyrzu. Zgromadzono tam unikatowe eksponaty: erkamy, pepesze, elementy partyzanckiego umundurowania, a także setki zdjęć i dokumentów, świadczących o historii Zamojszczyzny w latach 1939–1953. Poruszanie się po partyzanckim szlaku ułatwi aplikacja „Zamojskie drogi do wolności”, którą warto zainstalować w swoim smartfonie, wybierając się w podróż historycznymi szlakami Roztocza.

KIEDYŚ OGÓRKI, DZIŚ MUZEUM

Z Roztocza przenieśmy się na Polesie, bo tam też można zasmakować w historii, i to w monumentalnym wydaniu.

W przygranicznych okolicach Terespoła znajduje się część umocnień twierdzy brzeskiej, jednej z największych budowli fortyfikacyjnych w Europie. Twierdza ta nigdy nie odegrała do końca swojej roli militarnej, mimo to warto się tam zatrzymać, aby poznać historię fortecy, która miała ochronić Imperium Rosyjskie przed uderzeniem z zachodu i południowego zachodu, a nade wszystko pomóc trzymać w ryzach Polaków.

Władze nadgranicznej gminy stopniowo odnawiają obiekty forteczne. W dawnej prochowni w Kobylanach działa Gminne Centrum Kultury, organizujące m.in. wystawy zbiorów militarnych i regionalnych pamiątek. W 2019 roku ukończono restaurację znacznie większego obiektu – dzieła międzyfortowego w Kobylanach. Znajduje się tam muzeum, którego zbiory stale się rozrastają. „Mamy m.in. szablę z 1921 roku, pociski różnego kalibru, maski przeciwgazowe, zestaw do sprawdzania odczynników chemicznych czy pocztówki z różnymi polskimi formacjami wojskowymi”, zapewnia Dominik Litwiniuk, historyk sztuki, pracownik Gminnego Centrum Kultury w Kobylanach.





W CAŁEJ POLSCE MIEJSC SZERZEJ NIEZNANYCH, A WARTYCH ZOBACZENIA PODCZAS WAKACYJNEJ ESKAPADY, JEST NAPRAWDĘ WIELE

W odrestaurowanym budynku zgromadzono m.in. makiety wszystkich fortów znajdujących się po polskiej stronie. „Oba budynki są w samym środku gminy. Można powiedzieć, że one niejako same się reklamują, bo widać je z samochodów jadących trasą E30, czyli jednym z najważniejszych europejskich szlaków komunikacyjnych, łączących zachód ze wschodem Europy. Warto tu się zatrzymać, bo takich ciekawych obiektów mamy o wiele więcej”, mówi Krzysztof Iwaniuk, wójt gminy Terespol. Dlatego prawdziwą atrakcją jest samodzielna podróż z mapą i odkrywanie budowli, które pozostały po tej stronie Bugu. I pomyśleć, że po II wojnie światowej wiele z nich zostało przekształconych w magazyny, wykorzystywane przez zakłady i spółdzielnie produkujące przetwory,

m.in. słynne w tamtych czasach ogórki terespolskie, tak chętnie zamawiane swego czasu przez wojsko.

NIE TYLKO COUNTRY

Z Podlasia ruszamy na Warmię i Mazury, a tam warto zajrzeć do Mrągowo, kojarzonego głównie z muzyką country. Miłośnicy historii jednak znajdą tam również coś dla siebie, m.in. w Muzeum Sprzętu Wojskowego, które dziesięć lat temu założył pasjonat militariów Sławomir Trzeciakiewicz. Niewiele jest w Polsce miejsc, gdzie można zasiąść za sterami czołgu T-55. Ekspонатów jest około stu, większość z nich na chodzie. „Samych pojazdów gąsienicowych mamy kilkanaście, a naszą chlubą jest czołg T-34, autentyczny egzemplarz, który brał udział w filmie »Czterej pancerni i pies«”, zdradza Sławomir

Trzeciakiewicz. T-34 został tam jednak użyty jako czołg niemiecki. Można też obejrzeć bojowy wóz piechoty, samobieżną haubicę 2S1 Goździk, transporter opancerzony MT-LB czy ciągnik artyleryjski ATS. „Najstarszymi naszymi eksponatami są ciężarówki GMC CCKW oraz Dodge WC51 z czasów II wojny światowej. Mamy również sporą kolekcję

wozów dowodzenia i łączności, bo przecież istniał tu kiedyś 9 Ośrodek Szkolenia Specjalistów Łączności”, tłumaczy założyciel mragowskiego muzeum.

Oprócz pojazdów związanych z wojskiem są tam też inne samochody. „Jeżdżąc w różne zakątki kraju i gromadząc sprzęty wojskowe, przy okazji zbieraliśmy auta służące kiedyś milicji czy straży pożarnej”, wyjaśnia Sławomir Trzeciakiewicz. W zwi-

iedzianiu kolekcji nie powinna przeszkodzić nawet deszczowa pogoda, bo wszystkie ekspozycje znajdują się pod dachem.

Muzeum to miejsce przyjazne dzieciom. Na terenie jest plac zabaw z piaskownicą. Organizowane są też konkursy na najbardziej udaną kolorówkę i wręczone drobne nagrody.

POSTSOWIECKIE TAJEMNICE

Z Warmii i Mazur przenosimy się na Pomorze Zachodnie, a dokładnie do Podborska, leżącego na trasie między Białogardem a Tychowem. To właśnie tam działa jedyne w Polsce Muzeum Zimnej Wojny. Miejsce jest nieprzypadkowe, bo w oddalonej o około 50 km od Kołobrzegu miejscowości znajduje się obiekt 3001, czyli skład broni jądrowej, stanowiący część bazy atomowej wojsk radzieckich. Do niedawna miejscowości próżno było szukać na mapie, a o jej istnieniu wiedzieli tylko najwyżsi stopniem generałowie.

„W Polsce były trzy miejsca związane z bronią nuklearną. Te w Brzeżnicy-Kolonii i koło Templewa praktycznie nie istnieją. To zatem jedyny obiekt zachowany w oryginale w ponad 90%. Tylko tu możemy zobaczyć, jak w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku przechowywano głowicę nuklearną, jakie obowiązywały tutaj technologie i procedury”, zaznacza Paweł Urbaniak,

pracownik Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu i opiekun Muzeum Zimnej Wojny. I dodaje: „Mamy m.in. makietę pełnego kompleksu garnizonowego, elementy rakiety Scud-A czy radiometry do rozpoznawania skażeń. Zgromadziliśmy też wiele pamiątek po rodzinach żołnierzy, którzy tu stacjonowali”.

Ponieważ w muzeum pracują pasjonaci, największą atrakcją jest pogawędka z przewodnikami, którzy odpowiedzą na każde pytanie. Prawie każde. „Wiemy wszystko, co zostało odtajnione. To co było tajne, wyjechało razem z wojskiem radzieckim. Do tych informacji nie mamy dostępu, choć cały czas pojawiają się nowe wiadomości, którymi oczywiście dzielimy się z naszymi gośćmi”, zapewnia Paweł Urbaniak. Wybierając się do Podborska, warto więc zarezerwować nieco więcej czasu. Zwłaszcza że po wizycie w muzeum można jeszcze pospacerować po okolicznym lesie, który skrywa zimnowojenne tajemnice. Poza tym niespełna 3 km od Podborska znajdują się pozostałości byłego obozu jenieckiego Stalag Luft-4 dla pilotów alianckich, zestrzelonych na terenach III Rzeszy.

ARSENAŁ CZERWONEGO BARONA

Z zachodniego Pomorza ruszamy na południe – do Świdnicy, a dokładnie Witoszowa Dolnego. Jeśli bowiem planujemy wakacje w Sudetach i Górach Sowich, przystankiem obowiązkowym dla każdego pasjonata historii powinno być Muzeum Broni i Militariów. Znajdziemy tam niemal wszystko: poczynając od broni palnej – krótkiej i długiej – poprzez broń przeciwpancerną, armaty, transportery lekkie i opancerzone, na czołgach T-72, samolotach MiG-21 i Su-22 kończąc. „Mamy kilka zabytkowych eksponatów, ale także sprzęt, jaki używany jest w polskim wojsku i armiach wielu krajów”, mówi Sławomir Gabryś, kustosz muzeum. Perłą w kolekcji jest replika niemieckiego samolotu myśliwskiego Fokker Dr.I z okresu I wojny światowej. „Ta maszyna jednoznacznie kojarzona jest z Manfredem von Richthofenem. „Czerwony Baron”, as niemieckiego lotnictwa, podczas I wojny światowej spędził w Świdnicy część dzieciństwa”, wyjaśnia Sławomir Gabryś. Niewątpliwą atrakcją muzeum jest strzelnica, gdzie można sprawdzić swoje umiejętności.

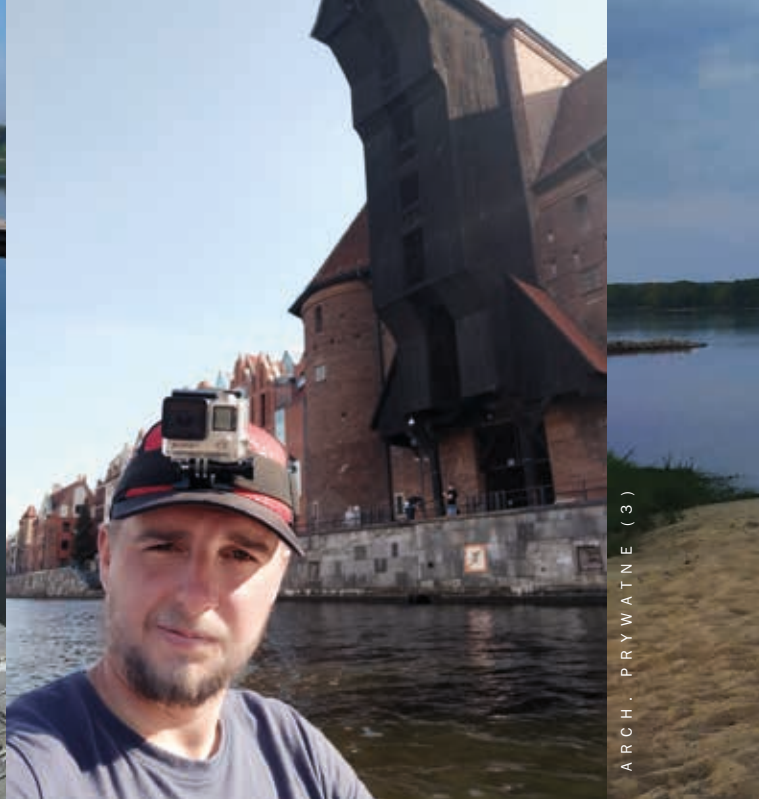
Propozycje z naszego przewodnika mogą uatrakcyjnić wakacyjny wypoczynek, ale też być inspiracją do tego, by na własną rękę szukać miejsc, w których można wręcz dotknąć historii. Niektóre placówki muzealne, choć czasem nieco na uboczu, mają swój niepowtarzalny urok, który często tworzą sami właściciele. Możemy być więc pewni, że uraczą nas niejedną ciekawą opowieścią czy anegdotą. Do zobaczenia na szlaku! ■



**Muzeum Historyczne
Inspektoratu Armii Krajowej**



ziemianka „Wira”



ARCH. PRYWATNE (3)

Wyprawa życia

Żołnierz z Gdyni przepłynął kajakiem 300 km Wisłą z Włocławka nad Bałtyk, aby pomóc w zbieraniu funduszy na leczenie chorego chłopca.

ANNA DĄBROWSKA

Szymon Machnowski po zakończeniu zasadniczej służby wojskowej postanowił związać się z armią na dłużej. „Po roku w cywilu włożyłem znowu mundur”, mówi. Od lat pasjonowało go lotnictwo, wybrał więc Szkołę Podoficerską Sił Powietrznych. Po jej ukończeniu służył m.in. na lotnisku wojskowym w Darłowie przy obsłudze radiolaterni bliższej, stanowiącej element systemu nawigacji. Od jesieni 2019 roku jest kontrolerem ruchu lotniczego w 43 Bazie Lotnictwa Morskiego. „Moim zadaniem jest zapobieganie zderzeniom statków powietrznych w czasie lotu i na polu manewrowym lotniska oraz utrzymanie sprawnego przepływu ruchu lotniczego”, tłumaczy bosmanmat.

POMOC DLA PRZYJACIÓŁ

Wolny czas lubi spędzać aktywnie. „Sport był w moim życiu od zawsze, to moje wielkie zamiłowanie”, przyznaje. Pasją Machnowskiego są podróże rowerowe, piesza turystyka górską, chętnie też pływa kajakiem. „Zaczęło się, kiedy jako młody chłopak popłynąłem z ojcem i chrzestnym na 160-kilometrowy spływ starorzeczem Warty spod Konina do Pozna-

nia”. Potem często jeździł nad jeziora lub rzeki, żeby uprawiać ten sport. Od wielu lat marzył mu się jednak spływ z rodzinnego Włocławka do Gdyni, z którą dziesięć lat temu związał swoje życie. „Nieuregulowana i malownicza Wisła mnie urzekła, ale nigdy jakoś nie mogłem się zmobilizować do takiej wyprawy”, opowiada.

Zdecydował się dopiero wiosną tego roku, ze względu na przyjaciół: Agnieszkę i Szymona Krejów. „Szymona poznałem, kiedy pracowaliśmy razem w ochronie w Gdyni”, mówi bsmt Machnowski. Dziś jego przyjaciel prowadzi salon detalingowy, w którym czyści, konserwuje i poddaje renowacji samochody. Służy też w ochotniczej straży pożarnej, a Agnieszka wychowuje dwóch synów: Kubę i Emilka.

„Emil to kochane, pogodne i radosne dziecko. Niestety, zaczął poważnie chorować jeszcze przed urodzeniem”, mówi mama chłopczyka. W 32. tygodniu ciąży stwierdzono u niego wodogłowie, czyli zwiększenie objętości płynu mózgowo-rdzeniowego w układzie komorowym mózgu. Doraźnie wszczepiono wtedy w główkę dren odprowadzający nadmiar płynu na zewnątrz, co ocaliło Emilka

PODCZAS SPŁYWU SZYMON NOCOWAŁ W NAMIOCIE ROZBIJANYM PRZY BRZEGU.

INTERNAUCI WYSŁALI MU MAPKI Z ZAZNACZONYMI WZDŁUŻ TRASY NAJLEPSZYMİ MIEJSCAMI NA NOCLEG

życie. Po porodzie lekarze założyli dziecku zastawkę komorowo-otrzewnową, odprowadzającą płyn z komory mózgu do jamy otrzewnej.

WALKA O KAŻDY KROK

Dziś trzyletni Emil nie chodzi, nie mówi, nie raczkuje. Nie jest samodzielny, ale dzięki intensywnej codziennej rehabilitacji robi postępy w rozwoju. „Ostatnio zaczął pełzać, a jak się go posadzi, utrzymuje równowagę”, cieszy się Agnieszka. Niestety, niedawno stwierdzono u chłopca również padaczkę. „Dlatego tak ważne są dalsze leczenie farmakologiczne i systematyczna rehabilitacja, na którą rodzice codziennie wożą Emilka”, tłumaczy Szymon Machnowski. Jeżdżą też z nim na kosztowne dwutygodniowe turnusy rehabilitacyjne. Na co dzień dziecko potrzebuje także sprzętu rehabilitacyjnego, takiego jak pionizator, który podtrzymuje mięśnie, dzięki czemu chłopiec może siedzieć lub stać. „Z tego, który używamy teraz, Emil powoli wyrosta, podobnie jak ze specjalistycznego wózka”, mówi Agnieszka Kreja.

Rodzina mieszka w bloku na czwartym piętrze bez windy, więc znoszenie i wnoszenie chłopca po schodach jest dużym kłopotem. W niedużym mieszkaniu nie ma też miejsca na cały sprzęt rehabilitacyjny. Na szczęście pojawiła się możliwość przeprowadzki na parter domu po babci Szymona

Krei, ale najpierw trzeba go wyremontować i zaadaptować do potrzeb niepełnosprawnego dziecka. „To wszystko wiąże się z ogromnymi wydatkami, a niestety firma Szymona z powodu pandemii podupada”, wyjaśnia Machnowski.

Rodzice Emila założyli na portalu Zrzutka.pl konto i zbierają pieniądze, a potrzeba 100 tys. zł, na sprzęt, rehabilitację i leczenie chłopca, a także na rozwój fundacji, którą zakłada Agnieszka. „Jej najważniejszym celem będzie pomaganie chorym dzieciom i niepełnosprawnym dorosłym”, tłumaczy.

PŁYNIEMY DLA EMILA

Szymon Machnowski, który kibicuje Emilowi w codziennej walce z chorobą, chciał się włączyć w pomoc przyjaciółom. „Uznałem, że samo wpłacenie pieniędzy to za mało, postanowiłem więc wesprzeć w inny sposób charytatywną zbiórkę na leczenie Emila”, mówi. Wpadł na pomysł kajakowego spływu Wisłą z Włocławka do Gdyni, aby w ten sposób nagłośnić akcję zbierania pieniędzy i zachęcić ludzi do wpłat. „Ze względu na pandemię odwołano egzaminy z wychowania fizycznego dla żołnierzy, dlatego uznałem, że przy okazji zapewnię sobie dodatkowy ruch”, dodaje. „To było dla nas ogromne zaskoczenie i radość, że Szymon zdecydował się na taką wyprawę dla Emilka”, mówi rodzice chłopca.



Rodzice Emila Krei zbierają pieniądze, na sprzęt, rehabilitację i leczenie chłopca. Potrzeby są duże, dlatego bardzo ucieszyli się z inicjatywy przyjaciela. „To było dla nas ogromne zaskoczenie i radość”, mówią.





SZYMON MACHNOWSKI: „MNIE SIĘ UDAŁO PRZEPLYNĄĆ I TERAZ MAM NA- DZIEJĘ, ŻE POPŁYNĄ TEŻ PIENIĄDZE NA KONTO EMILKA”

Jak opowiada bsmt Machnowski, w przygotowaniach do spływu pomagało mu wiele osób. Wytrzymały i pojemny kajak nieodpłatnie pożyczył Krzysztof Ruciński, trener z Gdyni. O resztę niezbędnego sprzętu, w tym kapok, rękawice, beczki na sprzęt i dokumenty, worki żeglarskie czy kółka do kajaka zadbał kolega, Wojciech Reclaf, też kontroler ruchu lotniczego, który prowadzi firmę organizującą spływy kajakowe na Kaszubach. „Kiedy w mediach społecznościowych pojawiła się informacja o akcji #płyniemydlaemilka, wielu internautów wysłało mi mapki z zaznaczonymi wzdłuż trasy najlepszymi miejscami na nocleg”, mówi bosmanmat, który postanowił, że podczas spływu będzie nocować w namiocie rozbijanym przy brzegu.

SZCZYTNY CEL

Machnowski wystartował 4 maja z przystani we Włocławku. Przebycie liczącej 300 km trasy zajęło mu tydzień. Zakładał, że dziennie będzie pokonywać około 40 km, ale pierwszego dnia udało mu się przepłynąć ponad 60 km, z kolei w następnych dniach nie zawsze pogoda pozwalała na takie tempo. Przeszkadzał głównie silny wiatr, choć bosmanmat musiał zmierzyć się też z innymi problemami. „Za Toruniem wyrzucił mi się kajak, a z powodu dużej fali i wirów ledwo udało mi się go odwrócić, wtedy na chwilę ogarnęło mnie zwątpienie, czy dam radę”, opowiada żołnierz. Po kilku dniach popsuł mu się namiot i jedną noc spędził pod wiatą przy temperaturze 3°C. Z opresji wybawił go mieszkający w Tczewie kolega z jednostki, który pożyczył swój namiot.

Szymon Machnowski podkreśla, że niezwykłym wsparciem był dla niego st. chor. sztab. w st. spocz. Jarosław Kubiak, były kontroler ruchu lotniczego z Pruszcza Gdańskiego, weteran z Iraku i Afganistanu, który od Sobieszewa towarzyszył mu na

swoim kajaku. „O wyprawie dowiedziałem się z internetu, a ponieważ kilka lat temu sam przepłynąłem tę trasę, wysłałem Szymonowi informacje, na co powinien uważać podczas spływu”, opowiada weteran. Postanowił też popłynąć kawałek trasy razem z Machnowskim.

„Chciałem chociaż w ten sposób go wesprzeć. Podoba mi się jego inicjatywa i sposób na rozpropagowanie zbiórki na szczytny cel”, dodaje Kubiak.

Ostatni etap wyprawy okazał się najtrudniejszy z powodu silnego deszczu, niskiej temperatury i wysokich fal. Plan zakładał wyjście na morze Przekopem Wisły, co wiązałoby się z koniecznością pokonania dość długiego odcinka na wodach wzburzonej Zatoki Gdańskiej. W związku z pogarszającymi się prognozami Machnowski zdecydował się na przepłynięcie do Gdańska Martwą Wisłą, a w końcowym odcinku po zatoce eskortował go zespół ratowników z grupy Lifeguard Gdynia. Wreszcie 11 maja po południu, w strugach deszczu i przy mętnej fali bosmanmat przybił do brzegu na plaży w Gdyni.

KOLEJNE WYZWANIE

„Mnie się udało przepłynąć i teraz, mam nadzieję, że popłyną też pieniądze na konto Emilka”, przyznaje żołnierz. Na razie z potrzebnej sumy udało się zebrać 14 tys. zł. „Namawiam wszystkich na wpłaty choćby złotówki na Zrzutka.pl/jv2usg, bo każda pomoc się liczy”, apeluje Machnowski i myśli już o kolejnej inicjatywie. Założył kanał podróżniczy na YouTube „Mów Mi Szymon”, gdzie opisuje swoją wyprawę i wrzuca filmy. W przyszłym roku chce znów przekuć pasję do podróży i aktywnego wypoczynku w pomoc innym. „Planuję zbudować tratwę i wraz z kilkoma osobami spłynąć Wisłą od źródeł do Bałtyku, tak aby wspomóc charytatywny cel”, zapowiada bsmt Szymon Machnowski. ■

Okupacyjny gen kreatywności

*Z Moniką Sołoduszkiewicz
o kartonowych guzikach, sukni ze spadochronu i modzie
w czasach wojny rozmawia Tomasz Gos.*

Współcześnie, na co dzień trendy w modzie wyznaczają projektanci. A jakie czynniki kształtowały ją w okresie II wojny światowej?

Moda czasu okupacji była pewnego rodzaju kompromisem między tym, na co można było sobie pozwolić, a tym, co było dostępne na rynku. Liczyła się pomysłowość, dzięki której udawało się to wszystko ze sobą połączyć i nieco urozmaicić. Stosunkowo niewielki procent społeczeństwa – grupy zamożne i uprzywilejowane – mógł sobie pozwolić na zakupy u najlepszych krawców albo sprowadzanie luksusowej odzieży z zagranicy. U innej, przeważającej części mieliśmy do czynienia z uwolnieniem genu kreatywności. I tak, pomimo utrudniających egzystencję nowych praw czy nakazów oraz postępującej pauperyzacji społeczeństwa, zdołano ocalić pozory normalności, a staranny dobór stroju nierzadko stanowił manifestację godności osobistej.

Ubiór okresu okupacji stał się kliszą zmian, jakie zachodziły w każdej dziedzinie życia – politycznej, społecznej, ekonomicznej. Nie bez wpływu na modę pozostawała poddana ścisłym zasadom reglamentacji gospodarka, dlatego też, opisując tę branżę, nie sposób zastosować jednego przejrzystego schematu. Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej w różnych państwach Europy, m.in. w zależności od modelu okupacji.

Wszelkiego rodzaju przeróbki ubrań wykonywano wtedy na własną rękę czy korzystano z zakładów krawieckich?

Punkty reperacji, cerowania i odnawiania ubrań cieszyły się dużym powodzeniem, z tym że ten segment rynku także podlegał ogólnym regulacjom. Od czerwca 1944 roku zakłady krawieckie przed przyjęciem zlecenia na uszycie nowej odzieży, miały obowiązek reperacji używanej. Podstawową zaletą starej garderoby był przede wszystkim dobrej klasy materiał, z którego wykonywano większość przedwojennych projektów. Popularne było także kopiowanie przez krawców zachodnich wzorców, i to najczęściej tych francuskich, w odróżnieniu od lansowanych przez okupantów niemieckich i austriackich projektantów. Francuskie żurnale docierały na polski rynek mimo zakazu dystrybucji ich za granicę.

Powszechne były wówczas przeróbki krawieckie, np. szycie bluzek, marynarek ze starych płaszczy czy koszul...

Wobec niemożności kupienia większej ilości materiałów wykorzystywano pozyskiwane paski tkanin. Dziś powiedzielibyśmy, że ubrania były patchworkowe. Różnokolorowe fragmenty cięto na kilkunastocentymetrowe pasy i zszywano, tworząc materiał na koszule, sukienki i spódnice. Skórę zastąpiono popularnymi skrawkami z irchy, z których przed wojną często szyto rękawiczki. Cięto ją na kwadraty i ozdabiano kontrastującym kolorystycznie, widocznym szwem.

W czasie II wojny światowej zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i na terenie okupowanej Polski bardzo popularne były broszury z poradami krawieckimi.





Farbki do barwienia ubrań, Wielka Brytania



Guziki „zastępcze” – erzac z tektury, Niemcy



Buty ślubne Antoniny Spandowskiej

Według nich odpowiednio ufarbowany koc mógł posłużyć za materiał na zimowy płaszcz. Spódnice można było uszyć, wykorzystując męskie spodnie. Z kolei tkanina do zaciemniania okien, którą kupowało się bez kartek, stała się popularnym materiałem na spodnie i halki. Chętnie wykorzystywano tkaniny obiciowe, grube zasłony i kilimy. Wykrój kapelusza można było przygotować ze starej gazety. Kolorowe swetry zrobić ze sprutych, wełnianych ubrań. Proste w użyciu barwniki służyły do farbowania tkanin i pozwalały na odświeżenie starej garderoby. Te elementy radzenia sobie z wojenną rzeczywistością są szeroko eksponowane na wystawie głównej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, gdzie znalazły się m.in. farbki do odzieży, wydawnictwa poradnikowe i wykroje.

Czy w czasie wojny moda męska była inspirowana strojami militarnymi?

W modzie męskiej trzymano się ram codziennej elegancji oraz modnego wówczas sportowego stylu. Przerabiano m.in. mundury i elementy umundurowania tak, by nadać im bardziej codzienny charakter. Taki strój nierzadko służył także wyrażaniu poglądów lub zamanifestowaniu poparcia dla walczących, choć noszenie elementów umundurowania i strojów nimi inspirowanych mogło okazać się po prostu niebezpieczne.

W modzie ważną rolę odgrywały detale. Czy podczas okupacji można było kupić guziki lub cekiny?

Ponieważ pojawiły się trudności ze zdobyciem dobrej jakości tkanin, materiałów pasmanteryjnych czy dodatków, rozwinął się nurt wykorzystujący naturalne surowce, takie jak rafia, drewno, korek. Na przykład guziki zastępowano elementami z drewna i kartonu, masy rogowej albo popularnego w przemyśle elektronicznym bakelitu. W 1940 roku w Generalnym Gubernatorstwie została wprowadzona ścisła kontrola handlu

wyrobami skózanymi, a rzemieślników otrzymujących przydziały zobligowano do używania skór w parze z drewnem i tworzywami sztucznymi. Buty na drewnianej podeszwie były dość sztywne i niewygodne, ponadto bardzo hałasowały w czasie chodzenia, więc z czasem opracowano modele z dzieloną drewnianą podeszwą, w której dwa fragmenty drewna spajano kawałkiem skóry, dzięki czemu stawały się bardziej elastyczne.

A jakie były popularne kobiece nakrycia głowy w czasie wojny?

Unowocześniano stare modele przez dodanie nowych wstawek, trójwymiarowych aplikacji ze świeżych czy suszonych kwiatów albo piór. Kapelusz jako element zbytkowny, niechętnie widziany na ulicy, z czasem zastępowano toczkiem z filcu, chustką albo turbanem.

Czy istniał wówczas czarny rynek deficytowych produktów ubraniowych?

Oczywiście. Do najbardziej poszukiwanych należały takie towary, jak kupony tkanin z prywatnego importu, ale też pończochy, galanteria skórzana, suknie, obuwie czy szmuglowane z zagranicy perfumy.

Ślub to wyjątkowy moment w życiu, wymagający szczególnej oprawy. Jak sobie radzono z ubiorem na tę okazję? Czy istniały na przykład wypożyczalnie sukien ślubnych?

Możemy zaobserwować diametralnie różne podejścia do kwestii wyboru stroju ślubnego podczas II wojny światowej, co widać na wystawie głównej w gdańskim muzeum. Na ekspozycji znajdują się m.in. granatowe czółenka Antoniny Spandowskiej, kupione z okazji ślubu w 1941 roku. Ich właścicielka tak opisywała ówczesne realia: „O białej sukni nie było mowy, po pierwsze – żałoba narodowa, po drugie – koszt itp. Ale coś



Suknia ślubna Betty Brass

stosownego trzeba było mieć. Były u mnie rzeczy matki. Wśród nich był piękny granatowy kostium. Buty i kapelusz kupiłam wcześniej. Buty – na kartki [...] były to granatowe czółenka, ładne, a jakże, i bardzo niewygodne, nie znosiłam ich”. Przykładem innego podejścia jest jedwabna suknia ślubna Betty Brass, uszyta z japońskiego spadochronu przywiezionego do San Diego przez jej przyszłego męża Jamesa Brassę, który służył w wojskach inżynieryjnych oraz jako członek amerykańskich sił okupacyjnych w Japonii.

W Polsce w czasie II wojny światowej sytuacja była szczególnie trudna, co przekładało się na to, w co się wówczas ubierano. A jak to wyglądało w innych krajach?

W Wielkiej Brytanii na przykład stosunkowo szerokie spodnice z klinów, jakie pojawiły się w prasie na sezon jesienny 1939 roku, szybko odeszły w zapomnienie. W czasie wojny dozwolone były dwie kontrafałdy i sześć szwów. Brytyjskie ministerstwo handlu wzięło na celownik także futra. Lisię skórki nie były co prawda racjonowane, ale jeśli ktoś sprawił sobie etolę powiedzmy z sześciu skrawków, za każdy z nich musiał oddać pięć kartek. W 1942 roku przedstawiciele rządu poprosili stowarzyszenie projektantów mody o opracowywanie modeli zgodnych z obowiązującymi normami, tak by przekonać kobiety, że surowość i prostota mogą być szykowne.

Z kolei w myśl General Limitation Order L-85, amerykańskiej ustawy wprowadzającej restrykcje na rynku tekstylnym, pewne elementy ubioru męskiego, takie jak kieszenie z kłapkami, zaszwewki w marynarkach czy mankiety spodni były zakazane. Na tym tle w Los Angeles w 1943 roku wybuchły zamieszki. Ich inicjatorami byli młodzi ludzie pochodzenia afro-

UBIÓR OKRESU OKUPACJI STAŁ SIĘ KLISZĄ ZMIAN, JAKIE ZACHODZIŁY W KAŻDEJ DZIEDZINIE ŻYCIA – POLITYCZNEJ, SPOŁECZNEJ, EKONOMICZNEJ

i latynoamerykańskiego, którzy nosili popularne od lat trzydziestych tzw. zoot suits, czyli garnitury, na które zużywało się ponadprzeciętne ilości materiału. Charakteryzowały je szeroka linia ramion, duże kłapy, obszerna marynarka i szerokie spodnie z licznymi zakładkami zakończone mankietami. Młodzi żołnierze marynarki reagowali na tak zbyt kowny styl niespotykaną agresją. Jak wskazują amerykańscy historycy, to jeden z pierwszych wypadków, kiedy ubiór miał wpływ na powszechne niepokoje społeczne.

storycy, to jeden z pierwszych wypadków, kiedy ubiór miał wpływ na powszechne niepokoje społeczne.

Czy wpływ lat wojny na modę był jeszcze widoczny po jej zakończeniu?

Surowe przepisy dotyczące racjonowania ubiorów uproszczyły kobiecą modę i ten stan utrzymywał się także po wojnie. W Wielkiej Brytanii pierwsze przepisy złagodzone w 1946 roku, reglamentacja trwała natomiast jeszcze trzy lata, a program racjonalnego wykorzystywania tkanin do 1952 roku.

Co czas wojny wniósł do światowej mody, jak zmienił jej oblicze?

Moda w pewnym stopniu przestała być tym, co kreowali projektanci zamknięci w swoich pracowniach, a stała się odzwierciedleniem ducha ulicy ze wszystkimi jego ograniczeniami, ale i niespotykaną kreatywnością. Poza tym inspiracje stylem militarnym każdego roku możemy obserwować na wybiegach, w wersjach mniej lub bardziej odbiegających od ich wojskowych pierwowzorów. ■

MONIKA SOŁODUSZKIEWICZ jest adiunktem i starszym specjalistą Działu Zbiorów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

KOMANDOSI KONTRA OBCY

Specjalsi są najczęściej pojawiającymi się żołnierzami na kinowych ekranach. Wszak prowadzone przez nich akcje to gotowe scenariusze na kasowe przeboje, i to nie tylko kina wojennego.

PIOTR KORCZYŃSKI



Twórcy filmów science fiction bardzo lubią konfrontować świetnie wyszkolonych żołnierzy oddziałów specjalnych z przybyszami z kosmosu, a przede wszystkim wrogimi cywilizacjami. Wówczas walka z nieznanymi istotami, przewyższającymi swą mocą i uzbrojeniem ludzi, staje się jeszcze bardziej emocjonująca. Często fabuła takich filmów jest jedynie pretekstem, żeby pokazać spektakularne efekty specjalne. Są jednak od tej reguły chlubne wyjątki. Niewątpliwie należy do nich „Predator”.

JESTEŚCIE TYLKO NARZĘDZIAMI

Film z 1987 roku początkującego wówczas reżysera Johna McTiernana na pierwszy rzut oka jest klasyczną strzelanką. Oto oddział amerykańskich komandosów pod dowództwem mjr. Alana „Dutch” Schaefera, którego gra będący wówczas u szczytu sławy Arnold Schwarzenegger, rusza do południowoamerykańskiej dżungli. Żołnierze mają uratować z rąk latynoskich partyzantów amerykańskiego senatora. Na miejscu okazuje się, że nie o polityka tutaj chodzi, lecz o wojskowych doradców, którzy szkolili przyjazne Stanom Zjednoczonym miejscowe oddziały paramilitarne. Komandosi odnajdują zwłoki Amerykanów (są one w strasznym stanie) i w odwecie niszczą obóz partyzantów, ale okazuje się, że to nie oni byli sprawcami masakry.

Na komandosów czyha w tropikalnym lesie znacznie groźniejszy przeciwnik. Z myśliwych zatem szybko zmieniają się w ofiary. Atakowani przez nieuchwytnego i niewidzialnego dla nich nieprzyjaciela – giną jeden po drugim mimo doświadczenia w walce i doskonałej broni. McTiernan po mistrzowsku stopniuje atmosferę zagrożenia i klaustrofobii, która panuje w bagnistej dżungli. Scena spotkania twarzą w twarz amerykańskiego oficera z przybyszem z kosmosu przeszła do historii kina nie tylko science fiction.

„Predator” to także czytelna aluzja do afery Iran-Contras, która wstrząsnęła prezydenturą Ronalda Reagana. W pamięci pozostaje zdanie wypowiedziane przez agenta CIA do Schaefera: „Jesteście tutaj tylko narzędziami...”.

Rok przed „Predatorem” miał premierę film „Obcy – decydujące starcie”, druga część dziś już kultowej serii science fiction. Jego twórca James Cameron inaczej poprowadził fabułę niż Ridley Scott w pierwszej części. „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” był kameralnym horrorem, w którym tytułowe monstrum polowało na kilku załogantów statku kosmicznego w jego ciasnych i mrocznych korytarzach. Cameron przydzielił ocalałej z pogromu Nostromo Ellen Ripley (Sigourney Weaver) oddział marines, czyli amerykańskiej piechoty morskiej, i wysłał ich kosmicznym krążownikiem na planetę, ponieważ stracono kontakt z tamtejszą kolonią osadników.



Często fabuła filmu jest jedynie pretekstem, żeby pokazać spektakularne efekty specjalne. Są jednak od tej reguły chlubne wyjątki.



MATERIAŁY PROMOCYJNE



Jeśli odrzuci się kosmiczny sztafaż, to dostrzeżemy, że reżyser oparł swój film na klasycznej historii westernowej, w której oddział kawalerii podąża na odsiecz osadnikom zagubionym i osaczonym przez Indian na prerii. Z tym że po dotarciu na miejsce w filmie Camerona sytuacja totalnie zaskakuje amerykańskich specjalsów, zbyt pewnych skuteczności wyszkolenia i broni. Ostatecznie udaje się zniszczyć siedlisko obcych w kolonii za sprawą Ripley, bo ona była przygotowana psychicznie do koszmaru, jaki czekał na ekspedycję ratunkową.

ŻOŁNIERZ Z PRZYSZŁOŚCI

Jedynym żołnierzem ocalałym razem z Ripley po starciu z obcymi był kpr. Dwayne Hicks. Grał go Michael Biehn, który we wcześniejszym filmie Camerona stworzył niezapomnianą kreację żołnierza z przyszłości – sierż. Kyle'a Reese'a. Chodzi o „Terminatora” z 1984 roku, który także ma status dzieła kultowego. W tym apokaliptycznym obrazie sytuacja jest odwrócona: to Reese, jako przybysz z przyszłości, jest w pełni świadomy niebezpieczeństwa grożącego ludzkości. W roku 2029 po wojnie jądrowej światem rządzą maszyny, które tropią i zabijają nielicznych ocalałych z kataklizmu ludzi.

Skuteczny opór przeciw zagładzie organizuje John Connor. Maszyny wysyłają w przeszłość wyglądającego jak człowiek cyborga – Terminatora T-800 (Arnold Schwarzenegger), który ma jedno zadanie: zabić Sarah Connor (Linda Hamilton) – matkę przyszłego przywódcy rebelii.

W ślad za elektronicznym mordercą (tak początkowo brzmiał polski tytuł filmu) rusza Reese. Po przeniesieniu się w czasie do Los Angeles w 1984 roku sierżant od razu ma problemy z prawem. Policjanci nie chcą słuchać jego ostrzeżeń nawet wówczas, kiedy do komisariatu dociera morderca, którego kule się nie imają... Na szczęście Reese zaczyna działać. Nie bez znaczenia okazały się tutaj jego doświadczenie i wyszkolenie w ruinach apokaliptycznego miasta z XXI wieku.

W tej historii można się dopatrzyć paraleli z obecną rzeczywistością. Czyż weterani powracający z misji do zwyczajnego życia nie mają podobnych problemów jak Kyle Reese, osamotniony na przepelnionych ludźmi ulicach miasta, gdzie toczy się normalne życie? Gdzie nikt nie chce słuchać o jakimś abstrakcyjnym zagrożeniu, które okazuje się być całkiem realne i bliskie. Jak przekonujemy się dzisiaj – warto słuchać futurologów... ■



ANDRZEJ FĄFARA

Oczywistości von Clausewitza



Z okrągłych rocznic, które w tym miejscu staram się upamiętnić, w czerwcu miałem do wyboru dwie: dotyczącą Carla von Clausewitza i związaną z zaciąganiem wielbłądów do armii Stanów Zjednoczonych. 240. urodziny von Clausewitza wydały mi się okazją godniejszą powagi „Polski Zbrojnej”. Absolwenci wszelakich szkół wojskowych powinni wiedzieć, o kim mowa. Chodzi o pruskiego generała, uznawanego za jednego z najwybitniejszych teoretyków wojny, którego kariera wojskowa przypadła głównie na czasy napoleońskie.

Ten mistrz strategii w swoim własnym życiu stosował, zdaje się, taktykę zmienianą, bo zaczął służyć w wojsku pruskim, następnie na wiele lat zaciągnął się do armii rosyjskiej, a potem przeprosił się z rodakami i w bitwie pod Waterloo był szefem sztabu armii gen. Johanna von Thielmanna. Cały czas, a zwłaszcza gdy kilka lat po upadku Napoleona został dyrektorem berlińskiej Akademii Wojskowej, interesował się teorią wojny. Spisywał na bieżąco swoje przemyślenia, ale ich zbiór zawarty w książce „O wojnie” ukazał się, dzięki staraniom żony, dopiero po jego śmierci.

Co ciekawe, dziś polskie wydanie dzieła von Clausewitza można kupić bez trudu w internecie w formie audiobooka. Teoria wojenna sprzed prawie 200 lat w nowoczesnej edycji. To oznacza, że wciąż jest na tę książkę zapotrzebowanie, że wciąż myśli pruskiego generała komuś wydają się atrakcyjne. Ja akurat do tej grupy nie należę. Uważam, że spostrzeżenia von Clausewitza mają wartość wyłącznie historyczną. Z dzisiejszego punktu widzenia jest to zbiór oczywistych oczywistości, często błyskotliwych, które da się wykorzystać w komentarzach i felietonach. Na przykład coś takiego: „Wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami”. Albo to: „Pokój to zawieszenie broni pomiędzy dwiema wojnami”.

Zainteresowały mnie polskie wątki związane z von Clausewitzem. Po wybuchu powstania listopadowego, gdy do końca nie było wiadomo, w którą stronę sprawy się potoczą, Prusy wysłały w pobliże granicy Wielkopolski z Królestwem Polskim tzw. armię obserwacyjną. Szefem sztabu był w niej von Clausewitz. Tuż po upadku powstania generał zmarł na cholerę w należącej wówczas do Prus Wrocławiu i tam został pochowany. Po 140 latach o von Clausewitzu upominały się władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Prochy generała zostały przeniesione w jego rodzinne strony, w pobliże Magdeburga.

Wyjaśnię jeszcze, co było z wielbłądami. Całkiem poważnie dowództwo armii amerykańskiej dokładnie 165 lat temu postanowiło sprowadzić te pożyteczne zwierzęta z Egiptu do USA. Ale to już temat na inne opowiadanie. ■



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

NADGODZINY ZA PODRÓŻ

Zostałem wysłany w podróż służbową jako dysponent pojazdu. Czy należą mi się nadgodziny, skoro podróż trwała dłużej niż czas służbowy? Przełożeni twierdzą, że nie wykonywałem obowiązków służbowych i wobec tego o nadgodzinach nie może być mowy.

→ Wymiar czasu służby żołnierzy zawodowych został uregulowany w ustawie z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz w rozporządzeniu MON-u z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych.

Zgodnie z art. 60 wspomnianej ustawy **wymiar czasu służby żołnierzy zawodowych jest określony ich zadaniami służbowymi**. Powinny być one ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich realizację w ramach 40 godzin służby w tygodniu. Ponadto wykonywanie tych zadań nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu, w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin w tygodniu żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny od służby w takim samym wymiarze.

Z kolei § 4 przytoczonego rozporządzenia stanowi, że przełożeni ustalają zadania służbowe żołnierzy w sposób pozwalający na ich wykonywanie w pięciodniowym tygodniu służby, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy, od poniedziałku do piątku w godzinach od 7.30 do 15.30. Jednakże, jeżeli występują uzasadnione potrzeby służbowe, dowódca jednostki może, za

zgoda bezpośredniego przełożonego, ustalić dla całego lub części stanu osobowego jednostki inne godziny służby.

Istotne jest tu jednak rozróżnienie pojęcia „czas podróży służbowej” i „czas wykonywania zadań służbowych”. Trzeba mieć na uwadze, że do czasu służby żołnierzy zawodowych wlicza się czas faktycznego wykonywania danego zadania służbowego przez żołnierza. Analiza § 4 wymienionego rozporządzenia pozwala stwierdzić, że podczas podróży służbowej co do zasady nie wykonuje się zadania służbowego. Wyjątkiem będą m.in. kierowcy, którzy rzeczywiście w czasie podróży służbowej wykonują powierzone im zadanie, jakim jest przewóz (odwóz) żołnierzy podróżujących w charakterze pasażerów do lub z miejsca docelowego. Czas, w którym kierowca nie będzie przewoził żołnierzy, np. w trakcie rekonesansu, nie będzie już mieścił się w ramach czasu służby, bowiem realnie nie wykonywał on powierzonego mu zadania. Istota przyznania nadgodzin w przedstawionej sprawie sprowadza się więc do ustalenia, czy w czasie trwania podróży służbowej żołnierz realnie wykonywał powierzone mu zadanie służbowe, a jeżeli tak, to w jakim wymiarze. Jeśli wykonywanie zadań służbowych mieści się w ustawowym wymiarze czasu służby, tj. w 40 godzinach w tygodniu, to żołnierzowi zawodowemu nie przysługuje czas wolny od służby. Stwierdzenie zasadności bądź niezasadności przyznania czasu wolnego za wykonanie powierzonych zadań jest więc sprawą indywidualną.

Podstawy prawne:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2019 roku, poz. 330 ze zm.) – art. 60 ust. 1 i 2;
rozporządzenie MON-u z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU z 2019 roku, poz. 1044) – § 4, § 8, § 12.



Jeśli chodzi o sprawę zawartą w pytaniu, to ze względu na zbyt ogólną charakterystykę pełnionej w czasie podróży służbowej funkcji i zbyt małą ilość informacji na temat nałożonych na żołnierza obowiązków oraz czasu ich wykonywania, nie można jednoznacznie stwierdzić, czy rzeczywiście należy się czas wolny z tytułu służby ponad wymiar ustawowy, czy też nie.

Na marginesie nadmieniam, że w ustalaniu czasu pełnienia przez żołnierzy służby ponad ustawo-

we normy istotną rolę odgrywają prowadzone przez dowódcę jednostki lub upoważnione przez niego osoby ewidencje czasu służby w formie pisemnej. Odnotowuje się w nich czas wykonywania przez żołnierzy zadań służbowych przekraczający normy czasu służby, a także rozliczenie wykorzystania czasu wolnego. ■

ANNA DRZYCIMSKA

Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

SŁUŻBA W SZKODLIWYCH WARUNKACH

W latach 2013–2018 byłem zatrudniony jako operator na stacji radiolokacyjnej. Na początku wypłacano mi dodatek za pracę w warunkach szkodliwych (mikrofale), przysługiwał mi także z tego tytułu dodatkowy urlop. W 2014 roku nastąpiła zmiana decyzji. Choć dodatek został utrzymany (dla mniejszej niż dotychczas grupy), to zabrano dodatkowy urlop. Czy taka decyzja była zgodna z przepisami i czy mogę domagać się zaległego urlopu?

→ Zgodnie z art. 80 ust. 1 pkt 1 ustawy pragmatycznej **żołnierze zawodowi otrzymują dodatek specjalny za szczególne właściwości lub warunki pełnienia zawodowej służby wojskowej.**

Kwestie te reguluje rozporządzenie MON-u z 28 grudnia 2016 roku w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych. Stosownie zaś do art. 62 ust. 2 wymienionej ustawy żołnierzy zawodowych pełniących służbę wojskową w warunkach szkodliwych dla zdrowia, przy przekroczonych najwyższych dopuszczalnych stężeniach lub natężeniach czynników szkodliwych, otrzymuje corocznie, w zależności od ustalonego w odrębnych przepisach stopnia szkodliwości, dodatkowy urlop wypoczynkowy. Wobec tego należy odróżnić prawo do dodatku specjalnego od prawa do dodatkowego urlopu.

Odnosnie do prawa do dodatkowego urlopu trzeba wskazać, że w 2013 roku obowiązywało rozporządzenie MON-u z 30 grudnia 2009 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych, zaliczające pracę w radiowych obiektach nadawczych i centrach radioodbiornych, w stacjach radiowych, radiolokacyjnych i radioliniowych do stanowisk służbowych, na których pełnienie służby jest uciążliwe lub szkodliwe dla zdrowia (§ 8 ust 1 pkt 1 ppkt i tegoż rozporządzenia). Jednakże w 2014 roku nastąpiła zmiana przepisów i powyższe rozporządzenie zostało uchylone. Obecnie kwestię dodatkowych urlopów reguluje rozporządzenie MON-u z 27 sierpnia 2014 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych, określające m.in. stanowiska służbowe, na których pełnienie zawodowej służby wojskowej jest szkodliwe dla zdrowia albo które posiadają szczególne właściwości uprawniające do dodatkowego urlopu wypoczynkowego. Obowiązujące rozporządzenie nie przewiduje, iż praca w stacjach radiolokacyjnych jest pracą w warunkach szkodliwych, a tym samym nie przysługuje dodatkowy urlop z tego tytułu. ■

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2020 roku, poz. 860) – art. 80 i art. 62; rozporządzenie MON-u z 27 sierpnia 2014 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych (DzU 2014.1503 ze zm.).

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

**Panu mjr. Błażewi Kacprzakowi
i Jego żonie Lidii oraz Ich Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Pana Grzegorza Nowakowskiego,
długoletniego pracownika

Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Pograżonej w bólu

Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia składają
prezes, sędziowie i pracownicy sądu.

**Panu ppłk. Zbigniewowi Zajacowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają szef, żołnierze, pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego kolegi

Grzegorza Nowakowskiego,

pełnomocnika prezesa Wojskowego Sądu Okręgowego
w Warszawie do Spraw Ochrony Informacji Niejawnych.

Pograżonym w bólu

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia składają
prezes, sędziowie oraz pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie.

**Panu ppłk. Waldemarowi Kliszczakowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy

w trudnych chwilach z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego kolegi

Grzegorza Nowakowskiego,

pełnomocnika prezesa Wojskowego Sądu Okręgowego
w Warszawie do Spraw Ochrony Informacji Niejawnych.

Pograżonym w bólu

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia składają
prezes, sędziowie oraz pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie.

Panu Piotrowi Płocienniczakowi

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Teściowej

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
12 Brygady Zmechanizowanej.

Panu Andrzejowi Czaplewiczowi

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnym czasie po śmierci

Matki

składają oficerowie i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Siedlcach.

Panu Markowi Wardzyńskiemu
 wyrazy głębokiego współczucia oraz wsparcia
 w trudnych chwilach z powodu śmierci
Taty
 składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
 Departamentu Budżetowego MON.

Wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Ojca

Panu płk. Tomaszowi Artemiakowi
 składa dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej.

Z głębokim żalem zawiadamiam,
 że dnia 24 maja 2020 roku zmarł w Toruniu
 śp.

Kpt. Edmund Kazimierz Semrau

urodzony 21 stycznia 1926 roku w Chełmnie.
 Żołnierz 2 szwadronu 1 Pułku Pancernego
 1 Polskiej Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka,
 z którą przeszedł szlak bojowy na terenie Belgii,
 Holandii i Niemiec. Po demobilizacji w czerwcu
 1948 roku powrócił do Polski.

Był człowiekiem bardzo zasłużonym
 w podtrzymywaniu tradycji niepodległościowej
 i upowszechnianiu wiedzy o polskim czynie zbrojnym
 w czasie II wojny światowej.

Odnaczony między innymi Krzyżem Oficerskim
 i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,
 Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości,
 Medalem Pro Bono Poloniae
 i innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.
 Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
 szef Urzędu do Spraw Kombatanatów
 i Osób Represjonowanych

Z głębokim żalem i smutkiem
 przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Pana ppłk. w st. spocz. Stefana Drobnikowskiego,
 dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego
 w Białymstoku.

Rodzinie i Najbliższym

szczerze wyrazy współczucia
 składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
 Departamentu Spraw Socjalnych
 Ministerstwa Obrony Narodowej.

Naszemu Drogiemu Koledze
Panu Edmundowi Szewerze
 wyrazy głębokiego współczucia i żalu
 z powodu śmierci
Żony
 składają dyrektor, żołnierze
 i pracownicy resortu obrony narodowej
 Wojskowego Biura Zarządzania Częstotliwościami.

Panu ppłk. Pawłowi Cymbalakowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
 wyrazy szczerzego żalu i współczucia
 oraz słowa otuchy w trudnych chwilach po śmierci
Ojca
 składają żołnierze i pracownicy
 Zarządu Zasobów Osobowych
 Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Ppłk. Waldemarowi Szczepaniakowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
 wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Ojca
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej.

Panu płk. Mariuszowi Świdierskiemu,
 zastępcy dyrektora Departamentu,
 wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci
Ojca
mjr. rez. Józefa Świdierskiego
 składają dr Aurelia Ostrowska,
 dyrektor Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia
 Ministerstwa Obrony Narodowej
 oraz żołnierze i pracownicy.

Panu płk. Jackowi Ciesielskiemu
 wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają koledzy i współpracownicy
 z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu Markowi Stokłosie

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
płk. rez. Andrzeja Derewońko,
wieloletniego szefa Wojskowej Ochrony
Przeciwpożarowej.

Wyrazy najgłębszego współczucia

Rodzinie i Najbliższym

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpożarowej.

Łącząc się w żałobie i smutku,
składamy kondolencje z powodu śmierci
śp.

Mamy

naszemu koledze
ppłk. Januszowi Golińskiemu.

Kadra i pracownicy Zarządu Wsparcia Dowodzenia
i Łączności IRW DG RSZ

**Panu mjr. Mariuszowi Rędzi
oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Sekcji Komunikacji Społecznej
6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Panu sędziemu
płk. Mirosławowi Kolanowskiemu,
zastępcy prezesa Wojskowego Sądu Okręgowego
w Warszawie,
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Ojca

naszego kolegi **mjr. Mariusza Rędzi.**

Rodzinie i Najbliższym

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia
składają dowódca wraz z żołnierzami i pracownikami
6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
Romana Figiela,
jednego z ostatnich weteranów 1 Dywizji Pancernej,
wspaniałego i zasłużonego w działaniach wojennych
żołnierza dywizji dowodzonej
przez gen. Stanisława Maczka.

Łącząc się w żałobie,

Rodzinie i Bliskim

wyrazy najszczerzego współczucia i głębokiego żalu
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o tragicznej śmierci
Kacpra Zielińskiego,
jednego z naszych najlepszych studentów,
wyjątkowego młodego człowieka,
zaangażowanego w działalność kół i organizacji
studenckich,
podróżnika, pasjonata nurkowania.

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach

Rodzinie oraz Najbliższym Kacpra

składają władze uczelni i społeczność akademicka.

„Odszedłeś tak nagle, że ani uwierzyć,
ani się z tym pogodzić...”

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
śp.

st. chor. rez. Krzysztofa Krygiera,
cenionego i wieloletniego pracownika
Wojskowego Zarządu Infrastruktury w Poznaniu
oraz naszego kolegi.

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
składają szef, kadra i pracownicy
Wojskowego Zarządu Infrastruktury w Poznaniu.

Koleżance Monice Nowakowskiej
wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Męża
Grzegorza Nowakowskiego
składają sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie.

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

Taty
st. chor. szt. Michałowi Woźniakowi
oraz Rodzinie i Bliskim

składają dowódca Bazy, żołnierze i pracownicy
8 Bazy Lotnictwa Transportowego
w Krakowie-Balicach.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Teściowej

Pani Renaty Matyni,
pracownika Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych im. gen. Bronisława
Kwiatkowskiego.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Rodzinie oraz Najbliższym.
składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Tomasz Piotrowski
wraz z żołnierzami i pracownikami RON.

Panu płk. Piotrowi Janickiemu
wyrazy szczerego współczucia, słowa wsparcia
w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki
składają komendant, żołnierze i pracownicy RON
Centrum Rozpoznania i Wsparcia
Walki Radioelektronicznej w Grójcu.

Panu ppłk. Markowi Krupińskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Ojca
składają koleżanki i koledzy
z Szefostwa Służby Hydrometeorologicznej
Sił Zbrojnych RP.

Panu płk. Mariuszowi Pietraszkowi
oraz Jego Rodzinie
w tych trudnych chwilach
wyrazy współczucia i słowa wsparcia
z powodu śmierci

Ojca
składają koleżanki i koledzy
z Oddziału Personalnego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. Mariuszowi Pietraszkowi
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają koledzy z Oddziału Uzupełnień
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
st. chor. sztab. Robertowi Grad
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Wyrazy najgłębszego współczucia i kondolencje
Rodzinie, Przyjaciołom i Kolegom
 zmarłego

ppłk. Zbigniewa Zawadzkiego,
 szefa Wojsk Rakietowych i Artylerii Brygady,
 składają żołnierze oraz pracownicy
 21 Brygady Strzelców Podhalańskich.

Panu mjr. Mariuszowi Gąsiorowskiemu
 wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
 w trudnych chwilach
 z powodu śmierci
Żony
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Wyrazy szczerzego współczucia, głębokiego żalu
 oraz wsparcia i otuchy
 w trudnych chwilach z powodu śmierci
Mamy
Panu Andrzejowi Ksokowskiemu
oraz Jego Najbliższym
 składają komendant, żołnierze i pracownicy
 resortu obrony narodowej
 45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
 w Wędrzynie.

Panu mł. chor. Piotrowi Skarbieżowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
 wyrazy głębokiego żalu, szczerzego współczucia
 i słowa wsparcia z powodu śmierci
Ojca
 składają żołnierze i pracownicy
 Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych
 w Wędrzynie.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
 wiadomość o śmierci
plk. rez. Andrzeja Derewońko,
 byłego szefa Wojskowej Ochrony Przeciwpowarowej.

Rodzinie i Najbliższym
 szczerze wyrazy głębokiego współczucia
 składają żołnierze i pracownicy RON
 Wojskowej Straży Pożarnej
 1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

„Śmierć jest spoczynkiem podróżnego,
 kresem mozołu wielkiego”.

Panu kmdr. ppor. Łukaszowi Daszewskiemu
oraz Jego Najbliższym
 szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Ojca
 składają koledzy i koleżanki
 z Inspektoratu Marynarki Wojennej – DG RSZ.

Koledze Sławomirowi Pielatowi
 wyrazy szczerzego żalu i współczucia
 z powodu śmierci
Ojca
 składają sędziowie i pracownicy
 Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy
 wiadomość o śmierci naszego kolegi i przełożonego
 z Dowództwa Sił Powietrznych
plk. rez. Romana Flagi.

Pogrążonej w bólu
Rodzinie i Bliskim
 wyrazy głębokiego współczucia oraz kondolencje
 składają kadra i pracownicy RON
 Zarządu Planowania Rozwoju J-5
 Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy głębokiego współczucia
 oraz szczerze kondolencje
Pani kpr. Beacie Kosakowskiej
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu Robertowi Gierałowskiemu
 najszczerze wyrazy żalu i współczucia
 w trudnych chwilach po śmierci
Taty
 składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
 Inspektoratu Uzbrojenia.

Pani Marcie Żebrowskiej
 wyrazy szczerego współczucia
 i głębokiego żalu
 oraz słowa wsparcia i otuchy
 w szczególnie trudnym czasie,
 łącząc się w bólu z powodu tragicznej śmierci
Teściów,
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 resortu obrony narodowej.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
 wiadomość o śmierci
płk. rez. Andrzeja Derewońko,
 szefa Wojskowej Ochrony Przeciwpożarowej
 w latach 2002–2010.

Rodzinie i Najbliższym
 wyrazy żalu i szczerego współczucia
 oraz słowa wsparcia
 składają szef, kadra oraz pracownicy
 Delegatury Wojskowej Ochrony Przeciwpożarowej
 we Wrocławiu.

**Panu inspektorowi Andrzejowi Kozłowskiemu
 oraz Jego Najbliższym**
 wyrazy głębokiego współczucia
 i szczerę kondolencje
 z powodu śmierci
Matki
 składają kadra i pracownicy wojska
 Zarządu Planowania i Programowania
 Rozwoju Sił Zbrojnych – P5
 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Panu płk. Mirosławowi Kolanowskiemu,
 zastępcy prezesa Wojskowego Sądu Okręgowego
 w Warszawie,
 wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Ojca
 składają prezes, sędziowie oraz pracownicy
 Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie.



szer. Grzegorz Soswa
 16 lipca 2006 roku
 PKW EUFOR Bośnia i Hercegowina

kpr. Mieczysław Sternik
 23 lipca 1996 roku
 IFOR Bośnia i Hercegowina

st. sierż. sztab. Lucjan Skrzek
 17 lipca 1978 roku
 UNDOF Syria

st. sierż. Piotr Biały
 25 lipca 2002 roku
 SFOR Bośnia i Hercegowina

Pamiętamy

mjr Jarosław Posadzy
 17 lipca 2007 roku
 PKW Irak

sierż. Paweł Poświat
 28 lipca 2011 roku
 PKW Afganistan



sierż. Andrzej Wojda
 14 lipca 1995 roku
 UNIFIL Liban

płk Ryszard Szewczyk
 20 lipca 1998 roku
 UNMOT Tadżykistan

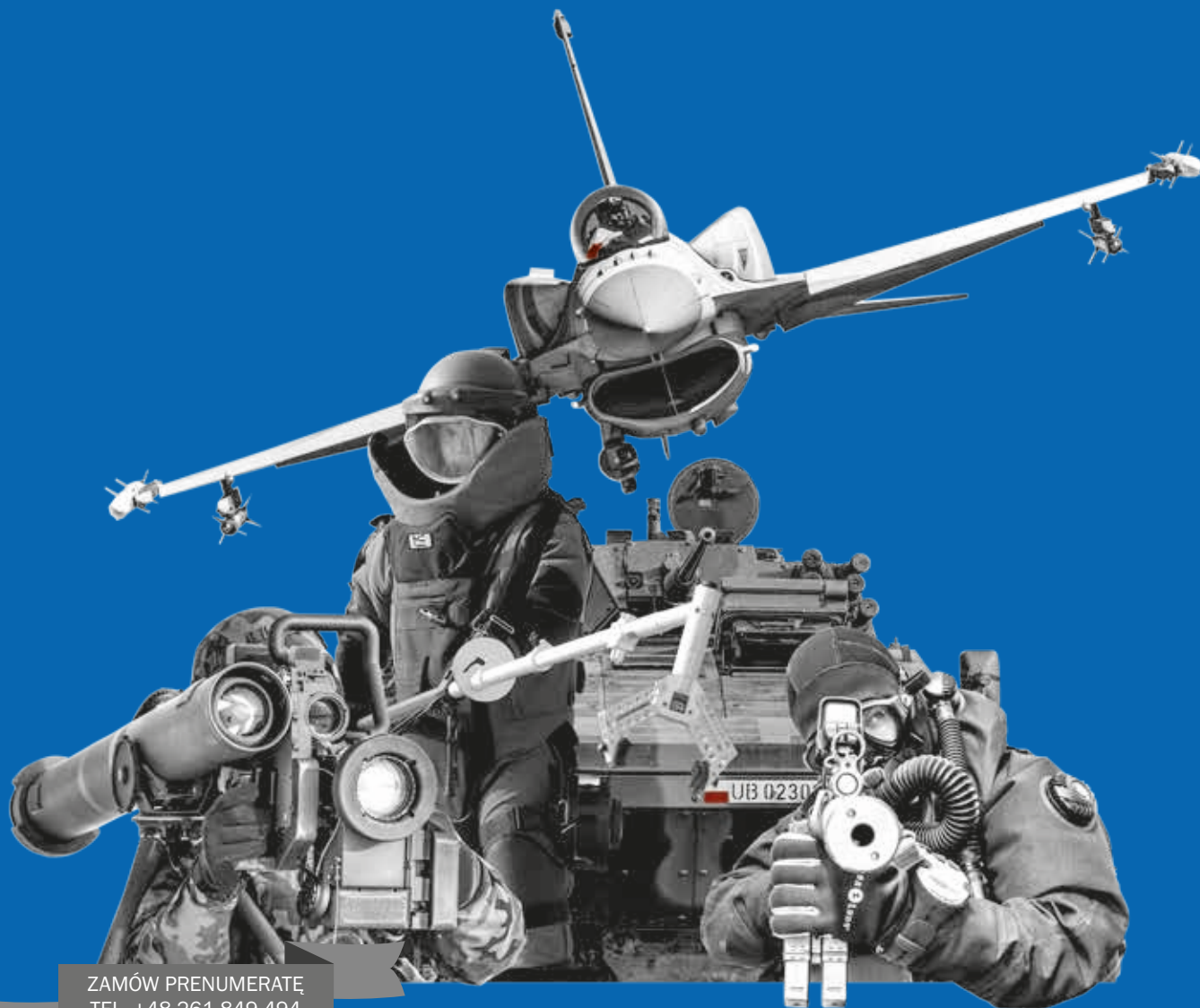
st. kpr. Marcin Rutkowski
 29 lipca 2004 roku
 PKW Irak

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
 z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 849 213,
 261 849 147, 261 849 262

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl



DARMOWA PRZESYŁKA

